HENRYK GALLE

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ PIERWSZĄ SZKOŁY ŚREDNIEJ
I NA ODDZIAŁ IV SZKOŁY POWSZECHNEJ

WYDANIE PIĘTNASTE
BEZ ZMIANY

Z 34 RYSUNKAMI

PRAWDĄ A PRACĄ

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



Szymon St. Deptuła

HENRYK GALLE

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ PIERWSZĄ SZKOŁY ŚREDNIEJ I NA ODDZIAŁ IV SZKOŁY POWSZECHNEJ

WYDANIE BEZ ZMIANY

PODŁUG WYDANIA JEDENASTEGO

Z 34 RYSUNKAMI

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

(21)

1. Nowy rok szkolny.

Znów w szkolnej ławce schylony pilnie,
Z książką, co światło w główce wam nieci,
I co wam korzyść da nieomylnie,
Witajcie, dzieci!
Czas na wakacjach zbiegł wam tak chyżo,
Jak ptak, co szybko w oczach przeleci,
I znów o stopień poszłyście wyżej,
To pięknie, dzieci!
I niczem zrażać się nie należy!
Przejdzie rok jeden, drugi i trzeci,
I wielcy ludzie, niech dziatwa wierzy,
Urosną z dzieci.
Lecz nie dość urość, to każdy umie,
A człek nie wzrostem, lecz głową świeci;
Więc trza się starać, aby w rozumie
Rosły wciąż dzieci.
Oto rok szkolny znów się otwiera:
Dalej do książki! czas szybko leci,
Gorliwość w pracy Bóg zawsze wspiera,
Pomnijcie, dzieci.

Wł. Bełza.

2. Miłość braterska.

W miejscu, na którem wznosi się znana z historji świętej Jerozolima, była niegdyś uprawna rola. Należała ona do dwóch braci.

Gdy żniwo było ukończone, bracia podzielili swoje snopki na dwie równe części i zostawili je w polu.

Wtem w nocy jeden z braci pomyślał sobie:

— Jestem sam jeden, a mój brat ma żonę i dzieci. Byłoby niesłusznie, gdybym miał tyle zboża, co i on.

Podniósł się z łoża, poszedł w pole, wziął kilka swoich snopków i dorzucił je do części bratniej.

— Nie domyśli się tego, co zrobiłem, bo, gdyby się dowiedział, nie chciałby przyjąć.

Tego samego dnia nad ranem przebudził się i drugi brat i pomyślał:

— Mój brat jest młodszy ode mnie, nikt mu nie dopomaga w pracy, niesłusznie byłoby, gdybyśmy jednakowe zyski ciągnęli z roli.

Powstał tedy, poszedł na pole i kilka swoich snopków dołożył do bratniej kopy.

— Nie domyśli się tego, co zrobiłem — rzekł do siebie — inaczej odmówiłby mi.

Nazajutrz obaj bracia udali się w pole. Zdziwili się niepomału, gdy ujrzeli, że ich działy były równe.

Następnej nocy zrobili tak samo, lecz ponieważ dokładali sobie wzajemnie jednakową ilość snopków, działy ich nie zmieniały się.

Aż nareszcie trzeciej nocy spotkali się z sobą w połowie drogi ze snopami w rękach.

Teraz zrozumieli, dlaczego ich działy były ciągle równe. Rzucili snopy na ziemię i czule się uściskali.

W miejscu, na którem dwaj bracia okazali taki dowód serdecznej miłości braterskiej, wystawiono później świątynię.

Henryk Wernic.

3. . . . .

Karolek wrócił właśnie ze ślizgawki, gdzie, jak zwykle, bawił się znakomicie. Ale zato teraz był w złym humorze: już było późno, a Karolek nie odrobił ani jednej lekcji na

jutro. Zrzuciwszy z siebie okrycie i powiesiwszy łyżwy, chłopiec pobiegł prosto do swego stołu, przy którym zwykle się uczył.

— Znowu ta Hela rozłożyła tu swoje manatki! Tego już za wiele! Nie mam czasu na sprzątanie.

Mówiąc to, Karolek machnął ręką i wnet ładna teczka i kilka arkusików papieru listowego znalazły się na ziemi. Czem prędzej zabrał się do odrabiania lekcyj, lecz jakoś mu one nie szły: coś tam w głębi serca poruszało się niespokojnie.

Wtem za drzwiami rozległy się szybkie, drobne kroki.

— Oho! będzie awantura! — pomyślał Karolek i przybrał postawę wojowniczą.

Do pokoju weszła Hela, młodsza jego siostra. Spostrzegła odrazu leżącą na ziemi teczkę, porozrzucany papier listowy i domyśliła się wszystkiego. Zaczerwieniła się mocno, oczy jej zabłysły, piąstki się zacisnęły.

Karolek był przygotowany na wybuch i w duchu przyrzekał sobie nie ustępować.

Hela stała chwilę, jakby nie widząc wyzywających spojrzeń Karolka, potem zbliżyła się do stolika i, podnosząc porozrzucany papier, rzekła spokojnie, chociaż głos jej drżał trochę:

— Przepraszam cię, Karolku, że położyłam teczkę na twoim stoliku.

Teraz Karolek zmieszał się silnie, opuścił zaciśnięte pięści, oczy wlepił w ziemię... Tego się nie spodziewał; poprostu nie wiedział, co ma z sobą zrobić.

Nagle zerwał się od stolika:

— O, Helu! O ileż silniejsza jesteś ode mnie! Odniosłaś w tej chwili większe zwycięstwo, niż ja, gdy walczyłem na pięści z całą klasą i pokonałem wszystkich. Czuję to dobrze i wobec ciebie muszę się uznać za zwyciężonego!

Marja Buyno.

4. Ilustracja bez tekstu.



5. Przysłowia.

Jakie drzewo, taki klin; jaki ojciec, taki syn.

Lepiej, że dzieci proszą ojca, niż żeby ojciec miał dzieci prosić.

Bóg się takim brzydzi, kto się ojca wstydzi.

Jakeś chował syna, tak on z tobą poczyna.

Jednego ojca i jednej matki nie jednakie dziatki.

Kto ojca, matki nie słucha, słucha złego ducha.

Jako ty rodzice twoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

Gdzie u dzieci matka, tam główka gładka.

Głos matki, głos Boga.

Do ludzi po rozum, do matki po serce.

Droga ta chatka, gdzie mieszka matka.

Drugiej matki człowiek nie znajdzie.

Kochają się, jak dzieci jednej matki.

Dla każdej matki miłe są jej dziatki.
Dobrego syna Bóg nie zapomina.
Dobre dzieci — wielka radość; złe dzieci — wielki żal.
Z dobrego gniazda dobre dzieci.
Gdzie nianiek siedm, tam dziecko kulawe.
Gdy dziecko upada, anioł poduszkę podkłada.
W rodzeństwie niesnaska, to Boża niełaska.
Jak się kto wychował, tak się będzie sprawował.
Czego się Jaś nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał.

6. . . . .

Na podwórzu szkolnem wrzało, jak w ulu. Mnóstwo chłopców mniejszych i większych kręciło się, biegało, witało, śmiało, rozmawiało, a gwar przytem panował tak wielki, iż trudno było odróżnić wyrazy, które bawiący się zamieniali między sobą.

W jednym rogu podwórza, na skrzynce, siedział mały chłopiec, chudy, mizerny, w wyszarzanem ubraniu, upstrzonem licznemi łatami. Chłopiec kurczył się, jakby się chciał zrobić jak najmniejszym, niewidocznym, i oglądał się trwożliwie wokoło.

Może go nie zauważą, nie odszukają? Później, przed dzwonkiem jeszcze, wsunie się do klasy i usiądzie na swojem miejscu. Może nie zauważą?

Nagle wzdrygnął się i zakrył twarz rękami: idą jego prześladowcy, spostrzegli go.

Skurczył się więcej jeszcze i czekał z rezygnacją [1]).

Kilkunastu chłopców, śmiejąc się, obstąpiło go wokoło.

— Jakubiak! Cóż ty, znowu w tych swoich łatach? — krzyczano na wyścigi, oglądając chłopca.

— A pokaż, ile tam nowych przybyło — zawołał któryś.

I wnet jeden z najsilniejszych podniósł przemocą chłopca. On stał pośród swych prześladowców blady, skurczony,

---

[1]) Rezygnacja — poddanie się, pokora.

wystraszonemi oczami rozglądając się, jakby szukał ratunku.

— O, o! patrzcie! Trzy nowe, a starych... zaraz policzę... raz... dwa... trzy...

— Tu jeszcze jedna. I tu!

— Jak ty się nie wstydzisz chodzić w takim łachmanie?

— Całą klasę wystawiasz na pośmiewisko! Wszyscy cię znają z tych łat!

— Łachmaniarz!

— Łaciarz!

Chłopiec, popychany, potrącany, stał pośrodku, z twarzą zakrytą rękoma, a przez palce dobywały się łzy i spływały na połataną kurtkę.

— Koledzy! — zawołał nagle dźwięcznym głosem uczeń wyższej klasy, który właśnie nadszedł i patrzył na całą tę scenę. — Koledzy! Wierzcie mi, oddałbym cały swój majątek, którego mi tak wielu zazdrości, gdybym mógł mieć takie połatane ubranie.

Chłopcy patrzyli ze zdziwieniem i niedowierzaniem na mówiącego.

— Et, figlarz z kolegi! — zauważył któryś śmielszy.

— Chce z nas zażartować! — szepnął inny.

— Oho! będzie nauka moralna! — mruczeli inni.

Tymczasem wysmukły chłopiec, ubrany wytwornie, patrzył ze szczerem wzruszeniem na połatane ubranie Jakubiaka. Ten zaś podniósł wyblakłe swe oczy z pewnem zaciekawieniem, lecz i z nową obawą.

— Będą znów kpiny, tylko inne! — przebiegło mu przez skołataną głowę.

— Koledzy, czy nie zastanawialiście się nigdy, co znaczy każda łata, starannie przyszyta do starego, zniszczonego ubrania? O, mówi ona więcej, niż najwspanialszy obraz, droższa jest, niż skarb największy! Te łaty mówią o biedzie, o nędzy! Tak, to prawda! Lecz mówią zarazem o wielkiej miłości, o tkliwej troskliwości matki, która nad niemi

pracowała. Ile razy na nie spojrzycie, nie myślcie o tem, że wyglądają śmiesznie i biednie, lecz pomyślcie, ile się w nich mieści pracy, ile łez na nie spadło, a wówczas nie będą one dla was brzydkie i nie będą wzbudzały drwin, lecz głęboki szacunek. A niejeden, który nie ma matki, pomyśli tak, jak ja w tej chwili: szczęśliwy, kto może nosić takie ubranie, bo ma kochającą matkę, która, choć w biedzie i pracy, ciągle tylko troszczy się o swego syna.

Marja Buyno.

7. Moja matka.

Miałem wówczas lat siedem i chowałem się przy matce. Była to kobieta wysoka i silna. Pamiętam jej twarz rumianą i energiczną, kaftan, podpasany rzemieniem, i pukające buty. Mówiła głośno i stanowczo, a pracowała od rana do nocy. O świcie była już na dziedzińcu i oglądała krowy, konie, kury, czy nie dzieje się im jaka krzywda i czy dostały jeść. Po śniadaniu szła w pole, zbaczając do chorych, których, w miasteczku nigdy nie brakło. Gdy wracała do domu, czekali na nią różni interesanci: jeden chciał kupić bydlątko, drugi pożyczyć zboża lub pieniędzy; ta radziła się o kaszlące dziecko, a tamta przyniosła na sprzedaż garstkę lnu.

Prawie nie mogę wyobrazić sobie matki samotnej, zawsze kręcili się przy niej ludzie, jak gołębie przy gołębniku, prosząc o coś lub za coś dziękując. Ona w całej okolicy wszystkich znała, wszystkim pomagała i radziła. Rzecz, zdaje się, niegodna wiary, a przecie tak było, że nawet ksiądz proboszcz i pan burmistrz przychodzili zasięgać jej zdania. Ona rozmawiała z nimi, robiąc pończochę, a następnie, jakgdyby nic, biegła doić krowy. Umiała też w razie potrzeby zaprząc konie do wozu i wyjechać po snopy, a nawet — drew narąbać. Wieczorami szyła bieliznę, albo łatała moje odzienie; w nocy, gdy psy mocniej ujadały, zrywała

się z łóżka i, ledwie odziana w gruby szlafrok, obchodziła budynki. Raz wystraszyła złodzieja. Chłopi, panowie, dzieci, chorzy, zwierzęta, drzewa, nawet kamień przy wrotach — wszystko ją obchodziło.

Bolesław Prus.

8. Książka z obrazkami.

— Moja Maryniu! pożyczże mi swojej książki z obrazkami, napatrzyć jej się nie mogę, taka prześliczna, a chciałabym ją pokazać mojej siostrze i braciszkom.

— Z duszy, z serca — odpowiedziała Józi usłużna Marynia — weź ją z sobą do domu, ale proszę cię, nie powalaj jej i oddaj mi ją pojutrze. Dostałam ją od dziadunia i tak ją lubię, że wolałabym stracić wszystkie zabawki, niż gdyby ta książka miała mi zginąć lub poplamić się.

— O! ja jej nie uszkodzę! — zawołała Józia; wzięła książkę, uściskała Marynię i poszła ze służącą do domu. Ledwie weszła do drzwi, zaczęła wołać na siostrę i na braciszków, żeby do niej przyszli, bo im coś prześlicznego pokaże.

Przybiegli wszyscy, nawet dwuletni Staś. Józia pokazała im pokolei obrazki i o każdym coś zabawnego powiedziała. Gdy już wszystkie obrazki obejrzane zostały, Józia zamknęła książkę, ale zamiast ją dobrze schować do szuflady, albo do szafki, położyła ją na sofie; bo Józia była trochę niedbała i nieporządna: ani o swoich, ani o cudzych rzeczach nie miała starania i już wielu z tej przyczyny doznała szkód i przykrości.

. . . .

Kl. Hoffmanowa.

9. Piątka.

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała.

Bo też obaj z moim drogim chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić matki, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta.

Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się, że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą dziecinną wesołością i świeciły, jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister, przeładowany książkami, i, mrugając na mnie, mówił jeszcze w progu:

— Panie Wawrzynkiewicz, mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografji... niech pan zgadnie, ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną minką i, zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

— Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i, wyobrażając sobie, co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył nawpół do mnie, nawpół do siebie samego:

— Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał — zwyczajnie, jak w zimie — więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale, o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: Z religji — celujący; z niemieckiego — celujący; z łaciny— celujący... same celujące! O, panie Wawrzynkiewicz!

I biednemu chłopcu łzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującemi w cenzurze.

Henryk Sienkiewicz.

10. Młodość.

Młodość jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć upływa sama szparko,
Cios jej dłóta wiecznotrwały.

Zygmunt Krasiński.

11. Węglarz i pan.

Nigdyby z pewnością nie powiedział tego Garrone, co powiedział wczoraj Karol Nobis Bettiemu. Ten Nobis jest dumny, bo jego ojciec jest wielkim panem: pan to wysoki, piękny, postawny, bardzo poważny; przychodzi niemal codzień sam po syna. Wczoraj rano Nobis posprzeczał się o coś z Bettim, jednym z najmłodszych w klasie, synem węglarza, i, nie wiedząc już, co mu odpowiedzieć, gdyż i tak niesłusznie nań napadł, rzekł głośno:

— Twój ojciec jest hołysz i nicpoń!

Betti cały sczerwieniał, nic nie odpowiedział, ale łzy mu się zakręciły w oczach i, wróciwszy do domu, powtórzył owe słowa swemu ojcu. I oto węglarz, mały człowiek, całkiem czarny, zjawia się na lekcji poobiedniej, prowadząc syna za rękę, aby poskarżyć się nauczycielowi. Gdy opowiadał, co go tu przywiodło, a wszyscy milczeli, ojciec Nobisa, który pomagał synowi zdjąć palto na progu klasy, usłyszawszy wymówione swoje nazwisko, wszedł i poprosił o wyjaśnienie sprawy.

— Oto ten wyrobnik — odrzekł nauczyciel — przyszedł na skargę, gdyż pański syn, Karol, powiedział jego synowi: „Twój ojciec jest hołysz i nicpoń!“

Ojciec Nobisa zmarszczył czoło i lekko się zarumienił. Potem spytał syna:

— Czyś mu to powiedział?

Syn, stojąc w środku klasy, z głową spuszczoną przed małym Bettim, nic nie odrzekł. Wówczas ojciec, wziąwszy

go za ramię, popchnął go naprzód jeszcze bliżej ku Bettiemu, tak blisko, iż chłopcy niemal się siebie dotykali i powiedział mu:

— Proś go o przebaczenie!

Węglarz chciał temu przeszkodzić, mówiąc:

— Nie trzeba, nie trzeba!

Ale pan na to nie zważał i powtórzył:



— Proś go o przebaczenie. I zaraz powtarzaj za mną: „Ja proszę cię o przebaczenie za te słowa krzywdzące, niecne i głupie, które powiedziałem na twego ojca, a któremu ojciec mój ma sobie za zaszczyt uścisnąć rękę“.

Węglarz zrobił ręką ruch taki, jakby chciał powiedzieć: „Nie chcę!“. Ale ów pan zdawał się tego nie widzieć, i jego syn powtarzał powoli, cichym głosem, nie podnosząc oczu z ziemi:

— Ja proszę cię... o przebaczenie... za te słowa krzywdzące... niecne... głupie, które powiedziałem na twojego ojca..., a któremu ojciec mój... ma sobie za zaszczyt uścisnąć rękę.

Wtedy pan Nobis podał rękę węglarzowi, który ją mocno uścisnął, a potem zaraz syna swego popchnął w objęcia Karola.

— Proszę pana o łaskę, by ci dwaj chłopcy mogli siedzieć obok siebie — powiedział wielki pan do nauczyciela.

Kiedy chłopcy już byli na swoich miejscach, ojciec Nobisa ukłonił się i wyszedł.

Węglarz stał przez chwilę zamyślony, spoglądając na obu chłopców, obok siebie siedzących, potem zbliżył się do ławki, popatrzył na Nobisa z wyrazem przychylności, a zarazem jakby współczucia i żalu, jakby mu chciał coś powiedzieć; ale nie powiedział nic, wyciągnął rękę, jakby go chciał pogłaskać, lecz i na to się nie odważył, tylko swemi szorstkiemi palcami musnął go po czole. Następnie skierował się ku drzwiom.

— Zapamiętajcie sobie dobrze, chłopcy, coście dziś widzieli — powiedział nauczyciel. — To jest najpiękniejsza lekcja w tym roku.

Z „Serca“ Amicisa.

12. Lekcja arytmetyki.

— Co tam masz jeszcze?

— Rachunki.

Naprzód Józek będzie liczyć w głowie bez pisania. Pan zapyta, a Józek będzie musiał wyliczyć. Ale jakże liczyć, kiedy się niema czego trzymać.

— 4 + 5 ile jest razem?

4 czyli bagnet na lufie żołnierza, który chodzi tam i napowrót pod jedną dużą kamienicą, 5 czyli jedna strona dzbanka z uchem: 4 + 5 bagnet z dzbanuszkiem. Wkręcić jedno do drugiego, pomieszać, zakleić.

— Dość, nie wiesz! 6 + 9?

— 6 stoczek okrągły ze świeczką do góry do zapalania świec okrągłych, 9 kaptur blaszany i ogon na dół do gaszenia świec kościelnych. Zapalić, zgasić.

— Zaraz, proszę pana. Teraz już wie Józek. Można prędko policzyć na palcach. Pięć palców u jednej ręki, plus jeden z drugiej, to sześć, plus drugi, trzeci, czwarty, piąty, to dziesięć. Już niema palców u rąk.

Trzeba było dodać dziesięć. Z tych dziesięciu cztery już wzięte. Józek zgina wielki palec u nogi. To już z tych dziewięciu pięć, a razem jedenaście. Drugi wielki palec drugiej nogi z dziesięciu sześć, razem dwanaście. Palce obu rąk są zgięte — to dziesięć. U nóg też. Bo z wielkiemi palcami zgięły się wszystkie tamte malutkie. Wszystkich palców jest dwadzieścia. Wszystkie są zgięte.

— 6 + 9, proszę pana, jest dwadzieścia?

— Na pewno?

Pan nieraz tak zapytywał. A wtedy Józek odpowiadał, że nie na pewno, tymczasem potem okazywało się, że owszem, że to na pewno. Teraz jest to samo.

— Na pewno, proszę pana.

J. Kaden.

13. List sieroty do opiekuna.

Kochany panie!

Mama chciała sama do pana napisać, ale już umarła... Już w końcu była nam taka bieda, że strach... a mama przed śmiercią ciągle wspominała o panu. Teraz jestem u pana Karola, który mię wziął z łaski. Dobrze mi tu, ale tęskno, bo nieraz nie ma człowiek do kogo gęby otworzyć, choć jeść i pić jest co. Z początku mieszkałem z chłopcami, ale potem dali mi osobny pokoik i do stołu nie zawsze wołają, to też mi bardzo smutno. Od wakacyj wzięli mię chłopcy uczyć, ale więcej tam klęczenia i łap dawania, niż

tego, co potrzeba. Mają oni fuzję i welocyped, ale mi tego do ręki nie dają, choć niewiele o to dbam, bo wolałbym się uczyć z kim starszym. Najgorzej mi tylko żal, że naskarżyli na mnie z panią przed ojcem, żem leniwy i próżniak. Za to pan Karol rozgniewał się na mnie, w domu zostawił, choć wszyscy wyjechali na wieś, aż mi się płakać chce...

Mój kochany panie, niech się pan nie gniewa na mnie za takie brzydkie pismo, ale to nie z lenistwa i próżniactwa, tylko przez złe pióro...

Mój kochany panie, co ja mam z sobą robić, kiedy już tak sam zostałem na świecie? Trzeba mi pójść na własny zarobek, ale nie śmiem podziękować panu Karolowi, bo on zawsze taki, jakby chorował, i ciągle się tylko za głowę łapie. Może jabym się tam na wsi przydał do czego, to już i nauce dałbym spokój.

Całuję ręce i nogi panu i pani, całuję także Antosię i Józia i Manię i Kazię; panu Młynkiewiczowi się kłaniam i Wojciechowi, jeżeli jest, i niech mi pan odpisze, jak się tam powodzi i czy wszyscy zdrowi...

Bolesław Prus.

14. Sierota.

Antek miał lat dziesięć, był sierotą i mieszkał u sołtysa, który był mu krewnym.

Przybrani rodzice nie obchodzili się z nim źle, lecz chłopiec nie czuł się tak, jak to jest u rodzonej matki. Nikt go nie pożałuje, nie popieści, ani serdeczniej do niego nie przemówi. Tyle, że go nie krzywdzą!

Od dwóch miesięcy Antek chodzi do szkoły, i to największa jego przyjemność. Lubi bardzo kolegów i nauczycielkę, i nawet sam budynek szkolny. Najwięcej jednak kocha nauczycielkę. Ona taka dobra, taki ma łagodny i słodki głos, że niepodobna jej nie posłuchać, nie zrobić, czego żąda.

Razu jednego posłyszał Antek od niej te słowa:

— Starajcie się, dzieci, codziennie wyświadczyć komuś jaką przysługę, choćby was o to nie proszono.

Z początku dziwił się Antek, myśląc: jaką on też przysługę ludziom wyświadczyć może? Najwyżej, gdy sołtysowej dziecka przypilnuje, krowę do domu zapędzi, ale cóż toby innym ludziom zrobić można?

— Ale skoro nasza pani tak mówi, to musi być prawda. — I tak myśląc, wraca ze szkoły...

Wtem spostrzega staruszkę, która na progu drzewo rąbie... a taka jakaś słaba, że ledwo siekierę podnieść może...

— Pozwólcie, babciu, to wam narąbię drzewa — powiada Antek — mocniejszy jestem od was...

Wkrótce chłopiec narąbał kobiecie stos drzewa i zaniósł do chaty.

Staruszka podziękowała, a Antek uśmiechnął się z zadowolenia, że mu Pan Bóg tyle dał siły, iż mógł komuś usłużyć.

Innym razem pomógł małej dziewczynce cielaka zapędzić na podwórko, to znowu sąsiadce śnieg pozamiatał i uprzątnął. Słowem, przekonał się, że i on, choć nieduży, może ludziom służyć, i że sposobności do tego nie braknie, jeżeli ktoś ma szczerą ochotę. Co dziwniejsza, coraz bardziej przywiązywał się do ludzi, był im coraz życzliwszy, a i ludzie coraz bardziej go lubili.

Weselej z każdym dniem jest Antkowi. Nie przykrzy mu się teraz nigdy, i sieroctwa swego nie odczuwa tak bardzo, bo rodzinę zastępuje mu wieś cała. Jeden powie jakieś dobre słowo, drugi zaprosi go do siebie. Niejedna kobieta pogłaska go po głowie i synem swoim nazwie.

Minęło lat dziesięć. Antek wyrósł już na dorosłego mężczyznę, skończył termin u kowala i na własną rękę pragnie założyć kuźnię... Ale gdy przyszło wybrać miejsce, gdzie ma stanąć kuźnia, chłopi ani słyszeć nie chcieli, żeby gdzie indziej, nie u nich.

— Antku, ani myśl od nas odchodzić. My ciebie nie puścimy, miłujemy ciebie, boś ty jakby nasz syn rodzony.

Antkowi także niebardzo się chciało odchodzić do obcych, i on wolał pozostać w rodzinnej wiosce.

I dobrze mu było. Roboty miał zawsze dosyć; we wsi lubiono go i szanowano powszechnie.

Nie przestał i teraz być uczynnym dla drugich. A że był mądrzejszy od wielu innych, częściej więc jeszcze miał do tego sposobność.

M. Weryho.

15. Jabłuszka na poddaszu.

Raz, dla przyczyny dotąd niewiadomej,
Został się sam w mieszkaniu Pawełek łakomy;
Rzekł więc do siebie: — „Służąca daleko,
Przegotowywa śmietankę i mleko,
To ja tu sobie w miluchnej zabawie
Balik wyprawię!“
I nasz Pawełek, nie tracąc czasu,
Na paluszkach, bez hałasu
Po schodach na poddasze skrada się łakomie,
Gdzie wiedział, że jabłuszka leżały na słomie.
Aj! to gratka wyśmienita,
Zaraz jedno, drugie chwyta,
Trzecie i czwarte zajada,
A był to żarłok nielada!
Lecz kiedy się chce wynieść, już dobrze opasły,
Wiatr zawiał, paf!... i drzwi się przed nosem zatrzasły,
Ach! co tu robić?... Klamka z drugiej strony...
Pawełek stuka, puka przestraszony...
Woła mamy i taty, lecz nikt nie przychodzi.
Ot i w więzieniu łakomy dobrodziej!
Upłynęła godzina, potem druga jeszcze,
Od jabłek coś w żołądku chwyta go, jak w kleszcze;

Zimno mu, bo to jesień, więc zębami dzwoni,
Wreszcie noc następuje. A... niech Pan Bóg broni!
Pawełek znowu krzyczy, zachrypł do ostatka,
Potem słucha... ktoś idzie... kto? łatwo zgadniecie.
Któż usłyszy płacz dziecka, jeżeli nie matka?...
To też ona Pawełka uwolniła przecie.
Lecz otwierając, rzekła:
— Tak łakomcom bywa!
Zostałeś ukarany, kara sprawiedliwa.
A teraz, mój Pawełku, niechże ta nauka
Poprawą do serduszka twojego zapuka,
Łakomstwo do kradzieży posuwa najgładziej,
A kradzież do więzienia łakomych prowadzi.

Jan Chęciński.

16. Tomek myśliwy.

Cieszył się niezmiernie Tomek, że rodzice przeprowadzili się na wieś.

— Dopieroż będę używał! — myśli sobie — pójdę na polowanie. Przecież mam strzelbę, nie taką wprawdzie, jak tatuś, ale z pistonówki też strzelać można... Upoluję kaczkę, gęś dziką, a jak mi się uda, to i zająca postrzelę!

Jak zaczął prosić, pozwolił mu wreszcie ojciec pójść na polowanie, przestrzegając go, aby nie zabłądził. Tomek nie posiadał się z radości, torbę na ramię zawiesił, strzelbę przez plecy, matka dała mu w torbę chleba, sera i flaszkę wody z sokiem. Idzie.

Idzie przez pole i wkoło się rozgląda.

— Aha, widzę! zając przykucnął i siedzi! — mówi Tomek do siebie pocichu.

Nastawia lufę i paf! — raz i drugi ze swojej strzelby.

— Ale czemu on się nie rusza — myśli Tomek — pewno zabity, odrazu trafiłem!

I chłopiec pędzi co tchu do zabitego zająca.

— Eh! cóż znowu, to kamień, a wygląda zdaleka, jak zając!

Zmartwiony strzelec podążył dalej. Uszedł parę kroków i patrzy: przed nim coś się porusza ciemnego.

— Teraz chyba się nie mylę, to jakaś zwierzyna, bo przecież się rusza.

Tomek przygląda się i coraz prędzej idzie.

— Ot, schowała się... A teraz znowu wyskoczyła. Palnę, co tu długo myśleć?...

Nabija swoją strzelbę i znów — paf! Ale jakież było przykre zdziwienie chłopca, kiedy się przekonał, że to była sucha gałąź, którą wiatr podnosił.

— W polu kiepskie polowanie! — powiada Tomek do siebie — wolę pójść do lasu.

I tak zrobił nasz myśliwy. Ale długo błąkał się po lesie i nikogo nie spotkał. Wtem znów się coś poruszyło za krzakiem. Tomek się przygląda.

— Teraz to naprawdę jakieś zwierzę czai się za krzakiem, ale jakie?! Nawet dosyć duże, rude... A! naprawdę przecież to wilk!...

W tej chwili Tomek się zrywa, fuzję na ziemię rzuca i z krzykiem ucieka. Ale i to zwierzę również się zerwało i dalejże chłopca gonić!...

Tomek biegnie co tchu, ale ów wilk też coraz bardziej się zbliża; już, już — ma go porwać; słyszy nawet jego kroki za sobą, czuje oddech...

— Ratunku! — woła chłopiec zdyszany — ratunku!... wilk!... wilk!...

. . . .

M. Weryho.

17. Zdanie.

Pokora może być służalstwem i podłością, albo rozumem i cnotą.

E. Orzeszkowa.

18. Idę na wojnę.

O zwykłej porze niańka, napaliwszy w piecu, zaczęła mnie ubierać. Gdy mi wciągała buty, rzekłem grubym głosem:

— Trzeba mi na noc buty wysmarować łojem, bo jutro wychodzę.



— Gdzie ty chcesz iść?

— Na wojnę.

— Cóżbyś tam robił?

— Już ja będę wiedział, co robić.

Baba popatrzyła mi w oczy.

— W imię Ojca i Syna!... — zawołała. — Świat się kończy, czy co, że i ten fąfel gada o wojnie.

Nie powiem, ażebym się rozgniewał; czułem jednak, że teraz nie wypada mi być łagodnym. Właśnie niańka wsu-

wała mi drugi but, gdy ja, wyrwawszy nogę, kopnąłem ją w kolano i w nie dociągniętym bucie wyskoczyłem na środek pokoju, wołając:

— Właśnie, że pójdę, do stu djabłów! A jak mi jeszcze co powiecie, to wam w łeb strzelę.

Nagle staruszka objęła mię rękoma i stała się rzecz, której wcale nie przewidywałem. Nogi moje znalazły się tak prędko w górze, że mi but spadł, brzuch i piersi oparły się na kolanach staruszki, a przed oczyma, zamiast drzwi, zobaczyłem podłogę. Zarazem uczułem, że niańka jedną ręką opasuje mi tułów, drugą zaczyna odpinać guziki barchanowych majtek.

Wiłem się i rzucałem, ale napróżno. Wówczas zacząłem prosić.

— No, wojujże, wyrwij się, kiedyś taki chwat!... — wołała niańka, trzęsąc się ze zmęczenia. — A ty, rozpustniku, ty wisielcze!... W domu i tak pełno zgryzoty, a jeszcze ten nicpoń odgraża się...

Zapłakałem ze wstydu, a wtedy baba postawiła mnie na podłodze i, ocierając łzy, mówiła już łagodniej:

— Oto widzisz, jakby ci było na wojnie. Złapaliby cię i, nimbyś nogą grzebnął, dostałbyś z pięćdziesiąt nahajów. Już jabym ci wtedy nie pomogła, nawet pani...

Ostatnia uwaga zrobiła na mnie wrażenie.

— Cóż to, na wojnie biją się nahajkami? — spytałem zachmurzony.

Doznałem przykrego zdziwienia, jakgdybym nagle usiadł w miejscu, z którego usunięto krzesło. Rzucić się z moim pałaszem na cały szereg wojska potrafiłbym, ale nahajki przerażały mnie. W głębi duszy nie wierzyłem, aby to mogło być prawdą; swoją drogą, ile razy pomyślałem o wojnie, przewidywało mi się, iż ktoś chwyta mnie wpół i przewraca do góry nogami tak prędko, że nawet nie mam czasu sięgnąć po pałasz.

Bolesław Prus.

19. Wspomnienie.

Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam, jakgdyby wczora:
W cieniu starego jawora,
Gdy byłam jeszcze maleńka,
Siadała ze mną mateńka,
Taka biedna, taka chora!...
Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam, jakgdyby wczora.
    Te uśmiechy, te pieszczoty,
    Gdym u kolan jej usiadła.
    Czasami przede mną kładła,
    Wśród uśmiechów i pieszczoty,
    Swój stary „Ołtarzyk złoty“
    I uczyła abecadła...
    Te uśmiechy i pieszczoty,
    Gdym u kolan jej usiadła.
Więc bronię cichej ustroni,
Pod jaworem przy studzience...
Wspomnienia moje dziecięce
Wabią mię do tej ustroni;
Tam w gałęziach słowik dzwoni,
Tam pamiątki lube święcę,
Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem, przy studzience.

Lucjan Rydel.

20. Wspomnienia dziecięce.

Zimę mamy tęgą tego roku w porównaniu z innemi latami. Przed trzema dniami upadł śnieg; cieszyłem się, jak dziecko, widokiem białej ziemi i oprószonych jodeł przed mojemi oknami i razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia cisnęły mi się do głowy, a na-

dewszystko wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w uniwersytecie. Patrząc na śnieg, zdawało mi się, że zajeżdżam z dzwonkiem przed ganek jaszuński; potem wyszedłem do ogrodu i robiłem śnieżki i rzucałem je na wiatr północy, jak na imaginacyjną [1]) osobę przeszłości. Chciałem ją śnieżkami zasypać...



Co dnia prawie, patrząc na mój ogień na kominku, staje mi w oczach postać mamy, leżącej wieczorem na małej kanapce pod oknem w średnim pokoju, naprzeciw palącego się pieca. Teraz, przy zbliżającem się nowem Bożem Narodzeniu, chciałbym, żeby mi kto mógł zaśpiewać kolendę taką, jaką słyszałem ostatniego roku, będąc w Krzemieńcu. Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos.

J. Słowacki.

---

[1]) Wyobrażoną, nieprawdziwą.

21. Kłamstwo bez grzechu.

Kłamstwo rzecz zdrożna, szkaradna, a przecie,
Aby ocalić brata, gdy trudno inaczej,
Jeśli bez krzywdy niczyjej skłamiecie,
Pan Bóg przebaczy.
Marcelek skłamał; co mu się zrobiło?
On taki grzeczny!... a jakże to było?
Zaraz wam powiem, historja niewielka.
Waluś ze złości raz ugryzł Marcelka.
— Gwałtu! na pomoc! — krzyczy skaleczony:
Więc matka z jednej, ojciec z drugiej strony
Wbiegają.
— Co to? Marcelku kochany!
Co ci się stało? po uchu krew broczy! [1])
Ale spojrzawszy rodzicom w oczy,
Biedny Marcelek zapomniał swej rany,
Zląkł się, by ojciec nie zgromił Walusia,
I nagle zamilkł, jak trusia.
— Skąd ta krew? pyta ojciec. — Skąd? — nalega mama.
Marcelek milczy; wreszcie rzekł:
— Z niczego!
— Jakto z niczego? płynie sama?
— Sama!
— A znak na uchu?
— Nie wiem!
— Nie wiesz tego?
— Nie, papo!
— Jednak ja kogoś tu złowię,
Kogoś, co się do kącika
Zarumieniony wymyka
I co zaraz prawdę powie!
Widząc, że to bratu nie ujdzie na sucho:
— To ja! — zawołał Marcelek z trwogą —

[1]) Broczyć — ściekać, kapać, spływać.

Ja sam niechcący ugryzłem się w ucho,
Tutaj nie było nikogo!
— Och! moje dziecię, to trochę za śmiało—
Rzekł ojciec, tuląc do piersi Marcelka,—
By sięgnąć ucha, masz buzię za małą;
Lecz za to dusza już w tobie dość wielka,
Aby ocalić brata, choć niebardzo gładko...
Uścisnął synka i odszedł wraz z matką.
Wtedy maleńki psotnik ze łzami
Rzucił się bratu na szyję,
Przyrzekł, że nigdy złość go nie splami,
I odtąd w zgodzie z nim żyje.

Jan Chęciński.

22. Doktór Bum-bum.

1. Mały Franio leży na łóżku blady, wychudły, z oczami utkwionemi bezmyślnie przed siebie. Na niskim stołeczku siedzi jego matka, patrząc z rozpaczą w wynędzniałą twarzyczkę, a ojciec przyciska twarz do szyby okna, z trudnością powstrzymując łzy.

Kilka jeszcze tygodni temu Franio był wesołym, tłuściutkim chłopcem, z czerwonemi policzkami i błyszczącemi figlarnie oczami. Lecz przeziębił się, przyszła ciężka gorączka, która wprawdzie już minęła, ale zostawiła po sobie takie straszne osłabienie, iż rodzice z największą trwogą patrzeli na swe ukochane dziecko.

Doktór powiedział, gdy był ostatnim razem:

— Trzeba chłopca w jakikolwiek sposób rozerwać. Znacie przecież jego usposobienie, wiecie, co mu może zrobić przyjemność, musicie go koniecznie rozweselić, obudzić do życia, inaczej może być — źle!

Biedni rodzice robili wszystko, co tylko mogli, aby wywołać uśmiech na blade usta chłopca, kupowali różne zabawki, o których chłopiec marzył dawniej, starali się odgadnąć najtajniejsze życzenia, lecz Franio patrzał na

wszystko obojętnie, niczem się nie zajął, niczem nie ucieszył.

— Czy chcesz mieć konika, takiego dużego, ładnego konika na biegunach? — pytał ojciec.

— Nie — odpowiadał cicho Franio.

— A może chciałbyś mieć pistolet, co tak głośno strzela?

— Nie!

— Może ci przynieść żołnierzy blaszanych, tak ślicznie poubieranych?

— Nie!

— Więc cóżbyś chciał mieć, synku? Powiedz mi, powiedz, kochanie!

Matka nachyliła się do ust dziecka i oto z ustek tych padło jedno słowo:

— Bum-bum!

Bum-bum! Coby to być mogło! Rodzice patrzyli na siebie zakłopotani, nie wiedząc, co to miało znaczyć. A chłopiec tymczasem zawołał znowu:

— Bum-bum! Chcę Bum-bum!

Nagle ojciec domyślił się: kilka miesięcy temu Franio był w cyrku na przedstawieniu. Był tam jeden klaun, który wyprawiał najrozmaitsze pocieszne sztuki i ciągle wykrzykiwał: bum-bum!

Franiowi podobał się on niezmiernie, śmiał się ze wszystkich jego konceptów i ciągle powtarzał: bum-bum! bum-bum!

Natychmiast ojciec poszedł do miasta i tam w dużym sklepie z zabawkami wybrał najpiękniejszego pajaca, ubranego w kolorowe ubranie, z dzwoneczkami na śpiczastej czapce i, zapłaciwszy za niego tyle, ile wynosił zarobek jego za cztery dni, pośpiesznie wracał do domu.

— Oto masz, Franiu! — zawołał, stanąwszy przy łóżeczku chłopca.

I wyjął z paczki ślicznego pajaca.

Franio spojrzał, lecz oczy jego nie zajaśniały radością, jak się spodziewał ojciec.

— To nie Bum-bum! — szepnął smutnie i już nie spojrzał na wystrojonego klauna.

2. Pozostało biednym ludziom jedynie tylko sprowadzenie do Frania prawdziwego klauna. Nie było to rzeczą łatwą, wątpliwe nawet było, czy to się mogło udać, lecz czegóż nie zrobią rodzice, gdy chodzi o zdrowie dziecka?

Stroskany ojciec ubrał się odświętnie i udał się do cyrku, gdzie mu wskazano adres klauna.

Po kilku chwilach znalazł się w bogato urządzonem mieszkaniu wobec eleganckiego pana, który dobrotliwie, lecz z pewnem zdziwieniem zapytał:

— Czem mogę panu służyć?

— Ach, panie! Prośba moja jest dziwna, lecz chodzi tu o zdrowie, może nawet o życie mojego jedynego dziecka. To taki dobry, mądry chłopiec, uczy się doskonale, a teraz chory bardzo, nic go nie zajmuje, nic nie cieszy... doktór kazał, żeby go koniecznie czem rozerwać... On pana widział kiedyś... i teraz w chorobie ciągle woła: Bum-bum! Myślałem więc, że może widok pana pomógłby, że może...— tu głos biednego ojca załamał się — że możeby pan zechciał przyjść do nas?

— A gdzie pan mieszka?

— O, niedaleko! Jakieś dziesięć minut drogi. Ach, panie, proszę, zrób nam pan tę łaskę!

— W tej chwili będę panu służył. Włożę tylko palto. Ot, już jestem gotów! Chodźmy.

W dziesięć minut później rozpromieniony ojciec wpadł do pokoju, wołając:

— Franiu, Bum-bum idzie.

Chłopiec podniósł się nieco i utkwił błyszczące oczy we drzwiach; lecz gdy ukazał się w nich pan, elegancko ubrany, opuścił główkę.

— To nie Bum-bum! — szepnął smutnie.

Klaun spojrzał na chore dziecko i rzekł:

— Chłopiec ma rację. To nie jest ten Bum-bum, którego on chce — poczem wyszedł szybko.

— Już nigdy nie zobaczę Bum-bum! — skarżył się Franio, gdy klaun zniknął za drzwiami.

Upłynęło może pół godziny, gdy za drzwiami zadźwięczały dzwoneczki, a zaraz potem do pokoju wpadł prześlicznie ubrany klaun z ubieloną twarzą, w wesołych podskokach, i począł wywracać koziołki przed łóżkiem chłopca.



Franio roześmiał się radośnie i, złożywszy rączki, z zachwytem patrzał na sztuki klauna, wołającego ciągle: „Bum-bum! Bum-bum!“

Gdy w pół godziny potem przyszedł doktór, zobaczył siedzącego na łóżku Bum-bum, który podawał Franiowi szklankę mleka.

— Pij! bo nigdy już nie przyjdę!

I Franio pił z apetytem, pierwszy raz od wielu, wielu dni.

— Panie doktorze — zawołał wesoło Bum-bum — zdaje mi się, że moje błazeństwa pomogły choremu więcej, niż pańskie lekarstwo!

— Ocaliłeś pan życie dziecku — odpowiedział doktór.

Od tego dnia przed domkiem na przedmieściu zatrzymywała się codziennie kareta, z której wysiadał jakiś pan, owinięty czarnym płaszczem, z zasłoniętą twarzą. W pokoju, gdzie leżał Franio, pan ten zrzucał płaszcz, i oto wyskakiwał z niego Bum-bum i wyprawiał różne pocieszne figle przed chorym chłopcem.

Trwało to aż do zupełnego wyzdrowienia Frania. Gdy ten już wstawał z łóżka, a nawet zaczął wychodzić na ulicę i gdy Bum-bum przyszedł po raz ostatni, uszczęśliwiony ojciec rzekł:

— Uratowałeś nam dziecko, za to niczem ci się wywdzięczyć nie będziemy zdolni. Lecz co jesteśmy panu winni za czas stracony?

Bum-bum uśmiechnął się serdecznie do chłopca, pogłaskał jego już teraz różową buzię i rzekł:

— Pozwólcie mi uścisnąć wasze dłonie i wydrukować na moich biletach wizytowych: dr. Bum-bum, lekarz domowy małego, dzielnego Frania.

Z „Mojego Pisemka“.

23. Nasza Hania.

Nasza Hania pustak wielki!
Same harce i figielki,
Same śmiechy, same psoty;
W całym domu głosik złoty,
Jak skowronek, nam podzwania...
Wielki pustak nasza Hania!
    Nikt się przed nią skryć nie może,
    Pełno Hani w całym dworze.
    Od poranku aż do zmroku

W ciągłych susach, w ciągłym skoku,
Za tym wiatrem się ugania...
Wielki pustak nasza Hania!
Do ogrodu biegnie z rana,
Brodzi w trawie po kolana;
Gdzie jagódka już dojrzeje,
Wnet się do niej Hania śmieje,
Już nie czeka i śniadania...
Wielki pustak nasza Hania!
Tańczy z Brysiem, tańczy z kotem,
Między kury wpada potem:
Uciekają, wrzeszcząc wszędy,
Te na płoty, te na grzędy...
Pełno krzyku i gadania...
Wielki pustak nasza Hania!
Ledwie gdzie zabrzęczą klucze,
Prosi: — To ja się nauczę!
Puścić ją, już sery skubie;
Nie dać, piszczy: — Ja tak lubię!...
Więc szafarka nie zabrania...
Wielki pustak nasza Hania!
Starą nianę wpół pochwyci,
W motowidle starga nici,
Na przetaku zmiesza proso,
Patrzy, gdzie tam pierze niosą:
„Phhuu!“ I na wiatr porozgania...
Wielki pustak nasza Hania!
Ale serce to ma złote:
Niech zobaczy gdzie sierotę,
Zaraz wszystko daćby rada,
Zaraz przy niej w piasku siada.
Zaraz pełno całowania...
Wielki pustak nasza Hania!
Stara niania głową kręci:
Co to, co to się wyświęci?

Czy zmartwienie, czy pociecha?
Ale Hania się uśmiecha:
„Dość już, dość tego gderania!“
Wielki pustak nasza Hania!

M. Konopnicka.

24. Koleżanki.

Już było w drugiej połowie września i lekcje rozpoczęły się na dobre, gdy przełożona wprowadziła do naszej klasy nową uczennicę, Anulkę. Panna Helena zaczęła ją egzaminować i kazała jej czytać jakąś powiastkę.

Lecz Anulka jąka się trochę i zacina w mowie. Skoro parę wierszy przeczytała, Mania i Józia wybuchnęły śmiechem, a za niemi kilka innych dziewczynek nie przez złośliwość, tylko tak, przez dzieciństwo.

Jakież było ich przerażenie, gdy Anulka się rozpłakała. Rozgniewana nauczycielka zawołała:

— Niedobre dziewczęta! śmiejecie się z kalectwa i nieszczęścia: osądźcie same, na jaką karę zasłużyłyście.

— Niech mi pani zły stopień napisze ze sprawowania!— zawołała ze łzami Jula, która nieświetnie się uczy, ale ma dobre serce i nie może patrzeć na cudze zmartwienie.

Inne milczały.

Wtedy Anulka wstała i rzekła wolno, bez zająknienia:

— Niech im pani przebaczy, one nie chciały mi zrobić przykrości; moja wina, że się jąkam i że jestem taką beksą.

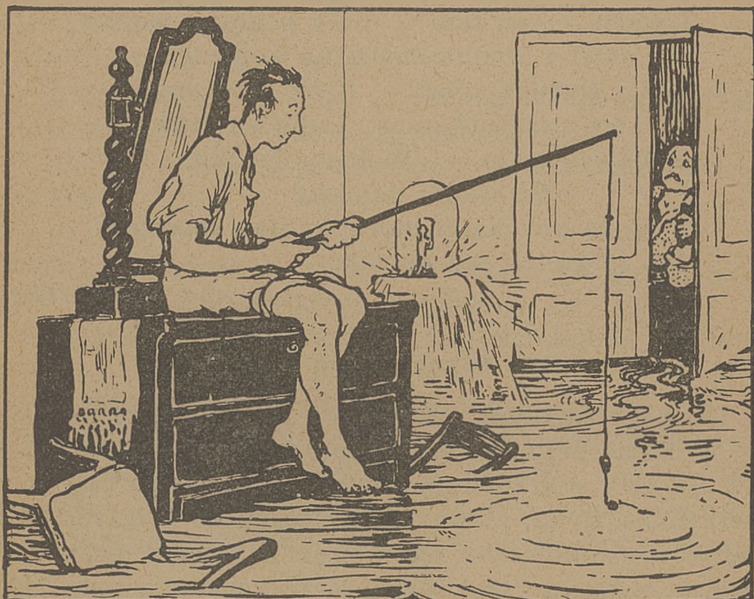
Ta dobroć nowej koleżanki tak wzruszyła inne dziewczynki, że zaczęły ją przepraszać, jakby była starszą osobą, a nie ich rówieśnicą.

Odtąd kochały ją serdecznie, a w klasie zapanowała od tego czasu zgoda i miłość, jak między siostrami w rodzinie.

A. Szycówna.

25. Paweł i Gaweł.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole:
Paweł spokojny, nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole;
Ciągle polował po swoim pokoju:



To pies, to zając między stoły, stołki
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał, i trąbił, i krzyczał do znoju [1]).
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
— Zmiłuj się waćpan, poluj ciszej nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą.

[1]) Znój — zmęczenie.

A na to Gaweł: — Wolnoć, Tomku,
W swoim domku!
Cóż było mówić? Paweł ani pisnął,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,
A tu z powały [1]) coś mu na nos kapie.
Zrywa się z łóżka i pędzi na górę.
— Stuk, stuk!—zamknięte! Spogląda przez dziurę.
I widzi — cóż tam?... Cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie!
— Co waćpan robi? — Ryby sobie łowię!
— Ależ, mosanie, mnie kapie po głowie!
A Paweł na to: — Wolnoć, Tomku,
W swoim domku!
Z tej to powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

A. Fredro.

26. Wyobrażenia dziecięce.

Pewnego razu Jaś usłyszał od parobków, że na księżycu, w czasie pełni, widać chłopa, który gnój nakłada. Odtąd, ile razy zdarzyła się sposobność, leżał po całych wieczorach na ziemi, z twarzą, zwróconą do księżyca. Widywał wówczas mnóstwo rzeczy: raz, że księżyc toczy się, jak koło w obłokach, to znowu, że pod powierzchnią jeziora jest drugi księżyc i drugie niebo, to znowu, że z ponad wód i wilgotnych łąk unoszą się jakieś olbrzymie widziadła w długich, powiewnych szatach. Chłopa jednak na księżycu zobaczył dopiero przy końcu lata.

Jednego wieczoru spacerujący po ogrodzie państwo Anzelmowie usłyszeli krzyk dziecięcy:

— Fornalu! fornalu!... Gospodarzu!...

Zaciekawieni, podeszli w tamtą stronę i zobaczyli Ja-

---

[1]) Powała — sufit, pułap.

sia, który zadarł głowę, twarz zwrócił na księżyc i wrzeszczał, jak opętany:

— Fornalu! fornalu!

Napróżno jednak zapytywali go: co to znaczy?

Zawstydzony chłopak uciekł i dopiero w parę godzin powiedział matce:

— Bo to, widzi mama, ja chciałem się tego chłopa zapytać, jak tam jest na księżycu?

Matka westchnęła.

Innym razem rzucił pytanie:

— Moja mamo, dlaczego ja chodzę, a lalka nie chodzi, chociaż ma nogi i jest do mnie podobna?

— A bo widzisz, moje dziecko, ty masz duszę, a lalka jej nie ma.

— A co to jest dusza?

Matka zamyśliła się i, przywoławszy na pomoc katechizm księdza Putiatyckiego, odparła:

— Dusza... dusza jest to, co w twojem ciele myśli i niem rządzi...

— Przecie ja sam myślę, nie żadna dusza!

Pytanie to trapiło go i chciał się koniecznie dowiedzieć, jak wygląda dusza? Szczęściem nadeszło wkrótce Boże Narodzenie, a gdy Jaś zajrzał do kuchni, gdzie oprawiano ryby, klucznica, podając mu jakiś podwójny pęcherzyk, rzekła:

— Naści, Jasiu, rybią duszę... Strzel sobie z niej.

Jaś miał wielką ochotę włożyć duszę w lalkę: zmiarkowawszy jednak, że ryba co innego, a lalka co innego, nacisnął pęcherzyk nogą i strzelił.

Na drugi dzień świąt przyjechał do państwa Anzelmów miejscowy proboszcz. Siwy, jak gołąb, starowina, wziąwszy w lewą rękę tabakierkę, w prawą ogromny fular, zebrał około siebie dzieci i egzaminował je z religji.

Pytał ich, kto stworzył świat, jak się nazywali pierwsi rodzice, naco Pan Bóg ludzi stworzył?

Jaś na wszystko odpowiadał najgorzej i najbojaźliwiej, dopiero usłyszawszy frazes: co to jest dusza? — krzyknął:

— Ja wiem!

— Bardzo dobrze! bardzo ładnie — chwalił go proboszcz. — No, powiedz już, powiedz... bo ci język, widzę, ucieknie.

Jasiowi oczy świeciły, jak węgle.

— Dusza — rzekł z wielką pewnością siebie — to takie, co strzela.

Starowina, usłyszawszy to, podniósł do góry obie ręce z chustką i tabakierką i zdziwiony zawołał:

— Jezus! Marja! A od kogożeś ty się o tem dowiedział?

— A od klucznicy, proszę księdza, jak oprawiała ryby.

— Moje dziecko... moje dziecko! — mruczał poczciwiec, kręcąc głową. Potem zażył tabaki raz, drugi raz, utarł nos powoli i systematycznie [1]) i dał spokój egzaminowi ku wielkiej uciesze dzieci.

Pani Wincentowa załamała ręce, ale zato pan Anzelm śmiał się tak, że aż mu oczy nawierzch wychodziły.

— Jaki to będzie facecjonista z tego chłopca! — mówił, całując Jasia w jasne kędziory.

Bolesław Prus.

27. ....

— Mama chora, głowa ją bardzo boli, niech panienki siedzą cichutko.

Tak mówiła służąca Julisia do dwóch dziewczynek. Starsza z nich, Kazia, miała już lat dziesięć i nie potrzebowała wcale tej przestrogi. Ona nie miała ochoty bawić się i hałasować, widząc, że mama chora, ale malutka, trzyletnia Irenka, jakby na przekorę, zaczęła grymasić i napierać się do mamy.

— Mój Boże, jakaż to szkoda, że panny Jadzi niema w domu — mówiła znowu Julisia — onaby Irenkę zabawiła i mnie pomogła mamie usłużyć.

---

[1]) Powoli, porządnie.

Jadzia była to starsza siostrzyczka obu dziewcząték. Wczoraj właśnie wyjechała na kilka dni do babci; po jej wyjeździe wszyscy spostrzegli, jak umiała być pożyteczną w domu.

Na te słowa Julisi Kazia zamyśliła się. Ona wprawdzie jest o trzy lata młodsza od Jadzi, ale przecież już nie jest malutkiem dzieckiem, mogłaby także na coś się przydać. Teraz naprzykład trzebaby zabawić rozkapryszoną Irenkę.

— Gdyby Jadzia była w domu — pomyślała sobie Kazia — coby to Jadzia zrobiła? Wzięłaby pewnie jakąś książeczkę z obrazkami, pokazywałaby dziewczynce; Irenka zabawiłaby się i siedziała spokojnie. Czemużby ona, Kazia, nie potrafiła tego samego zrobić?

I zaraz przywołała malutką siostrzyczkę, wzięła tabliczkę, narysowała kotka i ptaszka; Irenka także próbowała wyrysować coś podobnego. Potem opowiadała siostrzyczce różne zabawne bajeczki, które sama układała tak łatwo, by dziecko mogło zrozumieć.

Mama tymczasem usnęła i przebudziła się znacznie zdrowsza. Przywołała zaraz do siebie obie dziewczynki.

— A jaka to grzeczna była moja Irenka! — mówiła mama — tak cichutko siedziała i nie przebudziła mnie! Myślałam, że będzie grymasów bezliku, a Jadzi niema w domu.

— I ja tak myślałam — odezwała się Julisia — ale jest Kazia, także dziewczynka rozumna. O, już teraz i z niej będzie pomoc w domu!

Mama uściskała Kazię, którą te słowa Julisi niezmiernie ucieszyły, bo też wielka to radość dla dziewczynki, gdy wie, że już jest użyteczna w domu.

M. J. Zaleska.

28. Lalki moich dzieci.

Lalki moich dzieci dzieliły się na dwa wielkie obozy: Framużaków i Szkatulaków.

Pierwsi dlatego tak się nazywali, że miejsce ich zamieszkania była framuga w stołowym pokoju, a raczej szafka w murze, na której górnych półkach stały półmiski i talerze; drudzy zaś dlatego, że zamieszkiwali dużą szkatułę, pod piecem w pokoju szkolnym stojącą, niegdyś porucznikowski neseser [1]) podróżny pana Wawrzyńca, ojczystego dziada moich dzieci, gdy ten pod jenerałem Ramorino [2]) służył.

Fabrykacją lalek trudnili się przeważnie chłopcy. Dziewczyny nie umiały ani takiego twardego łba z waty i gałganów uwinąć, ani tak wytrzymałego korpusu uformować, ani rąk i nóg, też z waty skręconych i obszytych płótnem, umocnić tak silnie we właściwem miejscu. Stąd też zapewne pochodziły te linje surowe, prostokątne, ta wzgarda dla wdzięku i miękkości kształtów, jaką się odznaczały te lalki, a także i to, że daleko więcej tak pomiędzy Framużakami, jak i Szkątulakami, było mężczyzn, niźli kobiet.

Z początku oba te obozy żyły razem na dolnej półce framugi, ale kiedy ich coraz więcej przybywać zaczęło, część przeniosła się do szkatuły, skutkiem czego zczasem nastąpiło rozdwojenie, ba... nieprzyjaźń jawna.

Przedewszystkiem Szkatulaki zniewieścieli zupełnie. Wnętrze starego nesesera od srebra, wybite czerwonym, spłowiałym aksamitem i podzielone na różne przegródki, dawało pole do tworzenia coraz to nowych wymagań i zbytków. Tam, gdzie niegdyś stała wielka cukiernica, zrobiono salę balową; na miejscu czajnika był stołowy pokój z korytarzem; po herbatnicy zajął plac sam wódz Szkatulaków, a po ustroniach, dla likierów i rumów przeznaczonych, mieściły się buduary dam. Reszta towarzystwa zajmowała drugą kondygnację [3]), która, jakkolwiek umieszczona pod

[1]) Rodzaj walizy z przyborami podróżnemi. [2]) Generał wojsk polskich w 1831 roku. [3]) Kondygnacja — piętro.

pierwszą, w rodzaju dna podwójnego, niemniej nosiła ślady aksamitu.

Framużaki tymczasem rośli w siłę i prawdziwie męskie prowadzili życie, śpiąc na gołej desce i ledwo damom udzielając osobnego, w pudełku od cygar, schronienia.

Powierzchownością swoją różnili się także wybitnie jedni od drugich. Framużaki chodzili w suknie, z którego Tadzio szył im spodnie, kurtki i gunie na słotę! Wódz ich, książę Józef Poniatowski, nosił frak mundurowy, przepasany szarfą ze wspaniałym węzłem.

Chlubą Framużaków były sztywne gorsy, wyrabiane z kart, odwróconych na różową lub niebieską stronę, a uzbrojenie ich składało się z karabinów, robionych ze smolnego łuczywa dla pospolitaków, tudzież ze szpad, przygotowywanych z obsadek do piór i ołówków, dla starszyzny. Całkiem poślednia służba uzbrojenia nie miała, a także nosiła kurtki bez rękawów, ponieważ rękawy najwięcej do uszycia przedstawiały trudności.

Szkatulaki używali różnych tkanin i materyj. Gemejny [1]) wprawdzie ubierali się ciemno, ale oficerów można było widzieć w kitajkach, muślinach, tiulach różnej barwy. Gorsów też, które Framużakom za puklerze w walce służyły, nie nosili wcale, tylko fontazie [2]), na szyi wiązane.

Wodzem Szkatulaków był książę Manio. Nędza to była fizyczna, wyjątkowa nawet w tym obozie. Łebek maleńki, chwiejący się na obie strony, korpus wątły, nogi cienkie i ogromnie wydłużone, ręce ledwo trzymające się ramion. Ks. Manio nosił bareżowe [3]) czarne spodnie, oszyte u dołu frendzlą, i koronkowy lub jedwabny fraczek. Był tak blady, że prawie nikt go nigdy nie widział stojącym, i najczęściej rozlegiwał się po buduarach damskich. Faktycznym też przywódcą Szkatulaków był Bohdarenko, srogi, dziki, gruby i, jak mówiono, nadzwyczaj silny. Ten ubierał się ze

---

[1]) Szeregowcy. [2]) Krawaty. [3]) Bareż—lekka tkanina z wełny, bawełny lub jedwabiu.

wschodnim przepychem. Najjaskrawsze kawałki materji szły na jego szerokie hajdawery [1]), a nogi miał już raz na zawsze umalowane na żółto, co przedstawiało buty.

I Framużaki mieli swoich popularnych bohaterów, a najsławniejszymi z nich byli Czarniecki, Kościuszko i Chodkiewicz. Współczesność tych mężów z sobą, a także z Poniatowskim, nie raziła nikogo.

Damy Framużaków i Szkatulaków niewiele się pomiędzy sobą różniły. Ale o pierwszych było wogóle daleko mniej mowy, gdy tymczasem drugie ciągle występowały na pierwszy plan w szkatule. Największą, zdaje się, przyczyną tego był salon, zwłaszcza też od kiedy Staś wykroił z kory do niego fortepian, na dwóch patyczkach go obsadził, a klawisze ze skrawków papieru ponalepiał. Raz wraz wtedy balowano u Szkatulaków, a pojedynki, kochania, śluby — ciągle były w robocie.

Marja Konopnicka.

29. Imieniny babuni.

Nadszedł dzień świętej Zofji, dzień piętnasty maja,
Wiosenny ranek ciepłem i blaskiem upaja,
Kwitną bzy i czeremchy, na łące motyle
Próbują podlatywać o własnej już sile,
A gdy z kwiatka się porwą, wydają się same,
Jak latające kwiatki. Przez otwartą bramę
Widać, że się na drodze żółci piasek czysty,
Jak przed przyjazdem gości. Cechy [2]) uroczystej
Wszystko jest pełne w domu: dzieci postrojone
Chodzą z rulonikami, patrząc w jedną stronę,
Krząta się ojciec, matka; lecz z ogólnej miny
Łatwo zgadnąć, że dzisiaj czyjeś imieniny,
Osoby, która bardzo musi być kochana

---

[1]) Rodzaj szerokich spodni. [2]) Cecha — znak, postać.

I bliska, a zarazem bardzo szanowana.
O tak! Zgadnąć nietrudno! Dziś całej rodziny
Święto, dzisiaj babuni drogiej imieniny,
Babuni Zosi. Prawda, że to śliczne imię?
A tak dobrze, że ich się nie obchodzi w zimie,
Lecz w samym środku wiosny, gdy ciepło i ładnie,
Bo nie każda patronka w tym czasie wypadnie!
Jednej z wnuczek to zdanie, samej także Zosi,
Ale wszyscy je dzielą. Wtem: „Babunia prosi,
Chodźcie, dzieci!“ głos słychać, cała więc gromada
Idzie do jej pokoju, życzenia swe składa.
Dla babuni to słodkie, lecz i smutne chwile!
Mój Boże! tak niedawno, a lat temu tyle!
Tak samo była wiosna, dzień tej samej Świętej,
Ten sam pokój, lecz inne ubrania i sprzęty;
Imieniny babuni także obchodzono,
Winszowało tak samo liczne wnucząt grono,
Zda się, ta sama chwila... Jest różnica mała,
Bo nie jej, ale ona wówczas winszowała!...
W dzień imienin babuni nie dziwcie się, dzieci,
Gdy w jej kochanych oczach czasem łza zaświeci.

M. Balińska.

30. Modlitwa babuni.

Zapaliwszy ofiarny knotek w lampce szafirowej, siadła babunia na starym skórzanym fotelu i zaczęła odmawiać pacierz poranny, wzniósłszy oczy do sczerniałego, ale cudownego obrazu Matki Boskiej. Drżącym szeptem, myląc się i zapominając niekiedy, dziękowała Królowej Nieba za ugaszenie przed dwudziestu laty pożaru w stodołach i odpędzenie (dawniej jeszcze) od pól chmury gradowej. Potem modliła się za syna, synowę i wnuczka, za sąsiadów, służbę i dobytek, wkońcu zaś wspomniała długi szereg zmarłych, krewnych, przyjaciół i znajomych. Promienie słońca, ucałowawszy kwiaty, stojące w oknie, ślizgały się po białej

ścianie pokoiku, a odbite od stóp świętego obrazu, nagrzewały kota, który się przy stole wyciągał, i otaczały jasnością brunatną twarz babuni, tudzież suche jej ręce, pokornie do modlitwy złożone.

A ile razy staruszka podniesionym nieco głosem mruknęła: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie“ — i umilkła, tyle razy knotek, już dotykający wody w lampce, cieniutko odskwierczał: „A światłość wiekuista niechaj im świeci“.

Nie dziwiło to babuni, która dobrze wiedziała, że światłość z knotka pochodzi, i że jemu zatem mówić o niej przedewszystkiem wypada.

Po ogólnym następował szczególny pacierz: za jasnowłosą duszę Kazia nieboszczyka, najukochańszego wnuka, który zmarł, mając lat cztery, a dziś miałby już osiem!...

Prawie zawsze przy wspomnieniu tem łzy z oczu płynęły niebodze.

Ach, czemuż go dano przeżyć jej, która od tak dawna ma gotową nad łóżkiem żółtą gromnicę, w kądziel spowitą? W jakim celu trzyma ją Bóg na tej ziemi, gdzie słońce z każdym dniem blask traci, drzewa i kwiaty bledsze są i mizerniejsze, niż niegdyś, gdzie lato od pewnego czasu jest tak zimne, że w lipcu watowanego kaftana zrzucić nie można?

Nie lepiejże byłoby jej tam, w niebieskim pokoiku z Kaziem mieszkać i przez uchylone okno słuchać anielskich chórów, aniżeli tu, bolejąc po wnuku, dziwić się, że jedne ptaki jakoś schrypły, a inne nawet zupełnie głos straciły?

Bolesław Prus.

31. Skrzydlaty więzień.

W pokoju nad oknem wisi klatka, a w niej siedzi czyżyk. Ma wszystkiego poddostatkiem: i jedzenia, i wody. Dzieci pamiętają o nim: co rano wsuwają do klatki kilka gałązek zielonych, żeby czyżyk miał złudzenie ogrodu.

Z początku długi czas ptaszek siedział skulony w kącie klatki, piórka miał najeżone i nie chciał przyjmować żadnego pokarmu. Ale teraz już dzieciom zdaje się, że przywykł i jest zupełnie szczęśliwy.

Wyjeżdżając na letnie mieszkanie, dzieci zabrały ze sobą czyżyka, a klatkę zawiesiły nad oknem, które wychodziło na ogród i było zawsze otwarte.

Ptaszek rozglądał się ciekawie, jakby coś sobie przypominał. Zapach świerku, rosnącego przed oknem, dziwnie go upajał.

Wtem na sąsiedniem drzewie odezwał się jakiś ptaszek. Odezwał się raz, potem drugi, niby głosu próbując, potem polały się dźwięki coraz piękniejsze.

— Co to? — pomyślał nasz czyżyk. — Co słyszę? To moja pieśń rodzinna. Rozumiem dźwięk każdy.

I zaczął przypominać sobie całą swoją przeszłość. Ten las... gęsty świerk... śpiew ojca... życie z braćmi-czyżykami... swoboda... I straszna tęsknota go ogarnęła.

— Ach, weźcie dostatki, weźcie tę piękną klatkę! — wołał czyżyk, bijąc główką o żelazne pręty — a mnie tylko jedno dajcie... swobodę! Ale ludzie nas nie rozumieją... nie rozumieją!...

Ciężko westchnął czyżyk... Było to ostatnie westchnienie ptaszka. Nad ranem znaleziono czyżyka nieżywego.

Dzieci nie mogły zrozumieć, co się stało, czemu czyżyk umarł, jeśli mu niczego nie brakło w klatce.

M. Weryho.

32. Dla chleba.

— Góralu! czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych?...
Świerkowych lasów i hal [1])
I tych potoków srebrzystych,
Góralu! czy ci nie żal!?...

[1]) Hala — pastwisko w górach.

Góral na lasy spoziera
I łzy rękawem obciera
I rzekł: — Ha, darmo, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba!
— Góralu! wróć się do hal,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal,
Co z nimi stanie się, kto wie?...
Czyż ci i starych nie żal?...
A góral, jak dziecko, w głos płacze,
— Och, może już ich nie zobaczę...
Ha, darmo, paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba!
I poszedł z grabkami i kosą,
W guńce [1]) starganej i boso.
Precz poszedł w doliny z hal,
Góralu, żal mi cię, żal!

Michał Bałucki.

33. Koza.

Było to w czasie wojny. Żołnierze przechodzili przez wsie i miasta. Straszny huk armat słychać było zdaleka.

We wsi mieszkała biedna matka z dwojgiem drobnych dzieci. Młodszy chłopczyk miał rok dopiero i był bardzo chorowity; całem jego pożywieniem było kozie mleko, delikatny bowiem żołądek jego nie mógł znieść nic innego. Starsza dziewczynka, sześcioletnia, bardzo kochała swego braciszka, umiała go bawić i do snu kołysać.

Obok izby, gdzie sypiała z dziećmi biedna matka, była mała komórka dla kozy, którą dojono trzy razy dziennie, a mleko dawano choremu dziecku.

Pewnego razu weszło do chatki trzech żołnierzy:

— Macie tu kozę w komórce — przemówił jeden z żoł-

---

[1]) Guńka — wierzchnie okrycie górala.

nierzy do przelęknionej kobiety. — Słyszeliśmy, jak beczała. Oddajcie ją nam natychmiast!

— Na miłość Boga! — zawołała kobieta — naco wam ta koza!

— Zabierzemy ją i zabijemy — odpowiedział żołnierz— głodni jesteśmy, już trzy dni nie jedliśmy mięsa. Zresztą, nie będziemy się wam tłumaczyć. Oddajcie kozę i basta!

— Ach! zmiłujcie się nad nami! — zaczęła kobieta prosić błagalnym głosem — nie bierzcie mi tej jedynej kozy; jeśli ją weźmiecie, biedne moje dziecko zamrze z głodu. Biedaczek nic nie może znieść, tylko mleko kozie.

— Co nam do tego! — rzekł ostro żołnierz — musicie oddać kozę. Przecież to wojna!

Wyrzekłszy te słowa, żołnierz poszedł do komórki, wziął kozę za rogi i pociągnął za sobą. Koza beczała żałośnie, broniła się, jak mogła. Ale na nic to się nie zdało.

Wywlekli już żołnierze biedne zwierzę za drzwi chaty. Wtem przyskoczyła dziewczynka i obydwiema rączkami uczepiła się szyi kozy.

. . . .

Zofja z Rymanowa.

34. Konik polny i mrówka.

Konik polny, co swój cały
Wpośród lata czas prześpiewał,
Tak był na zimę zgłodniały,
Że tylko wiatr nim powiewał.
Żeby też drobina jaka
Z muchy lub robaka —
Nic zgoła!
A więc idzie, płacze, woła,
Do skrzętnej mrówki kołace.
— Pożycz mi, pożycz — powiada —
Kilka ziarnek dla sąsiada;
Jakem konik, tak zapłacę,

By tylko sierpień zawitał,
I procenty, i kapitał!
Mrówka na to: — Opatrz, Boże!
Ja nikomu nie pożyczam;
Do wad moich to zaliczam
Nawet i najmniejszych może,
Ale już mnie nie naprawisz.
Raczej odpowiedz mi na to:
Co robiłeś całe lato,
Że się dziś żebraniem bawisz?
— Tak w dziennej, jak nocnej dobie
Wciąż śpiewałem bezustanku.
— Śpiewałeś? Dobrze, kochanku,
Teraz poskacz sobie!

F. Morawski.

35. Mrówka i pszczoła.

W jesiennej porze, gdy straszna nawała
Całe zniszczyła mrowisko,
I, jak wieść niesie, dwa tysiące blisko
Mrowiego ludu zalała,
Jedna z nich, biedna, płynąc przez czas długi
Na drobnej słomce, jakby Noe drugi,
Gdzieś się tam na brzeg wywlokła,
A szczęsnym pszczółkę napotkawszy łosem,
Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,
Takim zapłakała głosem:
— Posil mię, posil, pszczółko dobra, tkliwa!
Patrz, jak jestem nieszczęśliwa:
Nie mam i jutra czem dożyć.
Nikt na litości nie traci:
Niebo ją stokroć odpłaci:
A i ty możesz zubożeć,
Wesprę cię wówczas, jak ty mnie w tej dobie;
Bo, jak ty drugim, tak i drudzy tobie!

— Wymowna jesteś — pszczółka jej odpowie —
Lecz kiedy taka boleść cię przenika,
Przypomnij sobie biednego konika,
Co także w pięknej wymowie
Twej się litości domagał;
Wszak o ziarnko tylko błagał,
A ty nie tylko, żeś mu nic nie dała,
Jeszcześ mu skakać kazała!

Mrówka się łzami w swym zalewa wstydzie,
Zwraca się, milczy i umierać idzie,
Kiedy z natury swej litośna pszczoła
Tak ją odwoła:
— Wróć, wróć! nie chciałam z twojej szydzić biedy;
Przybliż się, zasil w potrzebie.
Lecz jeśli znowu zbogacisz się kiedy,
A nędzarz przyjdzie do ciebie,
O, niechże prośbą nie błaga daremną.
Nie gardź tą niebios przestrogą:
Pomnij, że i ty płakałaś przede mną
I, jak on, byłaś ubogą.

F. Morawski.

36. Mały roznosiciel.

Mama była niezdrowa, położyła się wcześnie do łóżka, i najstarsza siostra, Marynia, nalewała wieczorem herbatę młodszym dzieciom, Bronkowi i Naci. A Bronek był bardzo grymaśny; przy mamie trochę się powstrzymywał, zato ze starszą siostrą pozwalał sobie na wszystko, i wymysłom nie było końca.

— Niedobra herbata, przeciągnięta, niesłodka! — wołał, krzywiąc się.

— Masz tu kawałek cukru — rzekła łagodnie Marynia, nie chciała bowiem, aby hałas doszedł do pokoju mamy.

— Bułka niedobra, masło stare! — mówił znów krzy-

kliwie grymaśnik — i śmietanki za mało w herbacie, a kożuszka nie dałaś mi, Maryniu, ani odrobinki. Takie wszystko nieapetyczne, fe! Nie chcę, nie będę pił, nie będę jadł tego.

— Widać, żeś niegłodny — powiedziała spokojnie Marynie — skoro ci nic nie smakuje.

— Wstydź się, Bronku — odezwała się Nacia, rozsądniejsza od braciszka, chociaż była młodsza. — Wszystko takie dobre i smaczne, jak zawsze, a ty tylko grymasisz, żeby Maryni dokuczyć.

Już Bronek zabierał się coś niegrzecznego powiedzieć siostrzyczce, gdy odezwał się dzwonek u drzwi wchodowych, służąca otworzyła, i cienki, trochę zachrypnięty głosik zawołał za drzwiami:

— Kurjer Warszawski!

Marynia wybiegła do przedpokoju i dzieci usłyszały, jak mówiła:

— Chodź, chłopczyku; pewnie jesteś zziębnięty, taka słota na dworze i taki wiatr zimny. Ogrzej się troszkę! A możeś głodny? dam ci ciepłej herbaty i bułeczkę z masłem.

— O, i bardzo mi się jeść chce! Niech Bóg zapłaci paniusi — odpowiedział mały roznosiciel.

Marynia powróciła do jadalnego pokoju, a za nią wszedł chłopak i stanął nieśmiało przy progu. Uboga jego odzież była przemokła i przyprószona śniegiem.

— Usiądź sobie, chłopczyku, wypij herbatę i zjedz bułkę — rzekła Marynia, przysunęła mu krzesełko i podała herbatę i bułeczkę Bronka.

Nasz Bronek zapomniał o grymasach i wpatrywał się ciekawie w małego roznosiciela. Biedny chłopczyk taki był uradowany, aż mu oczy zabłysły, gdy podniósł do ust ciepłą, smaczną herbatę i dobrą bułeczkę z masłem. Wypił wszystko do ostatniej kropelki, potem ukłonił się grzecznie i raz jeszcze powiedział:

— Niech Bóg zapłaci paniusi!

Chwycił pod pachę swoje kurjery, wcisnął czapeczkę na oczy i wybiegł znów na zimno i słotę.

Marynia nalała drugą filiżankę herbaty i postawiła przed Bronkiem, nasmarowała bułeczkę masłem i położyła przy nim, ale nie powiedziała ani słowa. Dzieci także milczały.

Bronek wypił grzecznie i spokojnie swoją herbatę, zjadł bułeczkę, a potem przybiegł do Maryni i rzucił się jej na szyję, a gdy ona go uściskała, powiedział:

— Przepraszam cię, Maryniu, że byłem taki niegrzeczny. Herbata bardzo dobra i bułeczka także... Już nigdy nie będę grymasił.

— A gdyby ci przyszła ochota do grymasów — rzekła Marynia — gdyby ci się zdawało kiedy, że ci dają niedobre jedzenie, przypomnij sobie, ile to jest na świecie dzieci biedniejszych od ciebie.

M. J. Zaleska.

37. W drodze do domu.

Było to w niedzielę na letniem mieszkaniu. Dwaj bracia, Mietek i Staś, poszli odwiedzić kolegę, mieszkającego spory kawałek za lasem. Zabawa na dworze szła ochoczo. Ponieważ w tym domu było jeszcze trzech chłopców, pomysłów więc nie brakło. Bawili się w wyścigi, przeskakiwali przez rów, to znów grali w krokieta, w serso lub w piłkę, siedzieli zaś tylko tyle czasu, ile trzeba było na podwieczorek; i ten zresztą każdy zjadał prędko, ażeby wybiec czem prędzej do ogrodu.

Jak długo bawili się, ani Mietek, ani Staś nie wiedzieli; pamiętali tylko, że gdy słońce zajdzie, muszą wracać do domu. Tak nakazywała mama. To też, gdy niebo poczerwieniało i ostatnie promyki słońca ukryły się, Mietek zwrócił się do brata:

— Szkoda! trzeba już wracać!

I pożegnał się z kolegami.

— Ale gdzie moja czapka? — mówił Staś — nigdzie jej znaleźć nie mogę.

Nareszcie znalazła się za kufrem.

Nim się chłopcy pożegnali, już i ściemniać się zaczęło. Do domu było niedaleko gościńcem, ale jeszcze bliżej miedzą przez pole.

Ośmioletni Staś, młodszy od Mietka o trzy lata, był nieco tchórzliwego usposobienia, trzymał więc Mietka za rękę i oglądał się trwożliwie na wszystkie strony.

— Mietku! — krzyknął — spojrzyj; ktoś idzie za nami.

Obejrzał się Mietek i rzeczywiście spostrzegł jakiegoś pana w czarnem ubraniu i kapeluszu.

— No, to śpieszmy się — powiada do Stasia.

I zaczęli biec.

Po chwili woła Staś zdyszany i drżący:

— Mietku, może to zbój jaki!... Na wsi pewno są zbóje. Ja się strasznie boję!

Mietek nic nie odpowiedział. Nie chciał się przyznać, że ów pan i jemu trochę strachu napędził.

Przyśpieszył tylko kroku i czapkę przytrzymał, bo wiatr się naraz zerwał.

— Oj! Mietku, on kijem nam grozi, zabije nas, zabije!— woła chłopiec przerażony i coraz mocniej ściska rękę brata.

— Cicho, Stachu, za chwilę będziemy w domu — uspokajał Mietek.

Do domu rzeczywiście było niedaleko. Chłopcy zwolnili kroku i obrócili się raz jeszcze.

— Patrz, ten pan jakoś się nie rusza: stoi, gdzie stał — rzekł starszy brat.

Chłopcy zatrzymali się i zaczęli się przyglądać.

— Stachu, czy widzisz? Wszak to strach na wróble?

— E... co mówisz? Skąd wiesz, że to strach?

— Ależ tak, to jest człowiek ze słomy, ubrany w zni-

szczone ubranie, stoi w polu, żeby odstraszał ptaki, które zjadają ziarna.

— A dlaczego on kijem rusza?

— Bo wiatr wieje i porusza zawieszonym kijem.

— Prawda! nie było się czego bać! — rzekł Stach i puścił rękę brata.

Śmiejąc się i żartując, chłopcy wrócili szczęśliwie do domu, ale z obawy, żeby ich nie wyśmiano, nie mówili nic o swoim strachu.

M. Weryho.

38. Jak to na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie;
Nad wodą zgarbiony stoi dąb żylasty,
Kędy bielą płótno wesołe niewiasty.

Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.

Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka,
Płynie łódź flisacka, jak szara cyranka,[1])
A za nią ładowne pszenicą galary —
Szum wioseł na falach i śmiechy, i gwary.

Oj! śliczna to ziemia to nasze Mazowsze,
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze!
I sosny roślejsze, i wiśnie kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.

Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką wodę cichą?
Gdzie tyle dziewanny, tyle w łąkach dzwonków,
Tyle piosnek w polu, w powietrzu skowronków?

---

[1]) Rodzaj dzikiej kaczki.

Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku,
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce, moje serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły — oj, tęskno mi do niej!

T. Lenartowicz.

39. Południe.

Z wieży kościelnej, ukrytej w gęstwi konarów, bije dzwon.

Siwą drogą wlecze się brudny chłopiec i szepce zdrowaśki.

Cicho, chłodne południe.

Przez otwarte okno wzrok mój ulatuje ku żółtym pasom dojrzałego owsa.

Nie wszystek jeszcze skoszono.

Smutna, od wschodu zbliżająca się jesień.

Spokój przerywa ciężki, głęboki oddech lokomotywy.

Na białem niebie zawisła chmura dymu.

Czuby kilku młodych wierzb poruszył nagły powiew, lecz ciężkolistne rozłożyste lipy nie drgnęły.

Słychać turkot wozu; na zielonem zboczu trawnika żeruje para gołębi; wiotki motyl zerwał się z fioletowej lucerny i znikł za węgłem domu.

Jestem sam.

Pod płotem czernieje lichy pniak limby — za rok zwiędnie do szczętu.

J. Kasprowicz.

40. Kolaska.

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody;
Konie w biegu się pieniły,
On je ćwiczył, co miał siły.

„Umykajcie, wołał, z drogi!“
Groził kijmi i batogi,
A ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pośpieszył.
Już to wielką świadczył łaskę,
Kiedy skierował kolaskę.
O włos dziada nie przejechał
I z przekąsem się uśmiechał.
Pędzi dalej. Jam rzekł cicho:
„Będzie jemu kiedyś licho:
A wszak nie wyjdzie miesiąca,
On tu wszystkich poroztrąca“,
Ale gdy tak pędem leci,
Strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam na Nowym Świecie
Zawadził o kamień przecie:
Pękły osie u karocy,
A on wyleciał, jak z procy,
I od tej modnej swawoli
Jeszcze go bok dotąd boli.

Kajetan Węgierski.

41. Nad morzem.

1. W piękny poranek letni Marusia stanęła nad morzem. Naokoło niej i za nią leżał miękki i żółty piasek, zmieszany z okruszynami naniesionego przez wodę bursztynu, przed nią rozpościerał się bezmiar wód, posrebrzony blaskiem słońca, drgający, rozkołysany. Co chwila mniejsza lub większa fala podpływała pod nogi dziewczynki, by znów cofnąć się, pozostawiając na brzegu trochę białej piany.

— Patrzcie-no, w bucikach przyszła nad morze! — zawołał tuż za Marusią jakiś chłopczyk o śmiejących się oczach, i po chwili gromadka dzieci z wrzawą i śmiechem otoczyła Marusię.

Wszystkie boso, krótko ubrane, opalone od słońca i wichrów. Marusia, w swojej białej haftowanej sukience, w muślinowej budce i żółtych trzewikach, dziwnie przy nich wyglądała. Dzieci oglądały ją też badawczo dookoła.

— Naprawdę ma żółte buciki — śmieje się znów chłopczyk, oglądając, jakby coś nadzwyczajnego, eleganckie trzewiczki Marusi.

— A sukienka, jak na bal — żartował drugi.

— Kapelusik na pewno wiatr zaraz porwie i na morze uniesie — wołała jedna z dziewczynek.

Marusia stała, zawstydzona żartami i przymówkami wesołych rówieśników. Dopiero teraz widzi, że ładna biała sukienka i żółte trzewiczki dobre są w Warszawie na spacerze, ale tutaj, nad morzem, tylko krępują i hamują swobodę ruchów. A tak się upierała dziś rano, kiedy panna Anna chciała jej dać kretonową sukienkę i płócienny kapelusik.

— Nie pójdę w tej brzydkiej sukni — wołała — dobra jest na wieś, a nie nad morzem.

Teraz milczy, połykając łzy, które gwałtem cisną się jej do oczu. Widzi całą niestosowność swego ubrania, i jednocześnie bolą ją żarty towarzyszy. Przytem zazdrość ją bierze, gdy patrzy, jak dzieci skaczą wesoło po piasku, brodząc po kolana w wodzie, która obryzguje je białą pianą.

I ona mogłaby tak dokazywać, gdyby nie ta sukienka i żółte buciki...

Wtem z gromadki wysunęła się dziewczynka o parę lat starsza od innych.

— Dajcie już pokój tym żartom — rzekła do towarzyszy, wciąż jeszcze bawiących się kosztem Marusi. — Widzicie, że ta dziewczynka dopiero przyjechała i nie wie, jak się ubrać do zabawy.

— Czy możesz zdjąć buciki? — dodała, zwracając się do niej. — Spytaj się o to nauczycielki i wróć do nas. A jutro radzę ci ubrać się inaczej.

Marusia z wdzięcznością spojrzała na swoją opiekunkę i po chwili, oswobodzona z bucików, przyłączyła się do zabawy innych dzieci. Tylko ta nieszczęśliwa sukienka! Tak trzeba uważać, żeby jej nie zamoczyć i nie poplamić. Ale jutro... jutro będzie swobodna.

Tymczasem biega nad brzegiem; nóżki jej zapadają się w wilgotnym piasku, wiatr igra z jasnemi kędziorami.

2. W piasku nadbrzeżnym leży mnóstwo naniesionych przez morze muszelek, mniejszych i większych kawałków bursztynu, które dzieci zbierają w umyślnie na to przeznaczone woreczki. Czasem większa fala zaskoczy je przy „robocie“ i obryzga białą pianą. A w wiecznie rozkołysanym bezmiarze wód pluszczą się swobodnie rybki, zamieszkujące to wodne królestwo.

— Hej, żwawo, do roboty! — woła jakiś głos tuż przy niej.

To chłopcy kopią wielki kanał i jezioro. Kilkanaście rąk, zajętych przy kopaniu dołu, kilkanaście szpadli wyrzuca mokry piasek. Dziewczynki układają wał naokoło wykopanego jeziora. A co śmiechu i gwaru przy tej robocie!

Marusia wkrótce także jest zagarnięta do pracy. Razem z innemi dziećmi kopie w mokrym piasku, wiatr rozwiewa jej włosy, smaga wilgotnym morskim powiewem rozognioną twarzyczkę.

Wkrótce dół jest gotów, pozostaje tylko zawodnić jezioro. Więc dzieci, brnąc po kolana w morzu, kubełkami przynoszą wodę. Marusia już w tej robocie udziału nie bierze, boi się zamoczyć sukienki. A takby rada brodzić z innemi dziećmi po wodzie.

— Mamy już jezioro! — woła nagle któryś z chłopców— lecz co to za jezioro bez ryb! A bo to niema między nami rybaków?

I po chwili kilku chłopców wraca z kubełkami, w których szamocą się drobne rybki. Niedawno tak wesoło pluskały w morzu, teraz szarpią się i męczą uwięzione. Lecz

rozbawione dzieci zdają się tego nie spostrzegać; zajęte zabawą, myślą tylko, żeby dogodzić swojej zachciance. Cóż je w tej chwili obchodzi los i życie biednych rybek?...

Marusia dnia tego wróciła do domu zmęczona; ledwie położyła się do łóżeczka, powieki skleiły się do snu. A w snach widziała znowu rozkołysane fale Bałtyku, słyszała śmiech i gwar dziecinny. I o dziwo! W tym gwarze rozróżniała wyraźnie żałosne głosy biednych rybek.

— Przecież rybki głosu nie wydają — mówiła rano do nauczycielki. — Co to znaczy, że we śnie piszczały tak żałośnie?

Jednocześnie przyszło jej na myśl, że to może te uwięzione wczoraj rybki skarżyły się tak na swoją niewolę.

I serduszko ścisnęło jej się żalem.

— Cóż znowu — pocieszała się jednak, biegnąc po chwili nad morze. — Przecież im tak bardzo źle nie jest. Mają pełno wody i mogą sobie pływać swobodnie. Zresztą — dodała w myśli — poproszę dzieci, i wypuścimy je znowu na wolność.

Uspokoiła się zupełnie tą myślą i w wesołych podskokach biegła na miejsce wczorajszej zabawy.

Nad wykopanem jeziorem stało już kilkoro dzieci. Woda, naniesiona do dołu, przez noc wyschła, na spodzie leżało kilkanaście martwych rybek.

Teraz zrozumiała Marusia, czemu we śnie rybki zdawały się skarżyć tak żałośnie, czemu zdawały się mówić:

— Poco wy, dzieci, które tak cenicie swobodę, dla igraszki pozbawiacie nas wolności i życia?

Zresztą podobne myśli musiały dręczyć i inne dzieci, gdyż wszystkie milczały zawstydzone. Dobra chwila minęła, zanim wróciły do wesołej, swobodnej zabawy.

Kopały rowy i jeziora, puszczały statki na wodę, lecz rybkom pozwoliły już pluskać się w morzu swobodnie... Zrozumiały, że, odbierając wolność, pozbawić można czasem i życia.

Br. Okolska.

42. Dzielny chłopiec.

Śpiewam sobie wesół,
Jak to ptaszę Boże,
Powiedzcie mi, ludzie,
Co mię smucić może?

Gdy skończę naukę
I złożę książeczkę,
Patrzę, w czem wyręczyć
Kochaną mateczkę.

Czy to przynieść wody,
Czy urąbać drzewa,
Lepiej ja potrafię,
Niż się kto spodziewa.

Czasem też i tatuś
Każe pomóc sobie,
To lecę i słucham
I w mig wszystko zrobię.

Wyjdę na ulicę:
Roboty niemało
Znajdzie się tam zawsze,
Jakby mnie czekało.

To dziadka obronić
Przed Burkiem niecnotą,
To Józię maleńką
Trza przenieść przez błoto.

Ja nie wiem, doprawdy,
Przez jakie to czary,
Lecz każdy mnie lubi,
I młody i stary.

Mrozowicka.

43. Ilustracja bez tekstu.



44. Zdanie.

Ze wszystkich skarbów na świecie największym skarbem jest młodość.

H. Sienkiewicz.

45. Żebrak i kamień.

Utknął żebrak na kamieniu,
Zabolało go to trochę;
Więc w niebacznem uniesieniu
Nuż wynurzać myśli płoche:
— Naco ten kamień śród drogi!
Próżna przechodniom zawada! —
Wtem pies ogromny wypada...
On podniósł kamień, pies w nogi.
Często, gdy kogo małe nieszczęście spotyka,
Większego przez to unika.

St. Jachowicz.

46. Przysłowie.

Płot trzy lata, kot trzy płoty,
Człek trzy konie, koń trzy koty.

47. Wojtuś.

... Gdy „tato“ umiał już i „nana“,
I „papu“ cienkim szczebiotać językiem,
Ojciec wieczorem brał go na kolana,
Huśtał i szeptał: „Jestem twym konikiem“,
A Wojtuś z śmiechem i dziecięcym krzykiem
Rwał się do góry, chwytał go za szyję,

I: „Wio, wio!“ śmigał nad głową biczykiem,
Aż mu w oczęta jasne, jak lilije,
Znużenie swemi wargi ciepłemi się wpije.

Wówczas go matka kładzie w kolebinę,
I nachyloną twarz do niego tuli,
I: „Śpij, mój złoty! skarby me jedyne!
Luli, mój synku; mój najdroższy, luli!...“
I tak się z sennym pieści i tak czuli
I tak mu nuci: „O mój mocny Boże!“
Aż w sen się skleją i oczy matuli,
Aż nad kołyską i ją trud przemoże,
By znów ją ze snu zbudzić, zanim jeszcze zorze

Zalśnią czerwone na lipcowem niebie.
Nim blaski rana, nakształt złotych pszczółek,
Wypoczną rojem na kwiecistej glebie.
I pierwsze rosy spiją z świeżych ziółek,
Zanim się w siatkę, pełną kraśnych kółek,
Przemieni woda, którą wietrzyk lekki
Wzrusza, gdy, nocny rzuciwszy przytułek,
Idzie się z bratem porankiem na wieki,
Połączon z nim tak wiernie, wykąpać śród rzeki.

J. Kasprowicz.

48. Chata Skrobka.

Pełen zielonego zmierzchu i świeżości od wielkich liści łopianu, który się tu lasem prawie rozrastał, leżał ten zakąt uroczy między owym zapuszczonym, wiśniowym, w kwiecie stojącym sadem a modrą, wijącą się wśród łąk niskich strugą.

Do sadu przytykała z jednej strony lepianka ubogiego Skrobka, a z drugiej mały kawałek ugoru, na którym bujały żółte dziewanny i puszyste cykorje, wśród mietlic tak gęstych, że całe te to odłogiem już oddawna leżące pólko wydawało się zdaleka srebrzyste i złote.

Ale na wąskiej miedzy, która je od olszyny dzieliła, rosły tu i ówdzie krzaki głogu, osypanego różowem delikatnem kwieciem. Ile słowików co noc śpiewało, ile ich się odzywało z olszyny, tegoby nikt nie zliczył.



Próbowały je przekrzyczeć żaby, których tu wielka moc była, pomagały żabom kurki wodne i cyranki, gnieżdżące się wśród trzcin i tataraków ponad modrą strugą, ale przecież nic nie mogły. Chóry żab, ptactwo wodne swoją drogą, a słowiki swoją. I tak to szło całemi nocami.

Nie przeszkadzała im i ta bliskość chaty ubogiego Skrobka, o której kto nie wiedział, to ją minąć mógł i nie widzieć nawet, tak była gałęźmi wierzb płaczących i wysoko wyrosłem zielskiem nakryta, tak głęboko w ziemię schowana.

Ludzką siedzibę zdradzała tylko smużka dymu, wymykająca się poprzez ten gąszcz zieleni, ku niebu, kiedy w południe Skrobek dzieciom i sobie kartofle w kominie warzył. Pies tu nawet nie zaszczekał, iż go czem żywić nie było, a i pilnować także nie miał czego.

Do takiej chaty zły człowiek nie zajrzy, a podróżny ją minie.

M. Konopnicka.

49. Na polu.

Na tem naszem polu
Jest wszelakie zboże;
Będzie dosyć chleba,
Jeśli Bóg pomoże.

Z tej złotej pszeniczki
Będzie mączka biała;
Lubi z niej kluseczki
Nasza Julcia mała.

A z tego jęczmienia
To znów będzie kasza;
Oj, lubi ją, lubi
Ta Zosieńka nasza!

Kasza będzie z gryki,
Kasza będzie z prosa,
Co się na niem z rana
Błyszczy jasna rosa.

A z tego owieska
Obrok dla konika,
Jak go sobie podje,
To dopiero bryka!

A z tego to żyta
Będzie chleb powszedni,
Dostaną go dzieci,
Dostaną i biedni.

Kto ma swoje pole,
A na polu zboże,
Ten i sieroteńki
Ubogie wspomoże.

Stoi Janek w progu,
Sierotę zaprasza...
— „Jedzże, sieroteńko,
Co da ziemia nasza"...

M. Konopnicka.

50. Dowcipny podróżnik.

Pewien podróżny, jadąc podczas surowej zimy do odległego miasteczka, tak przemarzł w drodze, że musiał dla ogrzania się zatrzymać w karczmie. Zajeżdża tedy skost-

niały i zziębnięty, otwiera drzwi i radby jak najprędzej dostać się do ciepłego komina. Aż tu widzi, że miejscowi ludzie obsiedli komin dokoła i grzeją się przy ogniu, a na niego żadnej nie zwracają uwagi.

— Co tu robić, żeby oni ustąpili? — pomyślał chwilkę i nagle głośno zawołał:

— Hej, panie karczmarzu! macie wino?

— Jest, panie.

— No, to dajcie pół butelki wina, tylko dobrego, weźcie tego oto pieczonego zająca, co go przywiozłem w torbie, i zanieście to wszystko memu koniowi!

— Jakto? koniowi zająca i wina? — pyta zdziwiony gospodarz. — Zapewne owsa i siana, chciał pan dobrodziej powiedzieć?

— Zająca i pół butelki wina, mówiłem! — wrzasnął niby rozgniewany podróżny.

Karczmarz, ruszając ramionami, wyszedł, a za nim w jednej chwili poczęli wymykać się inni, zaciekawieni, coby to był za koń, co się pieczystem karmi, a winem popija.

. . . .

M. Brzeziński.

51. Szkatułka ze złotem i wór z kaszą.

Szkatuła, pełna złota, śmiała się raz z wora...
Tegoż właśnie złodzieje do skarbu wieczora
Wkradli się, zamek zdarli, zawiasy odkuli
I, żeby złota dostać, szkatułę popsuli.
Widząc wór, który z kaszą odpoczywał w oknie,
Że w kawałki rozbita na podwórzu moknie,
Rzekł do niej: — Jam ocalał, mając tylko kaszę.
Nie trzeba się wynosić z tego, co nie nasze!

Ign. Krasicki.

52. Gwóźdź.

Kupiec, sprzedawszy na jarmarku towar swój z korzyścią, wybrał się z pełnym trzosem w drogę, aby przed nocą stanąć w domu. Trzos z pieniędzmi przytroczył do siodła, wsiadł na konia i pojechał.

Na pierwszym popasie, w miasteczku stajenny przed odjazdem przyprowadził konia kupcowi i rzekł:

— Panie, waszemu koniowi brak przy tylnej lewej nodze gwoździa u podkowy.

— Nie szkodzi — odrzekł kupiec — te cztery mile, które mam jeszcze przed sobą, podkowa wytrzyma. Muszę się śpieszyć.

Około południa, gdy znowu zatrzymał się na popas i koniowi obroku dać kazał, przyszedł parobek do izby i rzekł:

— Panie, koniowi waszemu brak podkowy przy tylnej lewej nodze, widocznie ją zgubił. Czy mam go zaprowadzić do kowala?

— Nie potrzeba — odrzekł kupiec — dwie mileczki, które mam przed sobą, koń wytrzyma. Muszę się śpieszyć.

I odjechał. Wkrótce koń zakulał, potem zaczął na dobre utykać, wreszcie upadł i złamał nogę. Cóż począć? Kupiec był zmuszony konia na drodze zostawić, wziąć tłumok na plecy i ruszyć dalej piechotą. Zmordowany, zgłodniały i zziębły dopiero późno w nocy przywlókł się do domu.

Łataj dziury, póki czas!

Józef Chmielewski.

53. Nasza wioska.

Nasza wioska taka śliczna,
Że piękniejszej niema w świecie!
Każdy kącik nam tu znany,
Każda chata, każde dziecię.

Na pagórku dworek stoi,
Srebrna rzeka płynie w dole,
A za dworkiem sad zielony,
I pod dworkiem dwie topole.

Pod wrotami w swojej budzie
Siedzi Burek, stróż domowy,
A w stajence rżą koniki
I w oborze stoją krowy.

Na dziedzińcu ptactwo chodzi;
Kaczki, kury i kurczęta,
Dwa koguty i pan indyk,
Sztuka dumna i nadęta.

U stóp dworku, wśród doliny,
Jak na dłoni, wioska leży;
Z poza krzewin krzyż połyska
Na kościołku starej wieży.

Co niedziela, kiedy rankiem
Na modlitwę dzwonek woła,
Jedziem parą dziarskich siwków
Z rodzicami do kościoła.

Bór sosnowy duma wdali,
Jak staruszek siwobrody;
Tam chodzimy z naszą mamą
Na orzechy, na jagody.

W łąkach rosną barwne kwiaty:
Chabry, maki i sasanki;
Hej! zrywamyż je, zrywamy
Na bukiety, na równianki.

A gdy przyjdzie letnią porą
Dożynkowy czas wesoły,
Żytem, owsem i pszenicą
Napełniają się stodoły.

W naszej wiosce dni nam błogo
Pod opieką płyną Boską,
Ach! kochamy cię serdecznie,
Ty rodzinna nasza wiosko!

M. Konopnicka.

54. O zachodzie.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieńszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski, więc już i wszystkie szmery leśne zlały się w poważne i ciche, choć ogromne, chóry: to bór, nim zaśnie przed nocą, modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą, i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Och! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Och! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców-dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry-sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiaździstą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała mu na wysokościach, na wodach, na lądach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną, a mocną woń żywiczną. Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje.

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszemi złotemi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojcze nasz.

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem, posępne czoło nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry, radujcie się, bo pada rosa wieczorna.

I wśród tych chórów jedna tylko osiczyna drży lękliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się lękliwy głosik cichy, jak brzęczenie komara, cichutki, jak cichość sama.

Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo, chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg.

Henryk Sienkiewicz.

55. Wilk i żóraw.

Gnat ostry utkwił wilkowi w gardzielu,
Że aż krwią broczy.
Wtem idzie żóraw, mękę wilka zoczy,
Więc się zlitował, a po trudach wielu
Kość srogą z gardła wyciąga
I pyta wilka: — A co, przyjacielu,
Cóż mi dasz teraz, bo wszakże ci lepiej?
Zapłać więc, bracie!—
Wilk wstrząsa się, krzepi
I krzyknie groźno:—Nie dam ni szeląga!
Bądź kontent, żem ci łba nie użarł, ośle! —
Zakręcił kitą i odszedł wyniośle.

Wł. Anczyc.

56. Kuropatwy.

Jakże dobrze być pisklęciem, żyć pod opieką czułą pary rodzicielskiej w gąszczu koniczyny albo pszenicy!

Świat uśmiecha się pogodą słoneczną, pachnie kwiatami.

Pieśni słowicze, przepiórcze i przegrywki świerszczów brzmią naokoło. Zające młodociane wyprawiają pląsy ucieszne przy księżycu.

Raj życia!

Przyszłość rozkosznie przemawia do wyobraźni ptaszęcia, które, otoczone pieszczotami matki, szczerze wierzy, że żywot ziemski jest jednem pasmem szczęścia. Sześcioro braci i sióstr wylęgło się w gnieździe, ogrzewanem piersią macierzyńską. Ciepło serca tkliwego powołało tę dziatwę do życia.

Kurczątka drobne, kuse, przyodziane w puch miękki, opuściły chatę natychmiast po urodzeniu. Skorupki jaj jeszcze wisiały u skrzydełek, tkwiły na czubkach główek. Maleństwo utykało, chwiało się na nóżkach wątłych, i tak popiskując, uciekało za panią matką po brózdach.

Tatuś, bohater dzielny, strażuje gdzieś na kresach miny, odwraca niebezpieczeństwo groźne od strzechy rodzinnej. Matusia, bóstwo dobroci, ciągle przebywa z drobiazgiem, a karmi, a naucza, a wychowuje. Oj, droga jest ta pierś rodzicielki, naga, pozbawiona pierza od długiego wysiadywania na gnieździe!

Taka miłość serdeczna i poczucie wspólności ożywiają rodzinę, że tu niema: „ja, ty, on“, tylko „my“ tkwi w duszy każdego. Jest nam bardzo dobrze! Ale matka biedactwo zawsze gotowa oddać życie za dzieci, nie dojada, nie dosypia, szczyt poświęcenia. Koniczyna zwalona już leżała na pokosach, schła, pachniała.

Była to chwila wielce pamiętna, kiedy o zmroku ojciec chrobry, stojąc na miedzy, przemówił do swej czeladzi:

— Wziąć nogi za pas i ruszać w derdy na niwę grochową! a pomykać chyłkiem, cichutko bez szmeru najmniejszego! Za mną, dzieci!

W kilkanaście dni potem rodzina musiała się znowu przesiedlać z grochu w kartofle i proso. Zające, przepiórki robiły to samo.

Świat się zmieniał, szpetniał. Ziemia coraz bardziej łysiała, płowiała.

Jastrząb na stałe wyniósł się z lasów w pola, krążył ponad rżyskami, badał zwysoka pastwiska kuropatw, kotliny zajęcze. Na szczęście ojciec umiał zapobiegać napaści.

To gorsza, że człowiek rozpoczął teraz polowanie codzienne z wyżłem i bronią palną. Rodzic stary, zawsze waleczny w obronie swoich, pierwszy zginął od kuli ołowianej. Był taki mądry, taki mężny i zginął...

Zlany krwią spadł na rżysko, trzepotał skrzydłami, konał. Wyżeł nadbiegł, wziął go w zęby, przyniósł do ręki pana — klęska!...

Strata ojca-wodza stanowiła początek rozbicia rodziny. Matka owdowiała miała tylko serce dla dzieci, nie umiała trzymać gromady w karbach karności. Pies zawzięcie tropił stado, a huki strzałów zabójczych nieciły przestrach ogromny, rozrzucały rodzeństwo po okolicy. Rozbitki głosem smutnym, trwożnym zwabiały się o zmroku, aby codziennie opłakać stratę brata lub siostry.

Nareszcie jednego razu — o żałości przesmutna, zabrakło matki!... Napróżno sieroty wołały tęskliwie.

— Bywaj, matusiu nasza luba, bywaj!

Przepadła dla nich na zawsze. Syn pierworodny, głowa zdolna, zastąpił zczasem ojca i hetmanił gromadzie; ale serca matki nikt, nigdy nie zdoła zastąpić. Taka tkliwa, taka dobra, piękna w czynach swoich i zginęła... Mróz ścisnął, śniegi zwaliły, zima przyszła, kruki i wrony z krakaniem lecą za żerem od borów. Jastrząb posępny po całych

dniach odprawia czaty na gruszy polnej lub na stogu siana.

Adolf Dygasiński.

57. Talar [1]) i czerwony złoty [2]).

Talar, zwierzchnią postacią swoją okazały,
Gardził czerwonym złotym, dlatego, że mały:
Gdy przyszło do zmieniania, nie patrzano miary,
Złoty pieniądz, choć mały, wart był trzy talary.

Ignacy Krasicki.

58. Przysłowia.

Do grosza grosz, napełni się trzos.
Nie wścibiaj nosa do cudzego grosza.
Grosza kto nie ceni, będzie stał w cudzej sieni.
Grosz okrągły, kiedy z ręki; gdy do ręki, to ma sęki.
Grosz oszczędzony może uróść w miljony.
Grosz trzy razy obejrzyj, nim go raz wydasz.
Kto o grosz nie dba, ten go nie wart.
I grosza nie ma przy duszy.
Drogi Kraków i za grosz, gdy kto grosza nie ma.
Lepszy grosz zarobiony, niż dwa darowane.
Lepszy grosz otrzymany, niż dukat obiecany.
Więcej wart grosz zarobiony, niż dukat ukradziony.
Nie wart złamanego szeląga.
Być znanym, jak zły szeląg.
Dobry żart tynfa wart.
Nie ten bogaty, kto ma dukaty.
Lepszy grosz na ziemi w potrzebie, niż sto dukatów w niebie.

---

[1]) Talar = 6 złotych dawnych. [2]) Czerwony złoty, dukat = 18 złp dawnych.

Pieniądze się toczą, bo okrągłe.
I z nędzy można przyjść do pieniędzy.
Musi żyć w nędzy, kto nie ma pieniędzy.
Nie zasypia w nocy śmiele, kto ma pieniędzy zbyt wiele.
Dobra rada lepsza jest, niż pieniądze.

59. Wieś.

Cudze chwalicie,
Swego nie znacie;
Sami nie wiecie,
Co posiadacie!
A boć nie śliczne
Te wioski liczne!
Ten kraj kochany,
Bogate łany,
Bujne ogrody,
Łączka wesoła,
A na niej trzody
Widać dokoła.
Zdaleka borek,
Na górze dworek,
Wkoło topole,
A tam na dole
Strumyk, jak wstęga,
Ku rzece sięga.
Tu niskie chatki,
A przy nich dziatki
Hoże, rumiane,
Jak malowane.
Przy chatce chatka,
W pracy czeladka,
W polu figury[1]),
W podwórku kury
I pies przy budzie!
A co za ludzie!
Każdy gotowy
Sercem i słowy
Przyjąć w gościnę:
Da i pierzynę,
Sobie odejmie,
A da uprzejmie.
My nie ostatni:
Tu uścisk bratni
Rzecz to nierzadka.
Tu zacna matka
Uczy pacierza,
Dobro rozszerza,
O Bogu prawi
I błogosławi.

St. Jachowicz.

---

[1]) Krzyże przydrożne.

60. Zachód słońca.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzie niegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany.
Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świecące,
Tam, jako trzody owiec, na murawie śpiące,
Owdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli pożółknął, zbladnął i poszarzał,
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło
I, raz ciepłem powietrzem westchnąwszy — usnęło.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach błyszczały wilcze oczy, jako świeczki,
A dalej u ściśnionych widnokręgu brzegów
Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaświecił,
Wyszedł z lasu i niebo i ziemię oświecił.

A. Mickiewicz.

61. Przed Instytutem głuchoniemych.

Józio, mieszkaniec Warszawy, idąc z mamą do ciotki, która mieszkała na ulicy Wiejskiej, przechodził przez plac Trzech Krzyży. Na jednym wielkim domu wyczytał taki napis: „Instytut dla głuchoniemych i ociemniałych“.

— Mamo, to tam mieszkają sami niewidomi i głusi? — zapytał. — Co oni tam robią?

— Uczą się, moje dziecko.

— Jakto uczą? Czyż ślepi i niemowy mogą się czego uczyć?

— A nie pamiętasz, jak niewidomy grał ślicznie do tańca na imieninach stryjka?

— Prawda. To on się tu nauczył?

— Pewnie, że tu. Nieszczęśliwi rodzice, którzy mają dzieci niewidome lub głuchonieme, tutaj je oddają na naukę. Ślepi uczą się muzyki, różnych nauk i robót, a nawet uczą się czytać na wypukłych literach, które rozpoznają dotykaniem palców. Głuchonieme dzieci uczą się czytać, pisać, rysować, różnych nauk i rzemiosł, a nawet mówić. Patrzą, jak nauczyciel usta otwiera do wymawiania rozmaitych wyrazów, i w ten sposób mogą zrozumieć, co się do nich mówi, a także starają się go naśladować. Głos ich wszakże jest nieprzyjemny, ponieważ swej mowy nie słyszą. Uczą się także mówić na migi z pomocą palców, i taka rozmowa idzie im pomiędzy sobą bardzo prędko.

Józio słuchał opowiadania mamy z zajęciem. Wtem otworzyły się drzwi zakładu i wyszło mnóstwo dzieci na dziedziniec. Jedne były spokojne, szły wolno, i prawie wszystkie miały niebieskie okulary; inne biegały szybko albo łączyły się w kilkoro, robiły różne ruchy rękami, palcami, głową.

Józio poznał odrazu, że pierwsze dzieci były ociemniałe, drugie — głuchonieme. Prosił mamę, aby przystanęła chwilę, i przypatrywał się biedakom ze współczuciem. Dwóch nauczycieli i kilka nauczycielek chodziło między dziećmi. Rozmawiali oni z niemi, a Józio zauważył, że mieli wyraz twarzy bardzo łagodny.

— Jacy oni muszą być dobrzy — mówił chłopczyk — że uczą takie nieszczęśliwe dzieci!

Kiedy Józio u cioci zaczął opowiadać, co widział i o czem się dowiedział, ciocia rzekła:

— Za dwa dni będzie doroczny egzamin w tym zakładzie; znam jednego z nauczycieli i, jeżeli chcesz, pójdę z tobą na ów popis, a zobaczysz, ile te biedne dzieci umieją, jakie śliczne wykonywają rzeczy i jaki to zakład pożyteczny.

J. Chrząszczewska i J. Warnkówna.

62. Do lipy.

Wiem, lipo, że nie dla mnie stoisz tak wyniosła,
Nie dla mnie liściem cieniącym obrosła,
Lecz, żem swobodnie użył twego cienia,
Przyjmij serca dziękczynienia.

K. Brodziński.

63. Co te dzieci robią.

1. — Co te dzieci robią na ulicy? — pytał Gucio, wyglądając oknem domu, stojącego na jednej z dolnych ulic Warszawy.

— Widzę, że coś starannie zbierają — odpowiedziała mama. — Ale co zbierają, tego nie wiem, może co zgubiły.

— O nie! Widzę je już od samego rana, ile razy spojrzę przez okno. I to nie pierwszy raz dziś; już kilka razy było tak samo. Otworzę okno i spytam, co zbierają.

Gucio gotów był wykonać swój zamiar; zabierał się już otworzyć okno.

— Zapominasz, że to trzecie piętro, a przytem turkot na ulicy, dzieci więc nie usłyszą cię, zresztą wychylać się jest niebezpiecznie. Gdybyś stąd wypadł, chybaby po kawałeczku cię zbierano. Pójdziemy na przechadzkę, wtedy przypatrzysz się i zapytasz, jeżeli te dzieci jeszcze tam będą.

Kiedy Gucio wyszedł na spacer, zobaczył dwoje dzieci od 7-iu do 9-iu lat, zajętych zbieraniem małych kawałeczków koksu [1]), które spadały przez szparę między deskami z wozów, jadących przez tę ulicę do pobliskich fabryk.

Kawałeczki były drobne i leżały niezbyt gęsto na ulicy, to też dzieci z koszyczkami w rękach biegały z jednego końca ulicy na drugi, pochylone ciągle, aby prędzej dostrzec leżący kawałek i nie dać się ubiec innym dzieciom,

---

[1]) Koks — węgiel, z którego wydobyto gaz do oświetlania.

które również powychodziły z koszyczkami z sąsiednich kamienic.

Gdy już dzieci miały koszyki napełnione do połowy, zsypywały koks razem, i jedno niosło koszyk do izby, gdy drugie zostawało na miejscu, aby przez ten czas nie stracić kawałków, wypadających z nadjeżdżającej skrzyni z węglami.

Mama z Guciem przypatrywali się długo krzątającym się dzieciom, a wreszcie zaczęli się wypytywać i dowiedzieli się, że one zbierają koks na opał dla matki, biednej praczki, która mieszka w tej kamienicy w podwórku. Dziewczynka, odnosząc napełniony koksem koszyk do izby, zaprowadziła tam Gucia i mamę.

2. Gdy weszli do izby, trudno było narazie coś dojrzeć, gdyż kłęby białej pary buchały za każdem otworzeniem drzwi. Przypatrzywszy się, Gucio dostrzegł wreszcie w kącie łóżko i na niem leżącego człowieka bardzo bladego. Był to sparaliżowany ojciec rodziny. Obok łóżka bawiły się na ziemi dwie małe dziewczynki, z których młodsza miała cztery lata. Na środku izby stała na stołku ogromna balja, pełna bielizny; matka tych dzieci polewała ją gorącą wodą i para buchała na całą izbę.

Zobaczywszy wchodzących, praczka wytarła ręce i zaczęła rozmawiać z przybyłymi o swych dzieciach i o swojem zajęciu.

— Gdyby nie Stefcio i Jania, tobyśmy, proszę pani, chyba wszyscy z głodu pomarli. Mąż mój leży oto już trzeci rok, dzieci drobne, odejść z domu na zarobek niepodobna. Tyle tylko mogę zapracować, co na miejscu, w izbie. Biorę do prania bieliznę robotników fabrycznych. Ale trzeba cały dzień grzać wodę, a węgiel tyle kosztuje, że małoby mi z zarobku zostało. Lecz te małe bąki przez dzień uzbierają zawsze tyle, że węgla kupować nie potrzebuję; a to wynosiłoby dziennie kilkadziesiąt groszy. Mogę powiedzieć, że dzieci nas żywią; a jednak ciężka to praca, cały

dzień schylać się jednym ciągiem i po ździebełku, jak te mrówki do mrowiska, naznosić tyle opału, to i staryby się spracował.

— A posyłacie ich do szkoły? — zapytał Gucio?

O tem ani myśleć, choćby dzieciska i chciały, bo któżby mi wtedy opału dostarczył? Z kupnemi zaś węglami nie zarobiłabym jednemi rękami ani połowy na tyle gąb.

Gucio słuchał ze zdumieniem wielkiem, a zarazem z szacunkiem; nie chciało mu się wprost wierzyć, aby dwoje małych dzieci swemi drobnemi rączkami żywiło całą rodzinę!

Jednak tak było! A przytem dzieci pracowały tak chętnie, wesoło, z takiemi uśmiechniętemi buziami.

Gdy Gucio wyszedł z mieszkania praczki, był bardzo zamyślony przez cały czas przechadzki, a nawet po powrocie do domu. Chciał wynaleźć jakiś sposób, któryby pozwolił Janince i Stefciowi chodzić do szkoły. Zdaje się, że rodzice mu dopomogli, bo dzieci w zimie już się uczyły.

Wila.

64. Rubelek Tesi.

Maj, wiosna wokoło,
Pogodnie, wesoło,
Zielono, błękitnie.
Co kwiatek — to kwitnie,
Co ptaszek — to śpiewa.
Gaj, pola i drzewa
Brzmią w kolej, jak tony
Tej pieśni i struny.

I oto w ogródku,
Po kwiatach, w drzew chłódku,
Wśród pląsów, igraszek,
Jak kwiatek, jak ptaszek,
Tesiutka malutka,
Swawolna filutka,

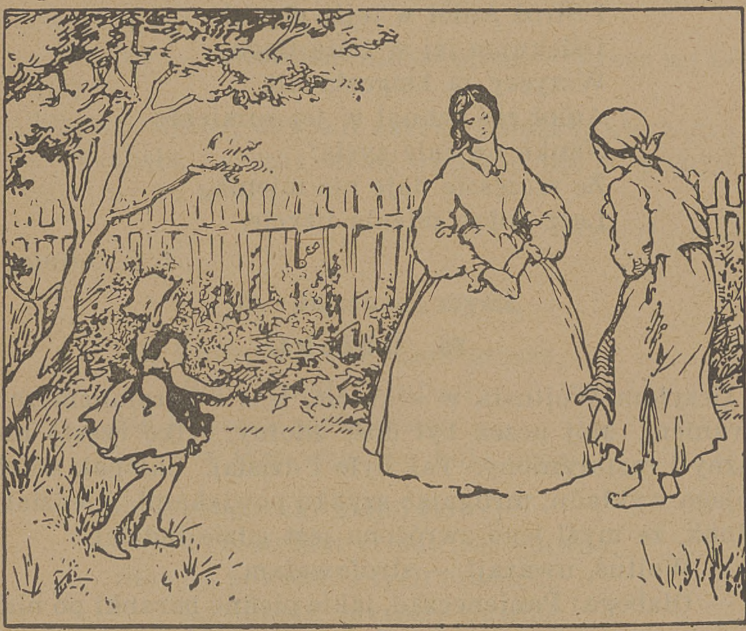
To śpiewa, to biega,
Aż sad się rozlega
To piosnką, to śmiechem,
To kroków jej echem.
A na ganku, jak co ranku,
Za wczorajszą w polu pracę
Robotnikom, najemnikom
Ojciec, siedząc, dzieli płacę.
Postrzegła,
Przybiegła
I obces[1]) do taty:
— Jaki ty bogaty!
Dajże i mnie, proszę,
Choć grosz, choć trzy grosze!
— A za co? — Ej, tato!...
— A na co? — Ot na to:
Na włóczki, koralki,
Na różne zabawki,
Na suknię dla lalki,
Obróżkę dla Żwawki.
I nagle, jak sroczka,
Porwała rubelka,
I rada z figielka
Uciekła, jak skoczka!
Po godzinie ojciec słucha,
W całym sadzie cisza głucha,
Nikt nie skacze, nikt nie śpiewa,
Gdzie to Tesia? W cieniu drzewa,
Twarz na dłoni, dłoń na sęku,
Siedzi wsparta z rublem w ręku.
Siedzi, myśli, co za niego
Kupić komu, wiele czego?
Suknię niańce? — rubla mało;
Suknię lalce? — jaką? białą?

[1]) Pędem.

Nie! -- zieloną? — tę już ma;
Żółtą? — e... fe! żółta zła;
Więc różową, czy błękitną,
Ale całą aksamitną!...
Lecz czy na to rubla dosyć?...
Można ojca znów poprosić,
Ale kto wie, da? czy nie da?
Wreszcie z ojcem mniejsza bieda.
Ale mama! Czuję sama,
Że dziś z mamą przed śniadaniem
Nie najlepiej poszła gama [1]).
Jak po grudzie, szło z czytaniem,
Mama powie. Ojciec, kto wie?
A nuż może każe sobie
Oddać nawet, co dał? — Bieda!
Co tu począć? Główkę skrobie,
Sama sobie rady nie da!
— No toż nie chcę nic kupować;
Rubla schowam. A gdzież schować?
Skrzynki nie mam. Ańcia mówi,
Że najłatwiej złodziejowi
Przyjść i ukraść. No to włożę
Pod poduszkę. A jak może
On z łóżeczkiem mnie wyniesie
I zbudzę się w nocy, w lesie?
Ach!... i dalej w płacz żałosny.
Ach! ty rublu! ty nieznośny!
Co ja muszę cierpieć za cię.
Precz ode mnie! oddam tacie.
Już chce skoczyć i znów stoi,
Spuszcza główkę, znów coś roi.
Żal rubelka. Jak się odda,
Już go nazad nie odebrać,
Chować kłopot, stracić szkoda;

[1]) Ćwiczenie muzyczne.

Ot, najlepiej było nie brać!
Lecz co zrobić, wziąwszy go już?
Gdy tak duma, Anioł Stróż,
Stróż jej myśli i serduszka,
Zlitował się i do uszka
Szepnął zcicha: — Bież do mamy!
Tam jest mądrość, tam skarb dzieci;



Nie doradzisz sobie samej,
Aż Bóg przez nią cię oświeci.
Tesia cała sczerwieniała,
Nie wie, że to głos anioła;
Czuje tylko, że się stała
Znów spokojna i wesoła.
Więc do mamy!
Wtem u bramy

Mama z jakąś biedną gada,
Co wpół naga, wsparcia błaga,
O swych dziatkach rozpowiada,
Ma ich czworo: jedną chorą,
Troje z głodu mrą bez chleba!
Żal zdjął Tesię: rubla niesie,
Wie już, co z nim zrobić trzeba...
Wnet jej mama i uboga,
I Stróż Anioł w tejże chwili,
Dziękując jej w imię Boga,
Wszyscy ją błogosławili.
Anioł zaś tchnął w jej sumienie
Naukę na całe życie:
Że szczęście daje nie mienie,
Lecz dobre mienia użycie.

A. E. Odyniec.

65. Obłoki.

Uczyłam Wojtusia w sekrecie, lecz z ogromnem zamiłowaniem. Mój uczeń był dość zdolny, tylko często nieuważny i roztargniony. Tak było i dzisiaj. Chłopak słuchał mojego wykładu, mrugając szybko powiekami, wiedziałam jednak, że myśl jego zwrócona jest gdzie indziej.

— Wojtuś, uważaj! — strofowałam.

— Olaboga! Panieneczko, jakie piękne baranki po niebie płyną!

Spojrzałam na niebo i wnet zachwyt pastuszka i mnie się udzielił.

— Naprawdę, jak stado baranków! A tam, patrz, zupełnie, jakby ptak jakiś biały. Może łabędź, a może gęś?

— Olaboga! Olaboga! — powtarzał chłopak swój uluny okrzyk.

— Patrzno, a teraz, ta duża chmura, to jakby panna młoda... o i welon ma...

— Nie, panieneczko, to anioł... O, skrzydła ma... o gwiazdę... o! A tam, ach, jakiś smok się zbliża... o... o... jaki straszny! Pożre anioła! Olaboga! Olaboga! Nie, nie! Anioł silniejszy! Smok ucieka!...

Śledziłam z niepokojem smoka i anioła, lecz gdy przypadkiem spojrzałam na Wojtusia, zapomniałam nagle o chmurach, aniołach i smokach.

W rozszerzonych oczach chłopca, w jego drgających ustach malował się zachwyt.

— Wojtuś — zawołałam niecierpliwie—chcesz się uczyć czy nie?

Chłopiec drgnął, chwycił szybko książkę, która mu się z rąk wysunęła, i zaczął czytać uważnie, nie odrywając się od nauki aż do końca.

M. Buyno-Arctowa.

66. Jałmużna myśli.

Mój Piotrusiu! Nie mam grosza,
Bom i mały, i ubogi;
Ale siądźmy sobie razem
Na tym wzgórku koło drogi.

Ja z książeczki mojej nowej
Przeczytam ci powieść sławną,
Sławną powieść o tych czasach,
Co minęły, przeszły dawno.

Pokażę ci na obrazku
Takich mężów i rycerzy,
Aż ci w główkę najdzie blasku,
Aż serduszko ci uderzy!

Opowiem ci różne rzeczy
O tych polach, o tem niebie,
O tych naszych żytnich kłosach,
Co tu rosną wedle ciebie.

Opowiem ci o tych lasach,
Co na straży, szumiąc, stoją,
O tych rzekach, modrych, bystrych,
Co nam łąki nasze poją.

Potem sobie zaśpiewamy,
Aż głos pójdzie na pół mili!
I będzie nam w sercu błogo,
Żeśmy taki dzień przeżyli.

M. Konopnicka.

67. Zaczarowana królewna.

1. Jaś był sobie zwykłym pastuszkiem.

Zaledwie że odrósł cokolwiek od ziemi, matuś dała mu w zanadrze kromkę chleba, ojciec wykręcił mu z wierzbiny zieloną fujarkę, i od tej chwili pasał chłopiec co dnia gęsi na dworskim wygonie, a wieczorem kładł się na przypiecku i słuchał stamtąd przeróżnych historyj, które sobie wiejskie dziewczęta przy kądzieli opowiadały.

A cudneż to były, cudne opowiadania! O onym dobrym królu, co to chodził przebrany za dziadka po chatach wieśniaczych i ratował biednych ludzi, a ci przez wdzięczność „Królem kmiotków“ go nazwali; o Waligórze i Wyrwidębie i o dwunastu rozbójnikach; o tej czarownicy, co to mieszkała w chacie na kurzej stopie; o złotem słonku, co się na pościeli z chmur spać kładło; o bladym miesiącu, który co noc wychodził pasać srebrną trzodę gwiazd na niebieskiem błoniu, i o wielu innych jeszcze rzeczach, stokroć ciekawszych od tych, o których tu wzmiankowałem.

Żadne jednak baśnie tak nie podobały się Jankowi, jak o zaklętych królewiczach i zaczarowanych księżniczkach, mieszkających gdzieś w kryształowych zamkach, w toni głębokich jezior, albo na szczytach gór wyniosłych. Wtedy Janek zapierał oddech w sobie, sprawiał się, jak mógł najciszej, aby tylko nic nie uronić z tych przecudnych historyj.

A byłoż czego słuchać, było!

Raz opowiadała Jagusia o pięknej księżniczce, która długi czas była zaklęta w jakimś ponurym zamku, aż tu po latach wielu zjawia się piękny i młody rycerz, zabija ognistego smoka, który strzegł zaczarowanej piękności, i w nagrodę swojego męstwa poślubia królewnę.

To znowu Kachna mówiła, jak dawno, bardzo dawno temu pewna młoda księżniczka, spotkawszy u źródła dorodnego pasterza, tak się w nim rozmiłowała, że postanowiła go poślubić i podzielić z nim tron książęcy.

Jankowi aż serce zabiło z radości. Mój Boże, żeby też i on spotkał jaką księżniczkę; wszakże to tak łatwo! On koło gościńca gęsi pasie, a drogą tyle bogatych państwa przejeżdża...

Myśli tej nie mógł sobie wybić z głowy mały Janek. Nie odstępowała go ona ani w polu, ani w domu; marzył o niej na jawie; śnił o niej nocami całemi, słowem, biednemu chłopcu przewróciło się w głowie.

Aż tu pewnego razu, kiedy Janek zaganiał w najlepsze gęsi w polu i roił o ulubionem marzeniu, spotkał się oko w oko z dziwnie uroczem zjawiskiem.

Była to dziesięcioletnia może, w wieku Janka, panienka, o cudnej, jak na obrazku, twarzyczce, ocienionej blond włosami; w leciuchnej białej sukience, w kapelusiku z niebieskiemi wstążkami, siedziała na wzgórku obok drogi i trzymała w ręku książeczkę.

Janek stanął zdumiały. Nigdy jeszcze nie widział tak pięknej dziewczynki i juścić pomyślał sobie, że to musi być owa zaklęta królewna, o której w bajkach słyszał. Stał więc i pochłaniał oczami dziewczynkę, która, dostrzegłszy go, zapytała srebrnym głosikiem:

— Czegóż mi się tak przypatrujesz, chłopczyku?

Jaś w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć; przestępował z nogi na nogę, obracał w ręku swój wyszarzany kapelusz, aż panienka, widząc jego zakłopotanie, wstała z murawy i zbliżyła się do Janka.

— Powiedz mi, co tu robisz w tych stronach?

— A nic, proszę jasnej panienki, tylko gęsi pasę — odparł już śmielej przyszły kandydat na królewicza — wyganiam je rano, a wracam do domu o zachodzie słońca.

— To musisz się bardzo nudzić przez cały dzień, siedząc bezczynnie i pilnując swego stada? Gdybyś miał przynajmniej taką, jak moja, książkę, tobyś z niej dowiedział się różnych, bardzo ciekawych rzeczy i miałbyś przyjemną rozrywkę. Chcesz, to ci ją pożyczę do przeczytania?

— Do przeczytania... — odparł, otwierając szeroko oczy, mały Janek — kiedy ja czytać nie umiem.

— Nie umiesz czytać! — odparła zdziwiona panienka — a cóż ty umiesz?

— Umiem modlić się, pomagać w polu rodzicom i opowiadać rozmaite baśnie.

— Umiesz baśnie! — zawołała, klaszcząc w ręce, panienka... — ach! jak to dobrze! Chodź tu bliżej, siądziemy sobie na pagórku, ty mi opowiesz jaką bajkę, a ja ci zato przeczytam ładną powiastkę z tej książeczki.

I pociągnąwszy Janka za świtkę, posadziła go obok siebie i zaczęła słuchać jego opowieści o zaklętych księżniczkach i zaczarowanych pałacach. A kiedy Janek skończył jedną i drugą bajkę, wzamian odczytała mu dziewczynka powieść o Józefie, zaprzedanym przez braci w niewolę egipską.

— Ach, jakie to ładne! — zawołał ucieszony Janek — i to wszystko stoi w tej książce?

— Tak jest, i wiele jeszcze innych rzeczy.

— Oh! mój Jezusieńku złoty, żebym to ja mógł to wszystko wiedzieć i przeczytać.

— Nic łatwiejszego, mój Janku, przychodź tu codzień, a ja powoli czytać cię nauczę.

Odtąd młoda mistrzyni zjawiała się co dnia na pagórku nad drogą i godzinami całemi uczyła małego pastuszka poznawania liter, a następnie sylabizowania i czyta-

nia. I cóż powiecie? Janek wkrótce nabył takiej biegłości i wprawy, że sam już dawał sobie radę z książkami, których mu dostarczała dobra panienka.

Sen jego złoty urzeczywistnił się! Nie został on wprawdzie królewiczem, ale wskutek tego, że nauczył się czytać i pisać, wstąpił do szkoły i wyszedł na użytecznego człowieka.

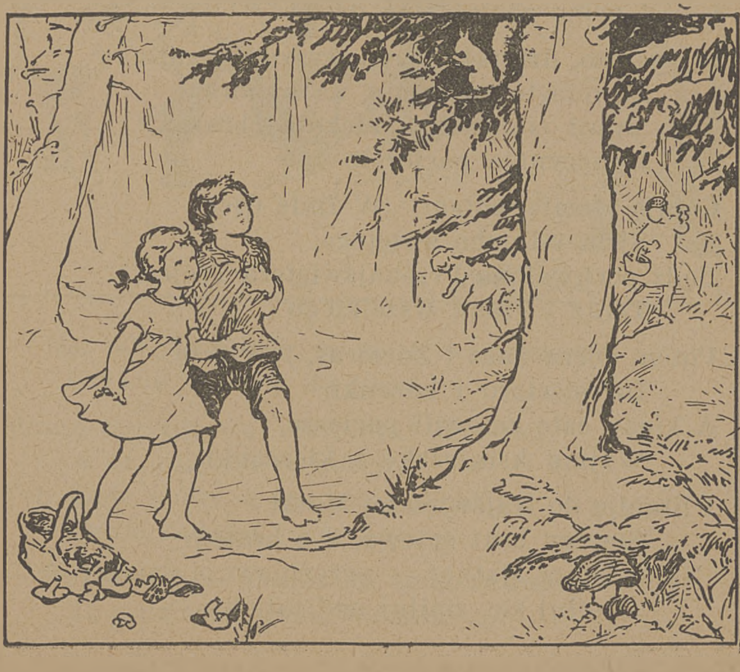
Mój Boże, ileż to dziewczynek, mieszkających w pięknych, murowanych dworach, ani się domyśla, jak łatwo przyszłoby im pozyskać miano „zaczarowanych królewien!"

Trzeba tylko wyjść czasem w pole z książeczką w ręku, zapukać do chat wieśniaczych, a ręczę, że znalazłby się tam jeszcze niejeden taki Janek-pastuszek.

Spróbujcie, może się uda!

W. Bełza.

68. Ilustracja bez tekstu.



69. Mądry i głupi.

Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się?
Mądry milczał; gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Rzekł mu: — Na to się przyda, według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

Ignacy Krasicki.

70. Powrót taty.

— Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

Tato nie wraca! ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze.
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.

Słysząc to, dziatki biegną wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię, potem: „W Imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego“.

Potem Ojcze nasz i Zdrowaś, i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki:

I litanię do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem
Najświętsza Matko! — przyśpiewują dziatki —
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!

Wtem słychać turkot... wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
— Tato, ach, tato nasz jedzie!

Obaczył kupiec, łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:



— Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot, rozynki w koszyku. —
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

— Ruszajcie! — kupiec na sługi zawoła —
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.

Idzie... aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:

— Ach, bierzcie wozy, ach, bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodej małżonki wdową!

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi:
— Pieniędzy! — krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: — Stójcie! stójcie! — krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci, i ojca:
— Idźcie — rzekł — dalej bez trwogi.

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
— Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja, i moje kamraty

Tutaj za miastem, przy wzgórku, u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham... z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham: ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

Kupcze, jedź w miasto! ja do lasu muszę.
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegnijcie sobie... i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciorek.

Adam Mickiewicz.

71. Mały pastuszek.

1. Jaś ma lat siedem zaledwie, a już pracuje na swoje utrzymanie. Matka jego, wdowa, bardzo uboga, rada jest, że chociaż przez lato nie wydaje na wyżywienie chłopaka.

Jaś wstaje bardzo wcześnie, kiedy słońce wschodzi, i biegnie zaraz po pacierzu do piekarni dworskiej, gdzie mają mu dać śniadanie. Ale jedzenie jeszcze nie gotowe: Katarzyna krząta się przy kominie gorliwie. Gosposia nie lubi próżniaków, więc, choć Jaś miłosiernie spogląda na kipiący garnek żuru i drugi kartofli, Katarzyna na to nie zważa.

— Jaś, a skocz-ino z koszyczkiem, przynieś wiórków na ogień; kto chce jeść, musi na to zarobić.

I Jaś biegnie po wiórki na folwark, aby się ogień lepiej palił i śniadanie prędzej ugotowało.

Wiórki suche, ogień huczy w kominie, a Jasiowi ślinka idzie do ust na widok smakowitego żuru i pachnących kartofli.

— Jasiu! widzisz, jak to wiórki naśmieciły przy kominie! Weź miotłę i pozamiataj porządnie, nim ponalewam jadło do misek.

Jaś zamiata, a coraz to strzela oczętami na stół, gdzie bucha para z pełnej misy żuru.

Już kuchnia czysto zamieciona, a Katarzyna przy kominie nalewa jedzenie w dwojaki, kraje chleb, dobywa łyżkę drewnianą z szafy i ociera ją fartuchem.

— Może teraz gospodyni już mi dadzą jeść — myśli Jaś, a ślinka idzie mu do ust, bo żur tak pachnie, tak pachnie!

— Naści, Jaś, dwojaki; zaniesiesz śniadanie Mateuszowi na gumno. A uważaj, abyś łyżki nie zgubił, albo żeby ci psy chleba nie odebrały.

Jaś niesie śniadanie, a coraz to przekłada dwojaki z jednej ręki w drugą, bo ciężkie. A śpieszy, drepce prędko, aby wrócić jak najprędzej.

Ale stary Mateusz je pomaleńku, wolno przeżuwa kęsy chleba i wolno zajada żur, którego każdą łyżkę Jaś przeprowadza oczami.

O, jakże żwawo biegnie Jaś z pustemi dwojakami do piekarni, jak patrzy wymownie na Katarzynę i na garnki w kominie!

— Cóż ci tak pilno, język ci nie ucieknie przecie! — mruczy gospodyni, ale nalewa Jasiowi resztkę żuru z garnka i zbiera z miski kartofle, niedojedzone przez starszych.

Jaś wybredzać nie umie; je, co dadzą, smakuje mu, bo się wygłodził od rana. Najada się porządnie, aż mu się spać zachciewa. Oczy mu się mrużą, ale gospodyni woła z podwórka:

— Jasiu! dość już tego jedzenia! Rosa już opadła, zabieraj swoje stado na pastwisko!

Jaś przeciera oczy, chwyta z kąta swój pręcik, czapczynę wytartą kładzie na głowę i już zagania swój krzykliwy i co chwila rozpierzchający się inwentarz: indyczęta.

2. Wiele kłopotu sprawiają Jasiowi jego wychowańcy.

Indyki młode to bardzo delikatne stworzonka: rosa im szkodzi na nogi, zbytni upał przepala głowy, deszcz ulewny może zatopić, a powolny—przyprawić o chorobę; wreszcie jastrząb może które porwać, pies pokaleczyć.

Jaś na wszystko musi uważać: spogląda w górę, czy się nie ukaże jastrząb, którego w porę musi krzykiem i klaskaniem w ręce odstraszyć, czy nie nadchodzi chmura, aby było dość czasu przed deszczem zapędzić indyki do chlewka, czy pies nie czyha na to smaczne pieczyste, albo czy nie nadjeżdża wóz, któryby roztratował kąpiące się w piasku na drodze najedzone leniuszki.

Jasiowi często przykrzy się przy indykach. Radby się pobawić z dziećmi w konie, w szpaka, albo w chowanego.

Czasem dzieci przychodzą do niego na pastwisko; wtedy jest mu bardzo wesoło, ale gospodyni tego nie lubi, bo powiada, że dzieci rozganiają indyki swoją zabawą i przeszkadzają im się paść.

Jaś na pociechę myśli sobie o tem, że na południe przyniosą mu z piekarni kromkę chleba z serem, albo ze szperką. Ku wieczorowi zaś myśli o smacznej kolacji, którą Katarzyna gotuje. A gdy nie jest głodny, myśli o tem, co będzie, jak indyki urosną duże i nie będą chodziły na pastwisko.

Jaś wie od matki, że za to pasienie dostanie pieniądze, za które matka kupi mu na zimę sukmankę ciepłą, nową czapkę i nowe buty! Jaś jak żyje nie miał butów, bo pierwszy rok dopiero pomaga matce w zarobku, a buty drogo kosztują. Chadzał w zimie boso, albo w wyrzuconych przez ekonomową na śmietnik starych kaloszach. Teraz będzie miał własne, prawdziwe buty i będzie zupełnie, jak dorosły.

Tak, ale to będzie tylko wtedy, gdy wszystkie indyki zdrowo się wychowają, bo Jasiowi ekonomowa płaci od każdego wychowanego ptaka przy końcu lata, ale za zmarnowaną sztukę z jego winy potrąca z zasług podwójną cenę.

3. Jaś pędzi wesoło swoją trzódkę do domu; już blisko folwark, trzeba tylko ostrożnie pędzić gościńcem, gdzie jest głęboka kałuża, w którejby indyczęta mogły się zamoczyć i przeziębić. Naprzeciw idzie na przechadzkę Henryś pod opieką bony. Jest bardzo zadowolony, bo dostał dziś w podarunku od ojca bat, którym ciągle wywija.

Trzódka indycząt kusi Henrysia, aby na niej wypróbować bat. Kilka machnięć nad trwożliwą gromadką i oto cała jest w kałuży. Henryś się śmieje, a Jaś z wielkim trudem wygania je z wody i, przeziębłe, zmoczone i brudne, wpędza do chlewka. Nazajutrz gromadka była mniejsza o kilkanaście indycząt, a Henryś bardzo się dziwił, widząc Jasia-pastuszka, płaczącego rzewnie na pastwisku.

Wila.

72. Chłopek.

Rycerz to niewielki,
Ojczyźnie ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.

Pracowity chłopek
I żywi, i broni:
Żywi jego snopek
I strzechę osłoni!

Ostrzem jego kosy
Ozłaca się ziemia.
On na niej wnet kłosy,
Wnet wawrzyn [1]) rozplenia!

Z wołkiem on w pokoju
Uprawia nam błonie,
Na koniku w boju
Pośpiesza w obronie.

Te błyszczące grody,
Te pańskie pałace
Jego to zachody
I jego są prace.

Jego jest ciężarem,
Co niejeden roni,
On na to pod skwarem
Z bydlęciem pot roni.

Z dziećmi on głodnemi
Te ziareczka zgania,
Które ktoś po ziemi
Za cacka roztrwania.

W pomoc kraju bieży
Za pańskiemi syny,
Wszędzie on należy,
Prócz zysku i winy.

---

[1]) Wawrzyn, laur — rodzaj drzewa, rosnącego w południowych krajach; liśćmi wawrzynowemi uwieńczano niegdyś zwycięzców.

Sam po każdej stracie
Od nędzy nas chroni,
W swojej tylko chacie
Jej mieszkać nie wzbroni.

Rycerz to niewielki,
Ojczyźnie ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.

Kazimierz Brodziński.

73. Czy ci on najmilszy.

Wdali było widać ciemną wstęgę boru, przed borem łąkę, a wśród łanów zboża stała chata, pokryta słomianą strzechą i mchami. Brzozy zwieszały nad nią zielone warkocze, na świerku w gnieździe stał bocian, a w sadzie wiśniowym czerniały ule.

Przez otwarte wrota wszedł na dziedziniec podróżny i rzekł do niewiasty, stojącej w progu:

— Pokój tej cichej chacie, tym drzewom, zbożom i okolicy całej i tobie, matko!

Ona, powitawszy go gościnnie, rzekła:

— Chleba i mleka przyniosę ci, wędrowcze; a tymczasem siądź i odpocznij, bo widać, że z dalekiej wracasz podróży.

— Jako ów bocian i jako jaskółka, wędrowałem; wracam zdaleka i od dzieci twoich wieść ci przynoszę.

Więc onej matce dusza cała zbiegła do oczu, i zaraz spytała wędrowca:

— Czy wiesz co o synu moim, Jaśku?

— Czy ci on najmilszy, że o niego pytasz najpierwej! Oto jeden twój syn w puszczach z siekierą pracuje i w jeziora sieć zapuszcza; drugi konie na stepie pasie, pieśni tęskne zawodzi i w gwiazdy patrzy; trzeci po górach się wspina, na turniach [1]) i halach [2]) z owcami noce spędza, w orłów krakanie się wsłuchuje. Do kolan się wszyscy twoich chylą i pozdrowienia ci przesyłają...

---

[1]) Turnia — szczyt skalisty. [2]) Hala — pastwisko górskie.

— A Jaśko? — pytała z troską na twarzy.

— Wieść smutną chowam naostatek. Źle się mu wiedzie, rola plonu mu nie daje, bieda i głód dokucza, w niedoli płyną mu dni i miesiące. Wśród obcych i nędzy mowy rodzinnej nawet zapomina. Więc i ty zapomnij o nim, bo on już nie twój... Zapomnij!...

Gdy to rzekł, kobieta, wziąwszy go za rękę, wwiodła do śpiżarni w chacie i, zdjąwszy bochenek chleba z półki, rzekła:

— Wędrowcze, daj to Jaśkowi!

Potem z chustki rozwiązała pieniądz srebrny, błyszczący i drżącym głosem rzecze:

— Nie bogatam ja sama, ale i to dla Jaśka!

— Niewiasto! — rzekł ze zdziwieniem wielkiem wędrowiec — synów masz wielu, a jednemu wszystko oddajesz? Czy go kochasz najwięcej? czy ci on najmilszy?

Ona zaś, podniósłszy wielkie smutne oczy, łzami zalane, tak rzecze:

— Błogosławieństwo moje wszystkim, ale datki temu jednemu, bom ja matka, a on najbiedniejszy.

Henryk Sienkiewicz.

74. Z dobrych rad.

Czy z ziarn twych czynów wzejdzie kłos,
Pytanie to daremne:
Tylko „dziś pewne“ daje los,
A jutro dla nas ciemne.
Lecz by mieć duch bez trosk i skaz,
Nie znać, co niepokoje,
Postępuj tak, byś w każdy czas
Mógł rzec: — Zrobiłem swoje!

Ignacy Baliński.

75. Na poddaszu.

Wczoraj wieczorem z moją matką i z siostrą Sylwją poszliśmy do ubogiej kobiety, polecanej przez gazetę, aby jej zanieść nieco bielizny; ja niosłem paczkę, Sylwja trzymała dziennik, w którym był numer domu i mieszkania, oraz pierwsze litery imienia i nazwiska owej biedaczki.

Po schodach wąskich, niewygodnych weszliśmy aż pod sam dach wysokiego domu, na kurytarz, na którym było wiele drzwi po obu stronach. Moja matka zapukała do ostatnich w głębi; otworzyła nam kobieta jeszcze młoda, jasnowłosa, bardzo szczupła, wyglądała jakby schorowana. Zaraz mi się zdawało, żem ją już kiedyś widywał, tak samo ubraną, z tą samą niebieską chusteczką na szyi.

— Czyście to wy, moja dobra kobieto, ta sama, którą dziennik poleca? — spytała matka.

— Tak, pani, to ja jestem.

— To dobrze. Przynieśliśmy tu wam nieco bielizny.

Kobieta zaczęła dziękować i błogosławić. Tymczasem ja, rozglądając się dokoła, spostrzegłem w jednym kącie pustego i ciemnego pokoju chłopca, klęczącego przed krzesłem, plecami odwróconego od nas, który zdawał się pisać; i pisał naprawdę, mając papier przed sobą na krześle, a kałamarz na podłodze. Jak mógł pisać tak pociemku? Zastanawiałem się właśnie nad tem, aż tu naraz poznaję rude włosy i barchanową kurtkę Krossiego, syna przekupki warzyw, tego, co ma uschniętą rękę. Powiedziałem to zcicha mojej matce, podczas gdy chora kobiecina odeszła w głąb pokoju, aby położyć przyniesione jej rzeczy.

— Cicho — rzekła matka — możeby się wstydził, widząc tu ciebie, jak jego matce dajesz jałmużnę; nie odzywaj się, nie wołaj go.

Ale w tej chwili Krossi się obejrzał, ja się zaczerwieniłem, on się uśmiechnął, i wówczas moja matka trąciła mnie

zlekka, dając znak, abym pobiegł go uścisnąć. Ucałowałem go, on wstał i wziął mnie za rękę.

— Ot, moje życie, szanowna pani — mówiła tymczasem jego matka do mojej — jestem sama jedna z tym chłopcem; mąż od lat sześciu w Ameryce; trzebaż mi było jeszcze się rozchorować. Nie mogę nawet jarzyn roznosić po mieście, aby parę groszy zarobić. Nie został mi się już nawet jeden stolik, przy którymby biedny Ludwiś mógł się uczyć. Kiedy miałam swój stragan na dole, w bramie, tam się chłopak przysiadał i pisał; teraz stragan zabrali. Potrzebowałby trochę światła, a tu niema nawet kawałka świécy, ani nafty, żeby mógł się uczyć, nie psując wzroku. Jeszcze to szczęście, że go mogę posyłać do szkoły i że zarząd miasta daje mu książki i kajety. Biedny mój Ludwiś, on ma taką chęć do nauki! Oj, biedni my, biedni wszyscy!

Moja matka oddała jej wszystko, co miała w sakiewce, uściskała chłopczyka i niemal płakała, wychodząc. Oj, świętą prawdę powiedziała mi matka w drodze do domu!

— Patrz, Henryku, — mówiła — patrz, jak ten chłopak musi pracować i w jak ciężkich warunkach! A ty masz wszelką wygodę, a pomimo to wydaje ci się trudną rzeczą nauka! Ach! mój synu, więcej wart jeden jego dzień nauki, niż twojej rok cały. Takim powinniby dawać pierwsze nagrody.

Z „Serca“ Amicisa.

76. Przyjaciele.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka, Leszek,
Z tych, co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje;
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,

Jakich i wtenczas liczono niewiele;
Rzekłbyś: dwój-duch w jednem ciele.
O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul [1]) i krakań gawronich,
Alić ryknęło raptem coś koło nich.



Leszek na dąb; nuż po pniu skakać, jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: — Kumie!
Kum już wylazł na wierzchołek.
Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zblednąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy:
Trafia na czoło, maca... jak trup leży;

[1]) Zazula — kukułka

Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc, mruknąwszy, ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź-Litwin miąs nieświeżych nie je.
Dopiero Mieszek odżył. — Było z tobą krucho! —
Woła kum — szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał;
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jakgdyby coś miał powiadać na ucho?
— Powiedział mi — rzekł Mieszek — przysłowie niedźwiedzie,
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.

A. Mickiewicz.

77. ....

1. — Dokąd babunia rano chodziła? Stukałam i dzwoniłam, nikogo nie było w domu.

— Miałaś ważny intres, żeś się tak dobijała?

— O! ważny. Chciałam babuńcię pocałować i chciałam, żeby mię babuńcia pocałowała, i żeby mi powiedziała, jaka będzie historyjka dzisiaj. Aż trzy interesy miałam. Więc gdzie babuńcia była?

— W bardzo smutnem miejscu: w szpitalu dziecinnym.

— U biednych, chorych dzieci? A są tam jakie nasze znajome?

— Jednego chłopczyka znacie. Otóż, wchodząc do szpitala, zadzwoniłam do furty, siostra odźwierna otworzyła mi drzwi.

— Kogo pani chce odwiedzić? — spytała.

— Franusia Bilskiego — odpowiedziałam.

Siostra pokazała mi, którędy mam iść.

Weszłam po kilku schodach do sieni, z której na prawo i na lewo rozchodziły się widne, szerokie kurytarze. Skierowałam się na lewo. Wzdłuż jednej ściany mieszczą się okna i drzwi do ogrodu lub na werandy, obrośnięte dzikiem winem, gdzie pod dozorem zakonnic bawią się dzieci, po-

wracające do zdrowia. W przeciwległej ścianie są drzwi do rozmaitych sal, w których leżą dzieci chore.

Szłam dość długo, prawie do samego końca kurytarza, i zatrzymałam się dopiero przy drzwiach, na których był napis: *Oddział chirurgiczny.* Otworzyłam je cichutko, żeby nie drażnić maleńkich pacjentów, i znalazłam się w ogromnej, biało malowanej sali, o trzech wielkich oknach, do połowy zasłoniętych szaremi roletami. Dwa szeregi łóżeczek, bielutko posłanych, stały naprzeciw siebie, głowami tylko przytykając do ściany; między łóżkami jest szerokie przejście przez całą salę, a między jednem łóżeczkiem a drugiem stoliczek i krzesło. Prawie wszystkie łóżka były zajęte. Spytałam dozorczynię o Franusia, wskazała mi piąte łóżko od okna.

— Czy babunia znała tego chłopczyka, czy też kto prosił, żeby go odwiedzić?

— To synek mojej krawcowej; ona biedna, przy swojem zajęciu nie może często chodzić do niego, a tak jej smutno i tęskno za nim. Obiecałam jej, że tam pójdę i zaraz potem wrócę do niej opowiedzieć, co się dzieje z jej synkiem.

— Czy on ciężko chory?

— Niema niebezpieczeństwa, ale bardzo cierpiał. Właściwie sam sobie winien: wracał ze szkoły podczas ulewnego deszczu i próbował po drodze wszystkich rynsztoków, czy w nich woda głęboka. Naturalnie, zamoczył sobie porządnie nogi, a ze strachu przed karą nie przyznał się mamie, i dalejże, aż do wieczora, dokazywać w mokrych trzewikach! W nocy dostał gorączki; rozbolały go okropnie zęby, gardło, cała szyja mu opuchła, dziąsła ponabrzmiewały. Biedny Franuś płakał z bólu, a że matka jego miała robotę na mieście i nie mogła go dopilnować, nie było więc innej rady, tylko musiała biedaczka odwieźć go do szpitala. Tam wyrwano mu jeden ząb, ale i to nie pomogło; trzeba było przeciąć wrzód, który mu się zrobił pod zębem.

Nacierpiał się dużo. Dziś już prawie go nie boli, ale ma jeszcze głowę i szyję obandażowaną i nic jeść nie może, prócz kleiku i rosołu. Niepotrzebnie mu mama przeze mnie posłała ciastka i pomarańcze. Patrzał żałośliwie na te dobre rzeczy, ale darmo! — pić powolutku to jeszcze może, ale gryźć i żuć — ani sposób.

Przyrzekałam mu odwiedziny jego mamy na niedzielę i spojrzałam na sąsiednie łóżeczko, a trzeba wam wiedzieć, że nad każdem w głowach przybita jest tablica, na niej imię i nazwisko chorego i po łacinie nazwa jego choroby.

2. Obok Franusia leży dziesięcioletnia dziewczynka z krzywą nóżką; kiedy była jeszcze w powiciu, niańka upuściła ją niechcący na ziemię i nic o tem rodzicom nie powiedziała. Dziecko rosło i zawsze jakoś trochę utykało, myślano, że to z wiekiem przejdzie, tymczasem, przeciwnie, z każdym rokiem było gorzej, i teraz biedna Helenka leży już trzeci miesiąc w szpitalu. Robiono jej operację bardzo ciężką i jest nadzieja, że nóżka się wyprostuje, i może dziecko nie będzie już kuleć, ale to niepewne.

Przeszłam na drugą stronę sali; nad jednem łóżeczkiem był napis: „Józio Grabczyk“; znacie go, chłopcy? To musi być dopiero mały urwis. Dokazywał, śpiewał, prawie tańczył w łóżeczku; zakonnica mówiła mi, że mają z nim wielki kłopot, tak zbytkuje?

— A co mu jest, babuńciu?

— Tańczył tak, skakał i wywracał kozły przed muzyką wojskową, razem z ulicznikami, zawróciło mu się w głowie i upadł tak nieszczęśliwie, że w dwóch miejscach rękę złamał. Teraz ma rękę po ramię zagipsowaną! ale mu to wcale humoru nie odbiera. Dałam mu dwie pomarańcze, chciał z łóżka wyskoczyć z wielkiej wdzięczności, żeby mnie uściskać.

Widziałam tam jeszcze chłopczyka, którego zły pies pokąsał! Już to musiał się z nim dobrze drażnić, bo pies znajomy nie byłby go bez powodu napadał.

Potem przeszłam do innej sali, gdzie widziałam dziewczynkę bardzo milutką, bladą i wynędzniałą; przeszła ciężkie zapalenie płuc. Dałam jej z pozwoleniem zakonnicy kilka biszkopcików, a jutro obiecałam przynieść laleczkę.

— Oho! nie wykręci się babcia, musi nas wziąć z sobą!

— Ja jej daruję moją Pięknosławę ze wszystkiemi sukienkami.

— A ja zaniosę Franusiowi łamigłówkę z klocków.

— A ja Helence książeczkę z obrazkami, pewno jej się przykrzy okropnie tyle miesięcy leżeć i leżeć.

— A wieczorem przy pacierzu podziękujcie Panu Bogu, że nie wiecie, co to choroba, a zarazem proście Go, by się zlitował nad choremi dziećmi i przywrócił im zdrowie.

Antonina Domańska.

78. Żaczek warszawski przed kolędnikami [1]).

Coś wam powiem... nie baśń, ino [2])
Słuchaj, kto ciekawski:
Szedłem sobie z tęgą miną,
Ja, żaczek warszawski.

Chciałem lecieć gdzieś daleko,
Ślizgać się nad Wisłą,
Wtem... na rzece, czy za rzeką,
Coś okrutnie błysło.

Co to? Szopka! Strzecha niska,
Jakby na chałupie,
A z niej taka jasność błyska,
Że aż w oczach łupie.

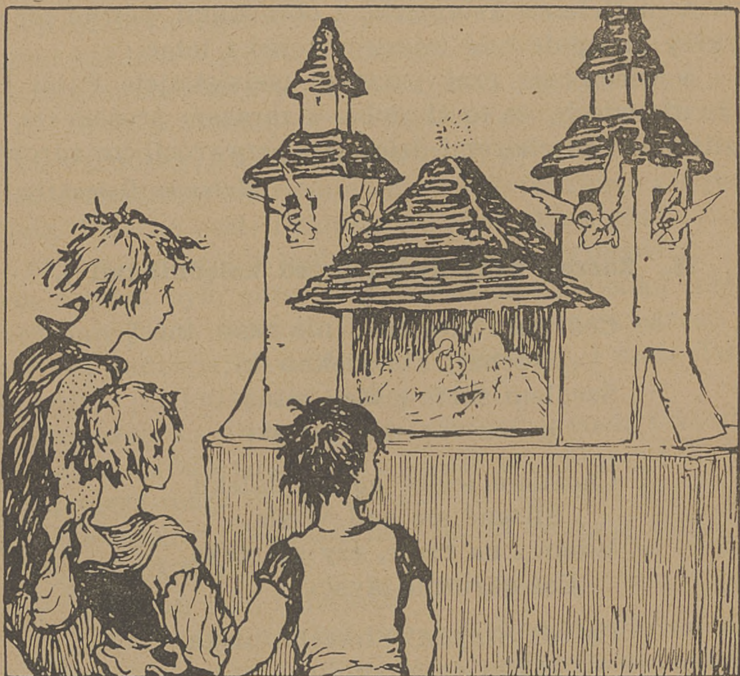
Patrzę w górę: główek roje!
Skrzydła w krzyż i główka,

---

[1]) Ci, co chodzą z szopką lub gwiazdą i śpiewają kolędy. [2]) Tylko (u ludu).

Precz śpiewają! Tedy stoję
I słyszę te słówka:

„Póki Bóg był Panem chwały,
Ludzie Go się bali;
Więc się zrobił tyćki, mały
I rzekł: — Do mnie, mali!



Dyrdaj [1]), żaczku, nie bądź głuchy,
Spędź wszystkich do szopy!
W kolej przyjdą tu pastuchy,
Mazowieckie chłopy.

[1]) Dyrdaj — biegnij (u ludu).

Przyjdą babcie i matule,
I młodzież się zleci,
Ba, ba, przyjdą nawet Króle,
Ale: naprzód dzieci!"

A więc, Józie, Manie, Walki,
Niosę wieść przyjemną:
Precz z konikiem! Rzućcie lalki!
A dyrdajcie ze mną!

Kto chce wiedzieć, jak to miło
Dać aniołkom ucha,
I jak to tam w szopce było,
Niech patrzy i słucha.

Deotyma.

79. Częstochowa.

Zaledwie pierwszy brzask rozpraszał ciemności nocy; dzień zapowiadał się pogodnie, chmury pozbijały się w długie taśmy i pasma na zachodzie, ale wschód był czysty; na blednącem zwolna niebie migotały nie poprzesłaniane oparami gwiazdy.

Jechali w milczeniu, utkwiwszy oczy w jakiś punkt, bardzo błyszczący na widnokręgu.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej, niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku...

Światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem — zdala rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę, siejącą blaski niezmierne...

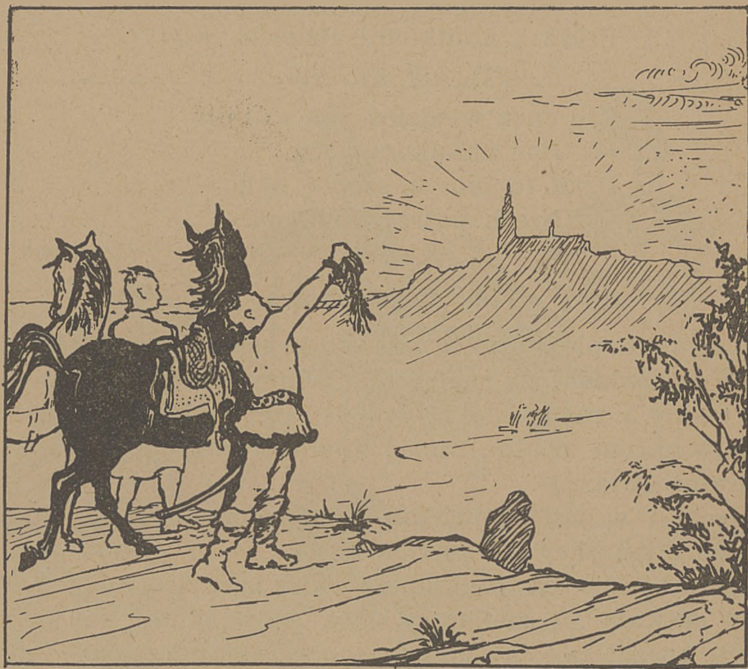
Kościół lśnił się coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał.

Szli wędrowcy już dalej piechotą, prowadząc konie za uzdy i śpiewając:

— Witajcie, jasne podwoje!

W skrętach drogi kościół to niknął, to ukazywał się

naprzemian. Tak szli długo. Kościół, klasztor i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze, ogromniejsze. Dojrzeli wreszcie i miasto wdali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe, jak gniazda ptasie.



Była to niedziela, gdy więc słońce wzbiło się już dobrze w górę, droga zaroiła się wozami i pieszym ludem, ciągnącym na nabożeństwo.

Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony większe i mniejsze, napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem. Była w tym widoku i w tych głosach śpiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale nie był podobny do reszty kraju. *Henryk Sienkiewicz.*

80. Nasze kwiaty.

Jeszcze śnieżek prószy,
Jeszcze chłodny ranek,
A już w cichym lesie
Zakwita sasanek.

A za nim przylaszczka
Wychyla się z pączka.
Kaczeńcem się żółtym
Złoci cała łączka.

I dłużej już dzionka,
I bliżej słoneczka...
A w polu się gwieździ
Biała stokroteczka!

A dalej fijołki
Wskroś trawy pod rosą,
W świeżych swych czarecz- [kach
Woń przesłodką niosą.

A tuż ponad strugą,
Co wije się kręta,
Niezapominajka
Otwiera oczęta.

A w gaju, wśród liści,
W wilgotnej ustroni,
Konwalja bieluchna
W dzwoneczki swe dzwoni.

A wyjdziesz drożyną
Z gaiku na pole,
To spotkasz modraki,
Ostróżki, kąkole...

I maczek tam wilczy
Kraśnieje wśród żyta,
I różą krzak głogu
Na miedzy zakwita.

A ścieżką zieloną,
Co z górki zstępuje,
Srebrzysty powoik
Po świecie wędruje.

O ziemio ty droga,
Ty Boży zielniku!
I w polach, i w łąkach
Masz kwiecia bezliku.

M. Konopnicka.

81. Rąbanie drzew.

Rzepa zarobek miał dobry, bo i do roboty był dobry.

Jak bywało, plunie w garście, a chwyci za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy, to aż sosna zadrży, a wiór na pół łokcia od niej się oderwie.

W ładowaniu drzewa na fury także był pierwszy.

Żydy, co chodziły po lesie z miarą w ręku i spoglądały na wierzchołki sosen, jakby szukając gniazd wronich, dziwowały się jego sile. Bogaty kupiec z Osławic, Dryśla, mawiał do niego:

— No, ty Rzepa, niech ciebie djabeł weźmie. Na sześć groszy na wódkę... nie, czekaj: na pięć groszy na wódkę!

A Rzepa nic. Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem dla uciechy, puszczał głos po lesie:

— Hop! hop!

Głos leciał między pnie, a potem wracał echem.

I znowu nie było nic słychać prócz huku rzepowego topora, a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie.

Czasem znów drwale śpiewali, ale i do tego Rzepa był pierwszy. Trzeba było słyszeć jak huczał z drwalami pieśń, której ich sam nauczył:

„Coś tam w boru stukneno,
Buuu!
I okrutnie hukneno,
Buuu!
A to komor z dębu spadł,
Buuu!
I stłukł sobie w piersiach gnat,
Buuu!
A tu mucha poczciwa,
Buuu!
Leci, ledwo już żywa,
Buuu!
I pyta się komora,
Buuu!
Czy nie trzeba doktora,
Buuu!
Oj, nie trzeba doktora,
Buuu!
Ani żadnej aptyki,
Buuu!
Jeno rydla, motyki,
Buuu!“

Henryk Sienkiewicz.

82. Gosposia.

Ach, Stasieńku mój złoty,
Co też ja mam roboty:
Czy uwierzysz, kochanie,
Że mi czasu nie stanie?

Ledwie oczy otworzę,
Słucham — świegot na dworze,
A na okno mi spada
Głodnych wróbli gromada.

Ani, ani się ruszyć!
Zaraz bułkę im kruszyć,
Zaraz godzić ich swary!
Taki naród ten szary!

Wyjdę, wyjrzę, przed domem
Stoi z gardłem łakomem
Żóraw, ślepe niebożę,
Już nic widzieć nie może.

Żóruś, Żóruś, biedaku!
Masz tu grochu w przetaku,
Masz tu wody miseczkę,
Podjesz sobie troszeczkę!

Żóraw głos mój rozumie
I dziękuje, jak umie:
Krrrmeć... Krrm... krzyczy, to znaczy:
Niech mi panna przebaczy!

Ledwie odszedł, w te pędy
Leci kokosz z swej grzędy
I prowadzi kurczęta,
Gdacząc, jakby najęta.

Kokosz lśniąca i czarna,
Wiem ja dobrze, chce ziarna,

A dla dzieci chce prosa,
Oczkiem strzela zukosa...

Ha! niełatwo to będzie:
Trzeba do Pawła w orędzie [1])
Kiedy poślad odmierza
Dla szafarki z śpichlerza...

Zbędę jednej hołoty,
A tu inne kłopoty!
Jabłka lecą z jabłoni:
Hej, kto pierwszy dogoni?

Lecę, biegnę, uciekam...
Ani chwilki nie zwlekam!
Ach, Stasieczku mój złoty,
Co też ja mam roboty!

M. Konopnicka.

83. Dworek szlachecki.

Nie była to wcale pańska rezydencja, ale na pierwszy rzut oka zgadłeś, iż musiał tu mieszkać szlachcic więcej niż średniej fortuny. Dom zwrócony tyłem do ogrodu, a przodem do głównej drogi, był ogromny, ale drewniany. Sosny na ścianach pociemniały ze starości tak, iż szyby w oknach wydawały się przy nich białe. Nad zrębem ścian piętrzył się olbrzymi dach z czterema dymnikami w pośrodku i dwoma gołębnikami po rogach.

Całe chmury białych gołębi kłębiły się nad dachem, to zrywając się z łoskotem skrzydeł, to spadając, nakształt śnieżnych płatków, na czarne gonty; to trzepocąc się naokoło słupów, podpierających ganek.

Ganek ów, ozdobiony szczytem, na którym herby były malowane, nie stał pośrodku, ale z boku. Widocznie, daw-

---

[1]) T. j. w prośby.

niej dom był mniejszy, ale później dobudowano go z jednej strony, lubo i część dobudowań sczerniała już tak z biegiem lat, że nie różniła się niczem od starej. Dwie oficyny niezmiernie długie mieściły się po obu stronach wielkiego dworu, stykając się z nim bokami i tworząc jakby dwa ramiona podkowy.



Były w nich gościnne pokooje, używane w chwilach wielkich zjazdów, kuchnie, lamusy, wozownie, stajnie dla cugowych koni, które gospodarze lubili mieć pod ręką.

Na środku rozległego dziedzińca rosły stare lipy, na nich gniazdo bocianie, niżej wśród drzew niedźwiedź, siedzący na kole. Dwie studnie żórawiane po bokach dziedzińca i krzyż z Męką Pańską wśród dwóch włóczni

u wjazdu, dopełniały obrazu owej rezydencji zamożnego rodu szlacheckiego. Po prawej stronie domu wśród gęstych lip wznosiły się słomiane dachy stodół, obór, owczarni, śpichrzów.

Henryk Sienkiewicz.

84. Dwór.

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne [1]) ławy w ganku,
Sień obszerna, a przy wianku [2])
Wiszą strzelby, smycze [3]), rogi,
Rzędy, drożne burki
I wyprawne pękiem skórki.

Drzwi naoścież, a w pokoju
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany,
Dzban cynowy do napoju,
A na ścianach antenaty [4])
I na półkach srebrne blaty [5]).

Jak dzień Boży, szum na sali,
A z tej sali coraz dalej
W lewo, w prawo, jasne, ciemne,
Opuszczone i przyjemne,
Jawne, strojne i ukryte,
I bielone, i obite.

Zakomórki i kąciki,
I pokoje, pokoiki,
I sioneczki, narożniki;
To dla pana — dla jejmości
To dla panien — to dla gości.

---

[1]) Szerokie. [2]) Wieniec dożynkowy. [3]) Rzemienie, na których prowadzi się psy myśliwskie. [4]) Portrety przodków. [5]) Półmiski płaskie.

Dla paniczów — pokojowych
To dla panien respektowych [1]).

Co tam schowku, co tam sprzętów,
Dworskiej służby, rezydentów [2]),
A dopieroż spojrzeć wkoło
Po układzie tym pokojem,
Jak tam dziwnie i wesoło,
Jak tam każde swoim strojem
W swem gniazdeczku się sadowi,
Któż to wszystko wam opowie?

Wincenty Pol.

85. Przysłowia.

Nie brataj się z dworem, bo przypłacisz worem.
Dobrze temu przy dworze, komu darmo pług orze.
Gość w dom, Bóg w dom.
Staropolska to jest cnota nikomu nie zamknąć wrota.
Czem chata bogata, tem gościowi rada.
Bywaj, gościu, u mnie, kiedy pełno w gumnie.
Lepsza swoja chatka, niż cudze pałace.
Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.
Jak gospodarz gościnny, to się ściany domu rozszerzają.
Jaki gospodarz, taka czeladź.
Jaki pan, taki dwór.
Jaki pan, taki kram.
Kiedy się pan śmieje, cały dwór wesoły.
Gdzie panu radzi, tam i jego czeladzi.
Oko pańskie konia tuczy.
Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.
Znać pana po cholewach.

---

[1]) Rodzaj panny służebnej. [2]) Stary sługa, żyjący na łaskawym chlebie.

86. Stopnie poznania.

A czy wiesz ty, drogie dziecię,
Co tu cudów jest na świecie?
Ile to się gwiazd woddali
Na wieczornem niebie pali?
Widzisz, jak ta mleczna droga,
Rozciągniona ręką Boga,
Wskroś się wije przez błękity,
Jako srebrem pas wyszyty.
A czy wiesz, że ziemia cała
To też gwiazdka tylko mała,
Taka sama, jak ta złota,
Co w okienko twe migota?
Że wśród owych gwiazd tysiąca
Są ogromne, jako słońca,
Że ich blask ku ziemi leci
Przez niezmierny ciąg stuleci?
Dziw cię bierze, drogie dziecię,
Po lazurach wzrok twój lata...
Tych gwiazd miljon to jest przecie
Tylko cząstka cudów świata!
Tylko cząstka to jest dzieła,
Które Boża myśl poczęła,
Tylko cząstka Jej wszechmocy
Świeci z gwiazd wśród cichej nocy.
Podnieś ku nim jasne oko,
Podnieś serce swe wysoko,
Rozbudź myśl, co jeszcze drzemie.
Ucz się patrzeć ponad ziemię!...
Choć na jedną chwilę we dnie
Porzuć czucie twe powszednie,
I wiedz, że to twoja droga:
Iść wśród gwiazd tych — aż do Boga!...

M. Konopnicka.

87. Ofiara Wojtusia.

1. Ciężko i smutno było dziś Wojtusiowi, a troski jego nie mógł rozproszyć ani Bieluś, pieszczotliwie potrącający swego pana różowym noskiem i skubiący z rąk jego listki kapusty, ani Srebrzyk, przekręcający co chwila główkę i patrzący jakby ze zdziwieniem na smutek chłopca.

Prawdopodobnie, gdyby zwierzęta umiały mówić, izdebka na poddaszu rozbrzmiewałaby zapytaniami: „Co ci jest, Wojtusiu? Czemuś taki smutny? Dlaczego nie bawisz się z nami, jak zwykle?“

Lecz ani królik, ani gołąb mówić nie potrafiły i tylko zachowaniem się swojem dawały poznać, że widzą smutek swego pana.

Wojtuś, jakby odpowiadając na nieme pytania, westchnął ciężko i odezwał się z wielką boleścią:

— Moi drodzy przyjaciele, muszę się z wami rozstać. Innej rady niema!

Tu chłopiec rozpłakał się głośno, kryjąc twarz w dłonie.

Rozstać się z tymi jedynymi przyjaciółmi, jakich miał na świecie, którzy uprzyjemniali mu smutne chwile, spędzane na poddaszu, do których przywiązał się tak serdecznie, to dla chłopca był cios okropny, a jednak musiał to zrobić, musiał, gdyż inaczej Ceśka nie będzie miała lekarstwa, nie będzie miała co jeść i — umrze! A Wojtuś do tego dopuścić nie mógł.

— Nie, nie! Ja muszę ratować Ceśkę! — zawołał chłopiec, przypominając sobie, jak ta mała dziewczynka, biedniejsza jeszcze od niego, dała mu skarb wielki, nauczyła go czytać!

A potem przyszły mu na myśl chwile, gdy Ceśka ostatnim kawałkiem chleba się z nim dzieliła, jak go zziębłego prowadziła do swej nędznej izby, i tam razem ze swą matką, biedną, zapracowaną wyrobnicą, tuliły i ogrzewały biednego sierotę, gdy się nim nikt na całym szerokim świecie nie opiekował.

Dziś Wojtuś jest u swego wuja, ma co jeść i w co się ubrać, pracuje i dopomaga w pracy przy ogrodzie, jak umie, a Ceśka jest tak samo biedna, jak dawniej; oj! biedniejsza jeszcze, gdyż jest chora, bardzo chora.

Przez jedną chwilę przyszedł chłopcu na myśl wuj; możeby on mógł dopomóc biednej małej? Ale nie! Wuj sam miał dużą rodzinę, bogaty nie był, a i tak robił wielką łaskę, iż chciał trzymać u siebie Wojtusia.

Pozostał więc tylko Bieluś i Srebrzyk, jedyna własność, jaką chłopiec posiadał.

Nie namyślając się długo, Wojtuś wsadził swych przyjaciół do dwóch oddzielnych klatek i, połykając łzy, które mu się gwałtem cisnęły do oczu, zbiegł ze schodów z tym ciężarem, a potem pobiegł z nim na ulicę.

2. Biały, wypieszczony królik ze ślicznym różowym noskiem i różowemi uszkami, oraz srebrzysty gołąbek zwracały uwagę przechodniów; a więcej może jeszcze przykuwała wzrok twarz chłopca, napiętnowana głębokim bólem, i oczy, zaszklone łzami.

— Mamo, mamo! Patrz, jaki piękny królik! O! kup mi go, proszę!—zawołał mały chłopiec, zatrzymując się przed Wojtusiem.

— Czy to do sprzedania? — zapytała matka chłopczyka.

— Tak, proszę pani — odpowiedział drżącym głosem Wojtuś.

— A ile chcesz za tego królika?

Chłopiec wymienił cenę. Pani chwilę się namyślała, poczem rzekła:

— Dobrze; wezmę go, ale musisz mi odnieść klatkę do domu.

— Dobrze, proszę pani! — szepnął Wojtuś, dławiąc się łzami.

Pani z chłopczykiem mieszkała niedaleko. Weszli na drugie piętro do ładnego mieszkania, które wnet napełniło się radosnemi okrzykami dziatwy w różnym wieku:

— Ach, jaki śliczny królik!

— A gołąbek jeszcze piękniejszy!

— Patrz, jaki ma różowy nosek!

— A jakie śliczne piórka!

— Mamusiu, ten gołąbek dla mnie.

— O, tak, mamusiu, kup nam i gołąbka.

Dzieci skakały koło klatek, śmiejąc się i wydając okrzyki radości, a Wojtuś z rozpaczą w sercu patrzał na swoich przyjaciół, widząc, że oni dla niego straceni na zawsze!

Tymczasem pani wyjęła z portmonetki pieniądze i wręczyła je chłopcu.

— Wprawdzie cena trochę za wysoka — rzekła — lecz ponieważ te stworzonka podobają się dzieciom, daję ci ją. Masz tu pieniądze!

Wojtuś wziął pieniądze, podziękował, lecz nie ruszał się z miejsca.

— Czego chcesz jeszcze? — zapytała pani.

— Nic, tylko... tylko... królik nazywa się Bieluś, a gołąbek... Srebrzyk — wyjąkał Wojtuś i nagle rzucił się ku drzwiom i, jak strzała, zbiegł ze schodów.

Dzieci tak były rozbawione, iż nie spostrzegły nawet dziwnego zachowania się chłopca; tylko ich nauczycielka, która zdaleka patrzała na wszystko, smutnie spuściła głowę, a w oczach jej stanęły łzy, jakby przeczuwała, co się działo w sercu Wojtusia.

Nazajutrz w ogrzanej izdebce Ceśka zapijała mleko, a matka jej opowiadała Wojtusiowi, iż po wypitem lekarstwie chorobę „jakby ręką odjął“.

Wojtuś uśmiechał się z tkliwością do dziewczynki i nagle zniknął w nim cały żal, który go dotąd szarpał bezustannie. Wprawdzie Wojtuś biegał codziennie i, wkradając się ukradkiem do kuchni, zapytywał, co się dzieje z jego wychowańcami, lecz nigdy ani przez chwilę nie żałował swego czynu.

Ceśka wyzdrowiała zupełnie i po dawnemu uczy Woj-

tusia różnych pięknych rzeczy, których się nauczyła za szczęśliwych czasów, gdy chodziła do szkoły, a obydwoje wzdychają, zapytując się nawzajem, czy to kiedy będzie tak, żeby wszystkie bez wyjątku dzieci uczyć się mogły.

Zyg.

88. Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: — Wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie. —
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
— Wczora
Z wieczora
Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: „Wiele pracy
Łowić wędką lub więcierzem [1]),
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem.
Nie będą mieć otuchy,
Skoro staw będzie suchy“.
Ryby w płacz, a czapla na to:
— Boleję nad waszą stratą,
Lecz można złemu zaradzić
I gdzie indziej was osadzić.
Jest tu drugi staw blisko,
Tam obierzcie siedlisko;
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.
— Więc nas przenieś — rzekły ryby.
Wzdragała się czapla niby;

[1]) Więcierz — rodzaj sieci.

Dała się nakoniec użyć,
Zaczęła służyć.
Brała jedną po drugiej w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.
Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich, widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił,
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa.
Tak zdrajcom bywa!

Ign. Krasicki.

89. Śmierć Karusia.

Ku wieczorowi Karuś był już za wsią, zrobiwszy w kilkuwiorstowym promieniu około sześciu mil drogi, ale śladu Anielki jeszcze nie znalazł.

Całą noc nie spał, tylko pędził wciąż. Gdy ludzie szli na robotę z rana, spotkali go już o milę od spalonego dworu. Miał boki zapadłe, piana toczyła mu się z pyska. Niekiedy stawał, podnosił głowę do góry i wył strasznie zmienionym głosem.

Napróżno!...

To jego zachowywanie się zwróciło wkońcu publiczną uwagę. Zaczęto opowiadać, że jakiś biały pies z łatą na oku pędzi naoślep przez pola, czasami wstępuje do wsi, nie zatrzymując się; na wołanie nie zważa, tylko odzywa się niekiedy ochrypłym głosem. Zdecydowano, że pies wściekł się.

Karuś nic naturalnie nie wiedział o opinjach ludzkich, skutki ich przecie uczuł niebawem.

Mijając jakąś wieś, zobaczył studnię i, wsparłszy się łapami na korycie, chciał w niem zeschły język umoczyć. Ledwie jednak pochylił się nad wodą, usłyszał krzyk. Gromada dzieci rozbiegła się po ulicy, a kilku większych chłopców poczęło rzucać na niego kamieniami. Uderzony

w głowę, psina uciekł z niegościnnej wsi i biegł dalej. Na łące musiał zboczyć nieco z kierunku, zobaczyli go bowiem, zaczęli wołać, szczuć i wygrażać mu kijami.

Głód strasznie mu dokuczał. Przypomniał sobie, że dawniej ludzie wiejscy wyrzucali mu chleb, gdy zbliżył się pod chatę. W tej chwili wchodził do wsi i, ledwie mogąc nogami powłóczyć, stanął pod najbliższym domem, trzęsąc się z utrudzenia i patrząc pokornie na drzwi. Wnet uchyliły się one i Karuś ujrzał w nich dużego chłopa z widłami. Chłop zaczął go pędzić i nawoływać innych. Ulica zapełniła się ludźmi, uzbrojonymi w drągi i siekiery, a wszyscy oni gonili albo zastępowali drogę biednemu psu, tak że ledwie z życiem uciekł.

Był już o dwie mile od domu, ciągle kołując i szukając śladów. Wsie omijał, widok człowieka napełniał go obawą. Pił wodę z kałuż i ledwie w trzeciej dobie udało mu się znaleźć w polu zdechłą wronę, którą, mimo odrazy, w okamgnieniu rozszarpał.

Czwartego dnia ujrzał w polu jakiegoś człowieka, który usiłował mu zajść drogę. Zląkł się bardzo i pragnął go czem prędzej ominąć. Podwoił nawet kroku i, gdy sądził, że już niebezpieczeństwo przeszło, usłyszał za sobą dwa wystrzały i uczuł jakieś szarpnięcie. Lewa noga tylna zdrętwiała mu tak, że się na niej oprzeć nie mógł. Wlókł ją więc za sobą, uciekając na trzech innych.

Wkońcu już mu sił zaczęło braknąć. Wtedy kładł się w brózdach i wypoczywał. Na jednej z podobnych stacyj zobaczył, że ścierpła noga jest mocno skrwawiona i że ją muchy obsiadły. Odegnał muchy, oblizał krew i powlókł się dalej.

W godzinę później (było już samo południe) ujrzał daleko wśród pól kilka budynków.

Skwar go bardzo dręczył. Dokoła nie było lasu, tylko bagna. Umyślił podkraść się i, ugasiwszy pragnienie, odpocząć przy budowlach. Ale ponieważ bał się pójść wprost, więc zaczął kołować i — zbił się z drogi.

Nie mógł już zmiarkować, skąd wyszedł, w którą stronę szedł... węch go prawie opuścił, a z nim siły. Co kilkanaście kroków utykał się i upadał.



Wtedy, czując, że dzieje się z nim coś niezwykłego, ostatkiem tchu zawył, patrząc w stronę budynków.

Obok jednego z nich ukazała się jakaś postać, której pies, z powodu odległości poznać nie mógł. Zdjęty trwogą, chciał uciekać, ale przewrócił się... Zamroczyło go, tchu nie miał, ale obawa przemogła.

Zerwał się jeszcze raz, podniósł głowę i zobaczył nad sobą — Anielkę.

— Karuś! Karusek!... piesiuniu mój! — zawołała dziewczynka, klękając nad nim i usiłując go podnieść.

Na głos ten pies zapomniał o wszystkiem.

Nieskończona wędrówka wydała mu się krótką, nieopisane trudy, ból, głód i pragnienie znikły. Przebaczył tym, którzy go bili, gonili, a nawet temu, który go postrzelił. Słońce go już nie piekło, zeschły język nie bolał.

Widział sukienkę i patrzał w oczy swojej pani; drobne jej rączki dotykały jego głowy gorącej. Czuł pieszczoty i słyszał imię swoje, wymawiane przez nią.

Był zupełnie zadowolony i na znak tego chciał wesoło zaszczekać, ale tylko żałośnie zaskomlił. Pragnął przeprosić ją za samowolną ucieczkę z domu, więc wyciągnął się pokornie, jak psy warujące, i oparł język na jej kolanach. Ach! jak mu było dobrze... Uczuł senność. Nic dziwnego: przez tyle nocy nie spał, podniósł więc oczy na twarz swojej przyjaciółki i, delikatnie otulony przez nią—zasnął. Oddychał lekko, ale już coraz rzadziej, serce uderzało w nim coraz wolniej z jakimś szczególnym dźwiękiem, niby pękłej struny. Wreszcie umilkło.

Bolesław Prus

90. Wyżeł i brytan.

Pan strzelił, trafił kaczkę, pies dostał i dobił;
A gdy spostrzegł brytana, który nic nie robił,
Zgrzytnął zębami:
— My tylko sami,
Wyżły legawe [1]),
Dajem wam strawę,
A wy śpicie, leniuchy!
— Patrz na moje łańcuchy! —
Rzekł brytan, stróż domowy —
Gdy ty idziesz na łowy,
Ja nic wprawdzie nie robię,
Ale, gdy w nocnej dobie
Do wczasu [2]) się sposobisz.

---

[1]) Gatunek psów myśliwskich. [2]) wczas — wypoczynek.

I nic wówczas nie robisz,
Ja, uwolnion z łańcucha,
Czyniąc urząd podsłucha [1]),
Gdy wyręczam kolegę,
Pana, ciebie, dom strzegę!

Ign. Krasicki.

91. Przysłowia.

Najgorszy to pies, co milczkiem kąsa.
I pies śmiały na swym barłogu.
Nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło.
Jak się pies wypości, to zje i kości.
Wierny, jak pies.
Wygląda, jak psu z gardła wyjął.
Psie głosy nie idą w niebiosy.
Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie.
Lepszy pies, co szczeka, niż kot, co się łasi.
Zeszedł na psy.
Jak pies na sianie leży: sam nie je i krowie jeść nie da.
Wolno psu na Pana Boga szczekać.
Śmiałków psy gryzą.
Przyschnie to na nim, jak na psie.
Psy na kim wieszać.
Psu oczy przedał.
To się psu na budę nie zda.
Przyjdzie na psa mróz.
Dobra psu i mucha, jak mu wleci do brzucha.
Bitemu psu dosyć kij pokazać.
Co po psie w kościele, kiedy pacierza nie miele.
Pies szczeka, księżyc świeci.
Pies szczeka, wiatr niesie.
Kocha go, jak psy dziada w ciasnej ulicy.
Zdechły pies nie kąsa.

---

[1]) To jest strażnika.

Użył, jak pies w studni.
Tyle zarobi, co pies napłakał.
Żyć z kim, jak pies z kotem.
Za tanie pieniądze psy mięso jedzą.
Wie pies, czyje sadło zjadł.
Dba o to, jak pies o piątą nogę.
Nie jednemu psu Łysek.
Pies śpiący nie złapie zająca.
Lepszy pies, choć szczeka, od złego człowieka.

92. Osieł i cielę.

— Jaki też to osieł ze mnie! —
Tak się raz cielę łajało,
Że się przelękło daremnie
I, jak głupie, uciekało.
Ale gdy się tak rozwodzi,
Jakieś oślątko nadchodzi:
Idzie, idzie zadumane,
Łbem się uderza o ścianę
I mówi, nie myśląc wiele:
— Jakie też to ze mnie cielę! —
Tak i ludzie z siebie szydzą [1])
I w swych błędach drugich widzą.

F. Morawski.

93. Stokrotka.

1. Za miastem tuż przy gościńcu stał dworek. Przed nim ogródek z zielonemi sztachetkami, a tuż obok nad rowem śród świeżej trawy rosła mała stokrotka. Słońce przyświecało jej równie pięknie, jak wielkim wspaniałym kwiatom w ogródku, i takiem samem ogrzewało ciepłem, rosła też szybko stokroć malutka.

---

[1]) Żartują, drwią.

Pewnego poranku zupełnie się rozwinęła; śnieżne listeczki okalały żółty środek, jak promienie. Stokrotka wcale nie myślała o tem, że jest niepozornym, pogardzonym kwiatkiem, i czuła się tak szczęśliwą, jakby to było uroczyste święto, a tymczasem był to tylko zwykły poniedziałek. Wszystkie dzieci były w szkole, a kiedy siedziały na ławkach i uczyły się, stokrotka kołysała się na malutkiej zielonej łodydze i także uczyła się od słońca i świata, który ją otaczał, jak dobry jest Bóg.

Bardzo jej się podobało, że skowronek, który unosił się coraz wyżej i wyżej, tak wyraźnie i pięknie umiał wyśpiewywać to wszystko, co ona odczuwała w cichości. Z pewną czcią spoglądała więc ku szczęśliwej ptaszynie, umiejącej śpiewać i latać, ale nie smuciła się bynajmniej, że tego sama nie umie.

— Wszak widzę i słyszę — myślała sobie — słońce śle mi światło i ciepło. O, jakże hojnie obdarza mnie Pan Bóg!

Za sztachetami w ogrodzie było wiele sztywnych, wspaniałych kwiatów. Im mniej miały woni, tem więcej się pyszniły.

Piwonje odginały się, aby prześcignąć róże, choć wielki wzrost sam przez się nic nie znaczy! Tulipany miały najjaskrawsze barwy, a wiedząc o tem, trzymały się prosto, aby najrychlej wpaść w oczy patrzącym. Na niepozorną stokroć w rowie wcale nie zwracały uwagi; ale zato ona tem baczniej im się przypatrywała, myśląc sobie:

— Jakie one bogate i strojne! Pewno to do nich przylatuje w odwiedziny ów ptaszek, który tak cudnie śpiewa. Bogu dzięki, że tak blisko nich rosnę i mogę też korzystać z tego.

A kiedy tak myślała, nadleciał skowronek; ale nie spoczął przy piwonjach i tulipanach; nie, trzepocząc skrzydełkami, spuścił się na trawę tuż obok skromnej, malutkiej stokrotki. Biedaczka tak się przelękła z radości, że nie wiedziała, co ma myśleć o tem.

Ptaszek fruwał koło niej i śpiewał:

— Jakaż to wonna trawka i jaki miły kwiatuszek! Ma złote serduszko, a srebrną sukienkę!

Bo też i prawda: żółty środek stokrotki wyglądał, jak złoto, a listeczki wokoło jaśniały, jak srebro.

Jak szczęśliwa była stokrotka, tego sobie nikt wyobrazić nie zdoła. Ptaszek całował ją i nucił jej piosenki.

Tymczasem tulipany wyprostowały się jeszcze sztywniej, skrzywiły się i poczerwieniały ze złości. Piwonje jeszcze bardziej się nadęły, i szczęście, że mówić nie umiały, bo ładnychby się rzeczy nasłuchała stokrotka.

Wtem weszła do ogródka dziewczynka, w ręce miała nóż ostry, błyszczący. Przechodząc koło tulipanów, ścinała jeden po drugim.

— Ach! — westchnęła stokrotka — straszna to rzecz, otóż i po nich!

Dziewczynka, zebrawszy część tulipanów, odeszła, a stokrótka rada była, że, jako nieznaczny kwiatek, kryła się w trawie, i usnęła, marząc o słońcu i ptaszku.

2. Następnego dnia rano stokrotka usłyszała i poznała głos ptaszka. Ale ze śpiewu jego przebijał smutek. Miał też biedny skowronek do tego przyczynę: siedział uwięziony w klatce, tuż przy oknie otwartem. Biedny więzeń posmutniał w klatce. Stokrotka radaby była z duszy pomóc nieszczęśliwemu ptaszkowi. Ale co tu począć? Trudno było cokolwiek wymyślić.

W tym samym czasie wyszli dwaj chłopcy z ogródka. Jeden miał w ręce nóż wielki i ostry, zbliżyli się do stokrotki, która ani przeczuwała, o co im chodziło.

— Tu możemy wyciąć piękny kawałek darniny dla skowronka — rzekł jeden z chłopców i zaraz nożem zaznaczył czworobok około stokrotki.

— Wyrwij ten kwiatek — zawołał drugi.

Stokrotka zadrżała z przerażenia. Być bowiem wyrwaną znaczyło zginąć, a ona tak jeszcze bardzo żyć chciała.

— Nie, niech zostanie — odpowiedział chłopiec pierwszy — tak pięknie przystraja darń!

Zostawiono więc stokrotkę w darni i zaniesiono do klatki. . . . .
. . . .

Podług Andersena.

94. Wiosna.

Błyszczą krople rosy,
Mruczy zdrój po błoni,
Ukryta we wrzosy,
Gdzieś jaskółka dzwoni!

Piękną, miłą błonią
Leci wzrok wesoło;
Wkoło kwiaty wonią,
Kwitną kwiaty wkoło.

Paś się, błąkaj, trzódko,
Ja pod skałą siędę,
Piosnkę lubą, słodką
Śpiewać sobie będę...

Ustroń miła, cicha,
Jakiś żal w pamięci,
Czegoś serce wzdycha,
W oku łza się kręci.

Łza wybiegła z oka,
Za mną strumyk śpiewa.
Do mnie się zwysoka
Skowronek odzywa.

Jakże ładny, hoży...
Ledwo widny oku....
Coraz wyżej, wyżej,
Już zginął w obłoku.

Uleciał szczęśliwy!
Tam swą piosnkę głosi...
I ziemi śpiew tkliwy
Do niebios zanosi.

Stefan Witwicki.

95. Zemsta niedźwiedzicy.

1. Około roku 1650 lasy, a raczej bory grodzieńskie zajmowały ogromne obszary ziemi po obu stronach Niemna. Nieprzeliczona ilość grubego zwierza napełniała te lasy nieprzejrzane.

W tych to czasach na skraju puszczy stała chatka, za-

mieszkana przez leśniczego, któremu był powierzony dozór cząstki boru.

Razu jednego, o bardzo wczesnym poranku wiosennym, młody leśniczy wziął strzelbę i poszedł w las. Bawił długo; nadeszło południe, obiad był już gotów, a leśniczy jak nie wracał, tak nie wracał. Wreszcie ukazał się woddali, niosąc na plecach ogromny wór, biegł, co sił starczyło, do chaty, a za nim gonił ogromny szary niedźwiedź.

Żona leśniczego dostrzegła niebezpieczeństwo. W jednej chwili, chwyciwszy strzelbę, wybiegła z chaty i wypaliła do zwierzęcia.

Niedźwiedź zatrzymał się, a leśniczy tymczasem wskoczył do domu i drzwi za sobą zatrzasnął.

— Co to jest? — zapytała leśniczyna — dlaczego on cię tak goni?

— To niedźwiedzica, zabrałem jej młode; tam oto są w worku. Przecież pamiętasz, że pan już dawno kazał mi szukać małych niedźwiedziąt na chowanie.

— Ach, więc to niedźwiedziątka rzuciłeś w sieni! Teraz rozumiem... Biedna niedźwiedzica!... A czy nie lepiej oddać jej dzieci?

— Za nic w świecie. Za te niedźwiedziątka spodziewam się podwyższenia pensji.

— Niech więc i tak będzie... Ale mi żal biednej matki.

Długi czas niedźwiedzica dobijała się do drzwi domu, ale, raniona wielokrotnie strzałami leśniczego i jego żony, dnia następnego o świcie powlokła się napowrót do lasu.

Mieszkańcy leśniczówki odetchnęli. Niedowierzając jednak zwierzęciu, stróżowali przez parę tygodni kolejno u okna; lecz straszny zwierz nie pokazał się po raz drugi.

Zczasem wrażenie przeminęło i zapomniano o całej przygodzie. Leśniczy otrzymał podwyższenie płacy i przyjął parobka oraz dziewczynę, ażeby wyręczali gospodynię, zajętą wychowaniem dwojga małych chłopaczków.

2. Czas biegł. Synkowie leśniczych podrastali i zaczynali już biegać i mówić, gdy razu pewnego krzyk dziecięcy

obił się o serce matki. Pobiegła i zastała jednego z chłopców wpobliżu domu pod drzewem. Dzieciak, płacząc, zarzucił matce ręce na szyję i opowiedział, że brata jego ktoś straszny i bury wziął i poniósł.

— Gdzie? kto? — napróżno się matka dopytywała.

Zbiegły się sługi, krewni; zaczęto gonić i szukać. Matka, powierzywszy jakiejś kobiecie pozostałe dziecię, wraz z ojcem pobiegła za zaginionym. Noc zapadła i poszukiwania zawieszono; lecz gdy wszyscy wrócili do domu, okazało się, że i drugiego chłopca nie było. Kobieta, której go matka oddała, musiała odejść i powierzyła go innej, tej zaś chłopczyk zsunął się z kolan, pobiegł w podwórze, a co się dalej z nim stało, nikt nie wiedział.

Wszelkie poszukiwania, zarządzone w rozmaite strony, były daremne. Leśniczowie, nie mając więcej dzieci, bardzo tęsknili po straconych i, z tej tęsknoty przechorowawszy przez lat kilka, wkońcu zmarli.

Lata płynęły, a ludzie zapomnieli o całem tem zdarzeniu.

3. W kilka, a nawet w kilkanaście lat po opisanych wydarzeniach ponure puszcze grodzieńskie zawrzały odgłosem myśliwskich trąb i rogów. Odbywało się wielkie polowanie na niedźwiedzie.

Na polanie rozbito kilka namiotów dla panów. Opodal kucharze warzyli potrawy.

Polowanie udało się. Sześć zabitych niedźwiedzi leżało na polance; wśród nich dogorywała jeszcze olbrzymia niedźwiedzica. Grono myśliwych rozmawiało wesoło, przypatrując się zwierzętom.

Wtem ktoś zdaleka zawołał:

— Gdzie jest pan Opaliński?

— Tutaj. A cóż tam takiego?

— Panie marszałku, wasza miłość życzyłeś sobie kilkoro niedźwiedziąt na chowanie; a no, są tam, w tej gęstwinie, której ta niedźwiedzica tak broniła.

Myśliwi natychmiast otoczyli wskazaną część kniei

i ujrzeli w pewnym rodzaju szałasu dwa dziwne potwory. Wielkie ich głowy pokryte były kudłami, zlepione kurzem i błotem, a czarniawe przednie łapy i olbrzymie stopy do ludzkich rąk i nóg były podobne.

— Na miłosierdzie Boskie, ależ to są ludzie! — zawołał jeden z myśliwych.

Na ten odgłos dwie dzikie istoty rzuciły się prosto przed siebie, próbując ucieczki.

— Chwytać! łapać! nie zabijać! To są ludzie! — wołano zewsząd.

Gonitwa trwała długo, aż wreszcie po długiej walce i mocowaniu się, wśród przerażających ryków, owe dwa dzikie stworzenia zostały schwytane i ubezwładnione.

Po ostrzyżeniu ich i wykąpaniu przekonano się, że to byli dwaj młodzieńcy, iście po niedźwiedziemu rozrośli i, jak niedźwiedzie, dzicy.

Otoczono ich staraniami, uczono, pielęgnowano, ale wszystko było daremne. Młodzieńcy dziksi byli i trudniejsi do oswojenia od niedźwiedzi, i musiano ich ciągle mieć na oku.

Raz tylko dostrzeżono w jednym z nich coś podobnego do uczucia, a to wtedy, gdy ów człowiek-zwierz rzucił się na rozpostartą na ziemi skórę niedźwiedzią i, płacząc głośno, począł do piersi ją przyciskać. Po zbadaniu okazało się, że to była skóra z tej samej niedźwiedzicy, która broniła kryjówki owych dzikich młodzieńców.

W kilka lat później pewien szlachcic, wracający z Warszawy, opowiadał o tem zdarzeniu, siedząc na ganku domu, skąd widać było szczątki domostwa, zamieszkanego niegdyś przez owego leśniczego.

Nagle gospodarz domu uderzył się w czoło i krzyknął:

— Nie byliżby to czasem owi synkowie naszego leśniczego, porwani w tak tajemniczy sposób? Może to niedźwiedzica uniosła ich wzamian za swoje dzieci?

Czyżby te zwierzęta miały taką pamięć i macierzyńskie serca?

Michalina Zielińska.

96. Ilustracja bez tekstu.





97. Bocian i liszka.

Jako druh dobry do swojej drużyny [1]),
Bocian do liszki [2]) przyszedł w odwiedziny.
A że to jeszcze było dobrze z rana,
Zaprosi liszka grzecznego bociana,
Aby, na dowód swej łaski,
Lekkie śniadanie raczył zjeść pospołu,
Więc stawi przed nim rzadkiego rosołu
Półmisek płaski.
Gość zaczął grążyć swoim długim dziobem...
Ale nie takim on jada sposobem,
Jak tu częstują; próżno tylko depce,
Tymczasem wszystko sama jejmość chłepce.
Figiel ten bocian skromnie zagodzi:
Podziękowawszy za cześć [3]), odchodzi.
W kilka dni potem, napotkawszy liszkę,
Prosi na obiad wdzięczną towarzyszkę.
— I owszem — rzecze mu ona —
Chętnie z mojemi jadam przyjacioły. —
Gdy się godzina zbliża naznaczona,
Posunie krok swój wesoły,
Chwali bociana, cieszy się, że zdrowy,
A węchem czuje, że obiad gotowy;
Dobry nad wszystko apetyt porywa,
A na tem liszce, słyszałem, nie zbywa.
Stawi gospodarz przed tą jejmościanką
Gąsior wysoki z siekanką.
Sam tedy naprzód, jako wyga stary,
Do wąskiej szyi długą szyję ścibi;
Lecz mordka liszki była inszej miary:
Co się pokwapi, to chybi...
Gdy wkoło skacze i liże, i skrobie,
Długonos wszystko tymczasem wydziobie.

[1]) Przyjaciółki. [2]) Liszka — lis. [3]) Poczęstunek.

Za taką ucztę dla się niewygodną
Liszka nawzajem dobrze była głodną,
Więc zawstydzona do domu pokłuszy [1]),
Zwinąwszy ogon i spuściwszy uszy.
Tu bocian:
— Umie żartować, kochanka!
A co lepszego: rosół czy siekanka?

Franciszek Dionizy Kniaźnin.

98. Nad Wisłą.

Oj! Stachu, miły Stachu!
Oj, ciecze woda z dachu,
Oj, wiosna, da wiosenka,
Niedługo lud popęka!

Oj, zima, twarda zima,
Oryla [2]) w chacie trzyma,
Pod śniegiem trawkę młodą,
A jaskółkę pod wodą.

Oj, zima, twarda zima,
W chałupie drzewa niema,
Ni chróstu na ognisko,
A słonko jeszcze nisko!

Ptaszek się w wodzie pluska,
Do lasu jedzie zwózka.
Wyciągaj, Stachu, wiosła,
Bo woda łód podniosła.

Pan Jezus, oj, łaskawy!
Niedługo przyjdą spławy [3]);
A do kalety grosze,
Co ją na sobie noszę.

Hej, retmany! retmany! [4])
Pójdźcie na brzeg wiślany,
Słoneczko wam przyświeci,
Kulik przodem poleci.

I ten bocian daleki,
Tęskny do naszej rzeki,
I ta wronka siodłata [5]),
Co nad sosny podlata.

I kruki niespokojne,
Co się kupią na wojnę,
Co się chmurą tak garną,
Że na śniegach aż czarno.

Poleci i skowronek,
Żeby ośpiewać dzionek;
I po wodzie, po szklistej
Wiatr powieje ojczysty.

T. Lenartowicz.

---

[1]) Pokłusuje, pobiegnie kłusem. [2]) Oryl — flisak. [3]) T. j. spławianie tratew w dół Wisły. [4]) T. j. przewodnicy statku, sternicy. [5]) T. j. mająca na sobie plamę w kształcie siodła.

99. Ślepy szczur.

Z pomiędzy zwierząt, które pomimo naszej woli wpobliżu nas zamieszkują, najmniej może lubimy szczura, jednak i w ich życiu bywają ciekawe chwile. Pewien uczony następne o szczurach opowiada zdarzenie:

„Nie będąc zdrowym zupełnie, pozostałem w łóżku dłużej, niż zwykle, i czytałem książkę. Nagle słyszę chrobotanie w kącie pokoju, naprzeciwko mojego łóżka. Spoglądam — i widzę, jak młody szczur wychodzi z nory, a za nim drugi, i oba, powolnie postępując, błyszczącemi oczami rozglądają się naokoło. Następnie, nie słysząc żadnego szelestu, rozbiegają się po pokoju i szukają pożywienia. Trwało to wszakże niedługo. Po chwili oba powróciły do nory.

Sądziłem z początku, że mnie spostrzegły i dlatego uciekły, wszakże omyliłem się. Po pewnym czasie ukazały się wraz z większym szczurem, którego posuwały, dopóki nie doprowadziły do miejsca, gdzie leżały kawałki chleba. Przez długi czas nie wiedziałem, coby to znaczyło, wreszcie dostrzegłem, że stary szczur był ślepy, gdyż chodził niepewnie, a zanim znalazł kawałek chleba, długo go szukał. Gdy ujrzałem, że młode szczury pyszczkiem swym podsuwały mu pożywienie, same nic nie jedząc, przypuszczenie moje zamieniło się w pewność.

Gdybym się nie był obawiał spłoszyć tej poczciwej szczurzej rodziny, byłbym rzucił im bułkę, leżącą na moim stoliku, gdyż istotnie wzruszyła mię dziecięca miłość tych niełądnych zwierzątek, które więcej okazywały przywiązania swej niedołężnej matce, niż wielu ludzi.

Jeśli wszystkie szczury tak miłują swe matki, jak te, które widziałem, nie można zastosować do nich przysłowia, które nam hańbę czyni:

„Jeden ojciec łatwiej wyżywi dziesięcioro dzieci, niż dziesięcioro dzieci jednego ojca“.

H. Wernic.

100. Żółw i zając.

Chyży, wysmukły i zwrotny zając
Napotkał żółwia, jakoś przebiegając.
— Jak się masz, moja ty skorupo? — rzecze —
Gdzie to się waszmość tak pomału wlecze?
Mój Boże! cóż to za układ natury!
Mnie w biegu i sam wiatr nie upędzi [1]),
Żółw na godzinę, w swym chodzie ponury,
Ledwie upełznie trzy piędzi [2]). —
— Hola! — odpowie — mój ty wiatronogi!
Umiem ja chodzić i odbywam drogi;
Mogę i ciebie ubiec do celu. —
Rozśmiał się zając:
— Ha! mój przyjacielu,
Jeśli jest wola, ot cel tej ochocie
Niech będzie przy owym płocie! —
To rzekł, i rącze posunąwszy skoki,
Stanął w pół drogi. Obejrzy się, a tam
Żółw ledwo ruszył trzy kroki.
— I na cóż — rzecze — ja wiatry zamiatam?
Nim on dopełznie, tak sobie suwając,
Sto razy wyśpi się zając. —
Tu swoje słuchy przymusnął,
Legnie pod miedzą — i usnął.
Żółw, gdy powoli krok za krokiem niesie,
Stawa nakoniec w zamierzonym kresie.
Ocknie się zając, wczas właśnie!
Darmo się rzucił do prędkiego lotu,
Bo ten, co idzie, w pół drogi nie zaśnie:
— A kto z nas — mówi — jest pierwszy u płotu?

Fr. D. Kniaźnin.

---

[1]) Dogoni. [2]) Piędź — szerokość dłoni rozpostartej.

101. Małpa w kąpieli.

Rada małpa, że się śmieli,
Kiedy mogła udać człeka,
Widząc panią raz w kąpieli,
Wlazła pod stół... Cicho, czeka...
Pani wyszła, drzwi zamknęła,
Małpa figlarz nuż do dzieła!



Wziąwszy pani czepek ranny,
Prześcieradło
I zwierciadło,
Szust do wanny!

Dalej kurki kręcić żwawo
W lewo, w prawo,
Z dołu, z góry,
Aż się ukrop puścił z rury.

Ciepło — miło — niebo — raj!
Małpa myśli — w to mi graj!
Hajże kozły, nurki, zwroty,
Figle, psoty,
Aż się wody pod nią mącą.

Ale ciepła coś za wiele...
Trochę nadto... Ba, gorąco!...
Fraszka! [1]) małpa nie cielę,
Sobie poradzi:
Skąd ukrop ciecze,
Tam palec wsadzi.
Aj, gwałtu! piecze!
Niema co czekać,
Trzeba uciekać!
Małpa w nogi,
Ukrop za nią — tuż, tuż w tropy! [2])
Aż pod nogi,
To nie żarty!... parzy stopy!...
Dałej w okno... brzęk! — uciekła.

Że tylko palce popiekła,
Nader szczęśliwa.
Tak to zwykle małpom bywa!

A. Fredro.

102. Perełki.

Pewnego razu Jadzia zobaczyła prawdziwe perły na szyi u jednej ze znajomych pań. Zaczęła więc prosić mamę, by jej także podobne perełki kupiła.

Mama obiecała pomyśleć o tem.

W kilka dni potem Jadzia pojechała z rodzicami w sąsiedztwo do swej przyjaciółki, Ady. Ledwie zajechali, dziewczynki rzuciły się sobie w objęcia, a Jadzia zaczęła

[1]) Głupstwo, mała rzecz. [2]) W ślady.

zaraz mówić z zachwytem o perłach i o tem, że i ona także mieć będzie prawdziwe perły.

— Ja tam wcale nie pragnę pereł — rzekła Ada — i gdyby mi kto darował, nie przyjęłabym. Nigdybym nie włożyła na siebie łez biednego stworzenia.

— Co też ty wygadujesz? co za łzy i jakiego stworzenia? Moja droga, czy mówisz prawdę, czy też ze mnie żartujesz?

— Chodź do altanki, to ci opowiem. Wiesz, że na świecie są morza?

— Wiem.

— Wiesz, że w morzu są różne muszle, podobne do naszych, tylko znacznie większe?

— No to co?

— Otóż jest także muszla perłowa, która leży głęboko w morzu przy skale. W niej siedzi mięczak. Od czasu do czasu otwiera swą muszlę i czeka, aż mu co wpadnie do zjedzenia: czy roślina, czy też zwierzątko jakie! Ale czasem wpadnie ziarneczko piasku, dostaje się do ciała biednego ślimaka i ugniata je boleśnie. Ślimak ma ciało delikatne, miękkie, okrutnie więc cierpi: ani nóg, ani rąk nie posiada, usunąć więc ziarenka nie może. Zaczyna płakać, ale jego łzy nie są przezroczyste, jak nasze, tylko mleczne. Owe łzy otaczają ziarneczko piasku, krzepną i tworzą małą kulkę z masy perłowej. Wtedy już piasek nie uciska ślimaka, dopóki znowu nie przytrafi mu się podobny przypadek. Wtedy znowu tworzy się nowa perełka.

— Jakżeż ta pani wydostała z wody te swoje perły?

— To nie pani je wydostała, ale nurek, to jest człowiek, ubrany w przyrząd kauczukowy, który go chroni od zalania wodą. On spuszcza się na dno morza, wydobywa stamtąd te muszle, a inni wyjmują z nich perełki. Ta pani kupiła je w sklepie u jubilera.

— To prawda, Aduchno, masz słuszność, że przykro nosić łzy czyjeś na szyi. A przytem i nurek może zginąć w wodzie.

— Naturalnie. Ja sprawiłam swoim lalkom perełki, ale ze szkła. Chodź, to ci pokażę.

Do wieczora prędko czas zeszedł. A gdy Jadzia wróciła do domu, na dobranoc zarzuciła mamie ręce na szyję i rzekła:

— Mamo, już nie chcę prawdziwych perełek, nigdy ich nie włożę...

I powiedziała, dlaczego...

M. Weryho

103. . . . .

— Boże! to burza! Błękit się cały
Skrył w czarne chmury; dalekim grzmotem
Zbudzone mewy z gniazd się porwały
I wicher fale tłucze z łoskotem
O puste brzegi.
Błysło! Tam w krwawem
Świetle mignęła łódź... Na niej... Boże!
O pomoc woła tatuś i łzawem
Spojrzeniem patrzy wdal i nie może
Pochwycić steru, ni żagli zwinąć...
Ha! bałwan leci na łódź i gna ją
Pod zgubną rafę [1]). O! nie daj zginąć,
Panie! Za ojcem Ciebie błagają
Dzieci strapione!...
— Bądź pochwalony.
Cóż to, już śpicie? No! zbudź się, ptaszę,
Przywitaj ojca, on tak znużony...
— Tatuś powrócił? O! szczęście nasze!

Miron.

---

[1]) Rafa — podwodna skała.

104. Lisia rodzina.

1. Wieczór się zbliżał. Słońce jesienne rzucało smugi światła na niebo i oświetlało czerwonym blaskiem małą polankę na wzgórku, na którym wznosił się wielki dąb. Polanka otoczona była wysokiemi paprociami, tak że zdaleka trudno było cokolwiek na niej dojrzeć, musiały tam być jednak jakieś stworzenia, gdyż paproć poruszała się tak, jakby coś nią targało. Zbliżywszy się cichutko, ujrzeć można było ciekawy obrazek.

Na polance bawiło się dziewięcioro lisiąt, a obok stała matka ich, lisica, i z radością przyglądała się swym dzieciakom, wydając co chwila lekkie szczeknięcie, jakby radosne nawoływanie.

Cały dzień przesiedziały one w norze cichutko, oczekując na powrót rodziców. Wiedziały, że słuchać rodziców trzeba, bo inaczej różne niebezpieczeństwa zagrażałyby ich życiu. Pamiętają dobrze, ile strachu pewnego dnia miały. Mało wówczas nie umarły z trwogi.

Braciszek ich najmłodszy, małe głupie lisiątko, skomląc za mamą, wysunął łebek z nory, zdawało mu się bowiem, że słyszy szczekanie matki. Oj, uciekało ono, uciekało co prędzej zpowrotem, bo oto nad dziurą ukazał się wielki czarny łeb jakiegoś zwierza, a z pod drapiących jego łap sypał się piasek do nory. Skóra cierpnie im na myśl, coby się wtedy stać mogło, gdyby nie droga ich matusia, która z za krzaków przybiegła co tchu i odciągnęła psa od nory; ten pobiegł za nią i przepadli daleko, a matka tak długo i na wszystkie strony wodziła go pod wiatr, że pies stracił wkońcu ślady i, skowycząc, pobiegł do domu. Gdy matka wróciła do swych skarbów, tuliła je długo, pieściła, a potem raz jeszcze bardzo surowo im nakazała siedzieć cichutko w norze w czasie jej nieobecności.

Całe życie nie zapomną lisięta tego wypadku strasznego. Nadomiar złego wieczorem tego dnia wyprowadzili ich rodzice gęstemi krzakami do tego dębu, pod którym

teraz się bawią, i tu pociągnęli ich pod korzeń, a potem do nory, opuszczonej przez borsuka, i sami całą noc w niej kopali, a o tamtej norze kazali zapomnieć. Wprawdzie na tym pagórku było ładniej, niż tam, pod suchemi gałęźmi, ale żal im było dawnego mieszkania.

Stąd po raz pierwszy lisiątka wyszły na zabawę. To też dzisiaj wieczorem używały swobody! Matusia przyniosła im pysznego koguta, a ojciec, stary lis, rzucił im żywą myszkę, sam zaś poszedł jeszcze raz na pole w ściernisko; pewnie im więcej myszek przyniesie.

Dobrzy rodzice! cały dzień znoszą im różne przysmaki: to wróbelka, to szczura, to kurę, to gołębia, to zająca, a nawet czasem malutkie jagniątko. Ile to oni strachu doznają przy tem polowaniu! Muszą uważać, czy ich nie goni wilk, a najwięcej obawiają się psa i człowieka; to są ich najzaciętsi nieprzyjaciele.

2. Tego dnia, gdy się nabawiły przyniesionym kogutem i myszką, matka je zawołała i oznajmiła im, że już niedługo nadejdzie zima, a więc teraz gorzej będzie na świecie; nie będą dostawały tylu myszek, ptaszków i owieczek, bo ich nie będzie już na łące, a więc rodzice sami nie nadążą dostarczyć im tyle pożywienia; muszą więc dzieci z niemi chodzić i uczyć się wszystkiego. Najpierw zabiorą rodzice z sobą najsilniejsze i największe lisiątka, a potem mniejsze, boby nie mogli wszystkich razem upilnować. Muszą ich nauczyć, jak rozpoznawać drogę do domu, jak zmylić czujność psa, gdyby ich gonił, jak wprawiać się w skoki wysokie, jak udawać kamień, aby myśliwy nie poznał, jak podkradać się niepostrzeżenie przez szpary w płocie do kurnika i t. p.

— W zimie ziemia pokryta jest białym śniegiem, uważajcie więc na ślady — mówiła matka — i strzeżcie się nieznanych wam rzeczy. Posłuchajcie, jakiej trwogi doznał wasz ojciec zeszłej zimy. Głodny był bardzo, bo zawieja śnieżna trwała kilka dni i z nory wyjść było trudno, ży-

wiliśmy się tylko kurami, które poprzednio przynieśliśmy z dworu od gospodarza, ale to nam nie starczyło na długo, a wy dwaj byliście wtedy tacy głodni! Poszedł więc ojciec w las. Tam na białym śniegu leżało coś, co wyglądało na głowę kaczą. Przyglądał się temu zbliska, ale nie miał odwagi wziąć. A nuż to trucizna, którą nieraz ludzie podkładają, aby nas złapać? — lepiej się powstrzymać, nie ruszać.

Poszedł dalej, tu znowu leży wrona nieżywa.

— O, tej to na pewno nasz wróg nie położył, pewnie sama zmarzła i upadła — pomyślał i złapał ją w zęby, ale wtem poczuł ból w nodze i zaskowyczał strasznie, aż ja w lesie posłyszałam i pobiegłam co tchu do niego. Biedny tatuś leżał na ziemi, a nogę miał w żelazie, bo to, widzicie, ludzie, chcąc nas złapać, nastawiają takie pułapki i zwabiają nas jadłem. Mądrzy oni są, ale i my nie tak łatwo oszukać się damy i na przyszły raz nigdy nie weźmiemy podstawionego nam jadła. Wtedy tatuś wasz wyratował się, bo jakoś żelazo niebardzo mocno ścisnęło mu nogę i, zanim człowiek nadszedł, już z moją pomocą wyrwał nogę z pułapki.

Lisiątkom włosy na skórze stanęły ze strachu przy tem opowiadaniu, to też jeszcze bliżej przytuliły się do swej matki i postanowiły sobie strzec się łakomstwa.

Wedł. E. S. Thompsona.

105. W polu.

Ledwie skowronek
Przywita dzionek,
Oglądam rano,
Co gdzie zorano.
Słońce dogrzewa,
Ludzie het orzą,
Skowronek śpiewa
Na chwałę Bożą.

Choć zniknie oku
W srebrnym obłoku,
Jakby z innego
Czystszego świata,
Piosenka jego
Perłami zlata.
Tak ślicznie dzwoni
W błękitnej toni

Ptaszyna droga,
Jakby tam w górze,
W czystym lazurze
Zobaczył Boga.
Wkoło piosenka
Brzmi wciąż radosna.
Tu wierzba pęka,
Tam pachnie sosna.
Tu woda wzbiera,
A z pod tej wody
Złoty kwiat młody
Z fali wyziera,
Tam klucz żórawi
Ciągnie zdaleka,
Tu płochych kaczek
Stado ucieka.
Lecą bociany,
Drozdy, słowiki,
Pełno przedziwnej
Żywej muzyki.
Przy końcu lata
Pracy zapłata.

T. Lenartowicz.

106. List motylka.

— Drogie dzieci!
Właśnie krawiec
Nową przyniósł mi kapotę:
Atłas przedni, haftowany
W kółka modre, w kółka złote.
Na to płaszczyk z grodeturu [1]),
Szyty brzegiem w piórka pawie,
Że i trudno coś takiego
Widzieć we śnie lub na jawie!
Krój foremny, pierwszej mody,
Na podszewce skroś [2]) sajeta... [3])
Wprawdzie słony był rachunek,
Ale co za tualeta!
Naturalnie, żem się musiał
Z mojej szarej kamienicy
Wyprowadzić w takim stroju,
I dziś mieszkam na ulicy.
Na tej samej, Ogrodowej,
Gdzie biegacie wszystko troje,
I drżę z strachu, gdy was widzę,
O te nowe szaty moje....

[1]) Piękna materja jedwabna. [2]) Wszędzie. [3]) Jedwabie, atłasy.

Otóż błagam, drogie dziatki,
Co mam głosu, co mam siły,
Tej przecudnej tualety
Żebyście mi nie zniszczyły;
Broń was, Boże, za płaszcz chwytać
I oglądać mą kapotę,
Bo mi zaraz poczernieją
Kółka modre, kółka złote!
Broń was, Boże, i podszewkę
Przepatrywać nadto zbliska;
Bo się zaraz na sajecie
Rączek waszych ślad odciska!
Liścik ten wam Wietrzyk wręczy
Za niedługich kilka chwilek...
Pamiętajcie prośbę moją!
Ściskam bardzo.
Wasz motylek.

M. Konopnicka.

107. Las.

Pewnego pięknego dnia majowego ojciec poszedł z dziećmi do lasu. Każde z nich wzięło z sobą przekąskę, którą matka przygotowała. Szli pięknym, szerokim gościńcem, wreszcie zatrzymali się przed lasem.

Weszli między drzewa, goniąc się, skacząc przez przeszkody i po drodze zrywając poziomki; wkrótce stanęli wpobliżu domku leśniczego.

Pan leśniczy, dawny znajomy ich ojca, był rad tym odwiedzinom i uczęstował wszystkich chlebem i mlekiem. Po pieszej przechadzce jakże wybornie smakowało im to śniadanie!

Podziękowawszy leśniczemu za gościnność, wszyscy raźno udali się w głąb lasu. Rosły tu smukłe sosny i jodły. Droga była śliska, zaściełały ją bowiem igły sosnowe. Na drzewach śpiewały ptaki.

Wtem usłyszano huk i trzask oddalony, i wkrótce gromadka przybyła na miejsce, na którem drwale rąbali i ścinali drzewa.

— Czy umiecie—spytał ojciec—oznaczyć wiek drzewa?

— Nie, ojcze — powiedziały zdziwione dzieci. — Czy można to poznać?

Ojciec pokazał im obrączki na ściętem drzewie.

— Patrzcie, po tych obrączkach można obliczyć, ile lat drzewo rośnie: z każdym rokiem przybywa drzewu jedna obrączka.

Dzieci policzyły, na jednem drzewie było ich dwadzieścia sześć.

— Ojcze, więc to drzewo rosło tutaj przez dwadzieścia sześć lat?

— Tak jest, teraz będzie z niego piękna belka, którą ociosają, aby była kanciasta, potem tracze porzną ją na deski. Z odcinków zaś i gałęzi będzie dużo drzewa na opał.

Drwale przerzynali piłą niezdatne na deski pnie, łupali klocki na szczapy i układali w sągi. Inni robotnicy zbierali chróst i składali go na jedno miejsce.

— Nie chciałbym być drwalem — powiedział jeden chłopczyk — cały dzień tak machać rękami lub łupać z całej siły szczapy!

— Ciężka to praca — odrzekł ojciec — ale pożyteczna! Ci ludzie obrabiają to drzewo do budowy, na opał i do kuchni. Bez drwali obejść się nie można.

Po chwili wesoła gromadka udała się w dalszą drogę, wyprawiając znów różne harce i gonitwy. Wkrótce ujrzano część lasu, w której rosły same drzewa liściaste. Były to silne, wysokie dęby, buki, jawory i brzozy. Pod niemi rosły gęsto paprocie.

Wtem ojciec wskazał ręką; dzieci spojrzały w tym kierunku. Kilka zgrabnych sarenek biegło przez las, zatrzymały się chwilę, podniosły głowy do góry i szybko uciekły.

Przez niejaki czas dzieci śledziły je wzrokiem, żałując, że tak prędko znikły. Wreszcie ojciec dał znak do powrotu, i cała gromadka wyszła wkrótce na gościniec, prowadzący do domu.

Henryk Wernic.

108. Ogród warzywny.

Był sad.
Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole: spodem grzędy:
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, pląćząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Ówdzie podnosi złotą kitę kukuruza,
Gdzie niegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.

Grzędy rozcięte miedzą. Na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn, ciche, proste i zielone,
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle,
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle,
Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni;
Tylą farb żywych, różnych mak źrenicę mami.
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik licem wielkiem, gorejącem
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.
Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów — ogród na ogórki.

Pięknie wyrosły, liściem wielkim, rozłożystym
Okryły grzędy, jakby kobiercem fałdzistym.

Adam Mickiewicz.

109. Dwie krople deszczu.

Padał ciepły wiosenny deszcz. Dwie krople leciały obok siebie z chmur na ziemię. Jedna rzekła do drugiej:

— Siostrzyczko moja! to tak miło lecieć razem. Trzymajmy się zawsze blisko siebie!

Wtem spadły obie na dach domu, który stał na pagórku. Jedna upadła na południową stronę dachu, ogrzaną ciepłemi promieniami słońca. Tu zaraz porwały ją inne krople i ściekły z nią razem prędko do rynny, a rynną do rowu. W rowie schowały się w czarną ziemię i później wypłynęły w pewnem oddaleniu w źródełku, ocienionem drzewami. Kropelka oglądała się za swoją towarzyszką, ale tej tu już nie było.

Druga kropelka spadła na północną stronę dachu i stoczyła się po niej do rynny; ale w rynnach po tej stronie domu był jeszcze lód. W nocy był przymrozek, zmroził kropelkę i uwięził ją w lodzie. W kilka dni odtajała napowrót i spłynęła na dół do sadzawki, w której pływały gęsi i kaczki, a z tej do jamy z gnojówką. Z niej wyrzucono ją na pole. Długo tam wędrowała od korzonka do korzonka, niosąc roślinom z gnojówki pożywienie, aż nareszcie, oczyszczona, zatrzymała się w bróździe. Spadł deszcz ulewny, porwał ją, zmieszał z namułem i uniósł na dół do rzeki. Jej towarzyszka już dawno swobodnie płynęła w innej rzece.

Tak płynęły sobie w przeciwne strony świata, z rzeki do rzeki, z morza do morza; płynęły rok, dwa, sto, tysiąc lat i nie widziały się z sobą. Aż po tysiącu latach, ku wielkiej radości wzajemnej, znalazły się obok siebie na nieskończonej powierzchni wielkiego, dalekiego morza.

Gorące promienie słoneczne parzyły je tam bardzo, aż wkońcu kropelki uniosły się w ciepłem powietrzu w górę. Tam porwał je wiatr i zaniósł znowu daleko, daleko, nad pagórek, z którego niegdyś ściekły w dwie przeciwne strony.

Ale domu, na który kiedyś spadły, już tam nie było. Nie było nawet śladu mieszkania ludzkiego. Rosła tam trawa, a wśród niej ćwierkały koniki polne.

A. Szycówna.

110. Koguty.

Na dziedzińcu, przy kurniku,
Krzyknął kogut: Kukuryku!
Kukuryku! krzyknął drugi, i dalej w czuby.
Biją skrzydła, jak kańczugi [1]), dziobią dzioby,
Drą pazury aż do skóry.
Już krew kapie, pierze leci.—
(Z kwoczką uszedł rywal trzeci).
A wtem indor dmuchnął:—Hola!
Stała się jego wola.
— O co idzie, o co chodzi;
Indor was pogodzi.—
Na to oba, każdy sobie:
— Przedrzeźniał się mej osobie.—
— Moi panowie! — Indor powie:
— Niepotrzebnie się czubiło,
Przedrzeźniania tu nie było:
Obydwa z jednej zapialiście nuty,
Boście obydwa koguty.—
Kiedy głupstwo jeden powie,
Głupstwo drugi mu odpowie:
Potem płacą życiem, zdrowiem;
Co rzec na to? Wiem, nie powiem.

Al. Fredro.

---

[1]) Kańczug — rodzaj bicza na krótkiej rękojeści, nahajka.

111. Ilustracja bez tekstu.



112. Karmienie drobiu.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito,
Do nóg jej biegło ptastwo. Stąd kury szurpate [1])
Toczą się kłębkiem, stamtąd kogutki czubate,
Wstrząsając koralowe [2]) na głowach szyszaki
I wiosłując skrzydłami przez brózdy i krzaki,
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty.
Za niemi zwolna indyk sunie się odęty,
Sarkając na trzpiotalstwo swej krzykliwej żony,
Ówdzie pawie, jak tratwy, długiemi ogony
Sterują się po łące, a gdzie niegdzie z góry
Upada, jak kiść śniegu, gołąb srebrnopióry.
W pośrodku zielonego okręgu murawy
Ściska się okrąg ptastwa krzykliwy, ruchawy,

---

[1]) Szurpaty — mający nastrzępione pierze. [2]) T. j. czerwone.

Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi;
Tu dzioby bursztynowe [1]), tam czubki z korali [2])
Wznoszą się z gęstwi pierza, jak ryby z pod fali,
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle, nakształt tulipanów wodnych;
Tysiące oczu, jak gwiazd, błyskają ku Zosi.
Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi,
Sama biała i w długą bieliznę [3]) ubrana,
Kręci się, jak bijąca wśród kwiatów fontanna;
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
Ręką, jak perły, białą, gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych. To ziarno, godne pańskich stołów,
Robi się dla zaprawy litewskich rosołów;
Zosia, je wykradając z szafy ochmistrzyni
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

A. Mickiewicz.

113. Żuk-pływak.

Okrutny drapieżnik zjawił się razu jednego w stawie. Był to żuk. Trochę większy od chrabąszcza, miał także sześć nóg, ale zato ostatnia para była bardzo wydłużona i służyła mu za wiosła; dlatego też pływał doskonale.

Od czasu zjawienia się pływaka nikt nie zaznał spokoju: drapieżny żuk, nie przebierając, porywał każde żywe stworzenie, odrywał ogony kijankom, rozdzierał na kawały pijawki, wciskał się w ciało ślimaków, a nawet na ryby się rzucał i żywcem je skubał. Kto mógł, uciekał, krył się w stawie i mule, ale umknąć przed nim nie było łatwo.

Błagalnie patrzyły wodne stworzenia jedne na drugie, czy też nie znajdzie się obrońca przed tym srogim nieprzyjacielem. Aż tu pewnego dnia rozniosła się wieść, że pływaka uśmiercono.

---

[1]) T. j. żółte. [2]) T. j. czerwone. [3]) T. j. w białą suknię.

— Jak? co? — dowiadywano się na wszystkie strony, i okazało się, że pijawka dokonała tego czynu.

Dowiedziała się bowiem, że pływak, choć przebywa w wodzie, co chwila jednak wypływa na powierzchnię, ażeby zaczerpnąć powietrza. Otóż razu jednego, gdy pływak zbliżył się do pijawki, ta porwała go za nogę i trzymała w wodzie tak długo, póki się żuk nie udusił.

Odtąd w stawie zapanowały spokój i radość.

Kijanki wkrótce zamieniły się na żaby, karpie z każdym dniem rosły i grubiały, a pijawki, dumne z siebie, zagrzebały się głęboko w ziemię na dłuższy wypoczynek.

M. Weryho.

114. Zając i żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach,
Poczuł, że się źle z nim skończy,
Więc jęknął z głębi serca:
— Ach, niemasz pod słońcem
Lichszego powołania, jak zostać zającem!
Co mię w dzień pies, lis, konik, kania
I wrona,
Nawet i ona,
Jak chce, tak gania,
A w noc, gdy drzemię, oko się nie zmruża,
Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęcze,
Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem.
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem [1]).
Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,

---

[1]) Samobójstwem

Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić!
Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić! —
Tak z płaczem, gdy do stawu zwraca skoki [1]) słabe,
        Po drodze stąpił na żabę.
Ta mu, jak raca, drgnąwszy, z pod nóg szusła [2]).
I z góry na łeb w staw plusła.
A zając rzekł do siebie:
            — Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzu stoi,
Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,
I swojego zająca, którego się boi.

Adam Mickiewicz.

115. Zmartwychwstały.

1. Powiedz mi, chłopcze, gdzie się podziały owe tysiące żabek, które, pamiętasz, w lipcowe wieczory dawały takie wspaniałe koncerty? Już w październiku żadnej nie było. Sądzisz zapewne, że zginęły z chłodu i głodu...

Pomyśl tylko, czy to możebne, aby naraz tak wszystkie, wszyściutkie zginęły?

Jakież to byłoby smutne, prawda?

Ale pociesz się, chłopcze! Przecież co rok zima nadchodzi, nieraz długa i ciężka, a czyż co wiosna stawy i sadzawki nie zaludniają się żabami na nowo?

— Więc nie giną? Cóż się z niemi dzieje?

— Czekaj, opowiem ci pewne zdarzenie.

Byłem podówczas młodym chłopcem, takim ot, jak ty. Spędzałem zimę na wsi. Pewnego dnia, gdym w dziedzińcu lepił gałki ze śniegu, nadbiegł zdyszany Franek, przyjaciel mój, wołając zdaleka:

— Obac, obac, mam ziaby!

Trzymał w każdej ręce po dwie żaby, zupełnie zmarzłe, jak kość, z wyciągniętemi na całą długość nogami. Znalazł je w śniegu o kilkanaście kroków od stawu.

---

[1]) T. j. nogi. [2]) T. j. skoczyła.

Żal mi było biednych żabek.

A jeśli jeszcze niezupełnie umarły, jeśli je można ocucić?

Najwięcej żałowałem tej maleńkiej. Wyprosiłem ją sobie od Franka, zaniosłem do kuchni i położyłem na przypiecku. Może się ocknie w cieple?

Niestety! lód stopniał, żabka zwilgotniała, zmiękła.... lecz nie odżyła.

Z tą smutną wieścią wróciłem do Franka.

Ten jednak nie miał czasu na smutki, taki był zajęty swemi żabami. Właśnie ustawiał je na śniegu jedną za drugą w postawie stojącej. Z obu stron wetknął po kilka sopli lodowych, odłamanych z dachu. Wyglądało to razem na pochód rycerzy zaklętych po alei drzew skamieniałych.

Potem urządził turniej. Ustawił jedną nawprost drugiej, tak że się dotykały przedniemi łapkami, jakby mocowały się z sobą.

Śmiał się przytem, jak szalony. Chwycił jedną, wyrzucił w górę, złapał potem drugą, trzecia wymknęła mu się i spadła na ścieżkę ubitą.

Trach! złamały się jej obie nogi tylne! Były tak kruche, jak sople lodu. Postanowiliśmy urządzić jej pogrzeb.

Usypaliśmy pagórek ze śniegu, obsadziliśmy dookoła soplami, złożyliśmy zmarłą kalekę i przykryliśmy śniegiem, dwie zaś inne żabki postawiliśmy na grobowcu, niby figury pomnikowe.

2. Kilka dni następnych śnieg padał i wszystko pokrył białym całunem. Myśmy tymczasem o żabkach zupełnie zapomnieli.

Nadeszła wiosna. Słońce stopiło już śniegi do szczętu. W jasnych jego promieniach ziemia zaczynała się uśmiechać. Staw zrzucił kaptur lodowy i wyjrzał na świat okiem wesołem, szeroko rozwartem.

Gdy obeschło, wybiegłem z domu. Już z ganku dostrzegłem leżące hen, koło drzwiczek ogródka trzy żaby nieżywe; te same, któreśmy pochowali.

— Trzeba je odrzucić precz — pomyślałem — zaczną gnić.

Podbiegłem i schwyciłem pierwszą z brzegu za nóżki, w tejże jednak chwili puściłem ją z okrzykiem przestrachu. Poruszyła mi się w ręku! A teraz na ziemi kurczy oto i znowu rozkurcza nogi, otwiera powoli oczy.

— Żyje! Żaba żyje! — krzyknąłem na całe gardło i pobiegłem do Franka, opowiadając niezwykłą nowinę wszystkim w całym domu.

Poradzono mi zostawić je w spokoju i czekać, co dalej będzie. Po kilku dniach ruszały się wszystkie znakomicie. Wreszcie pewnego ranka dwie znikły kędyś. Zapewne umknęły do stawu. Pozostała jedynie kaleka z odłamanemi przez Franka nóżkami. Biedna! czołgała się zaledwie powolutku, zapomocą łapek przednich o czterech krótkich paluszkach. Chciało się jej także do stawu. Serce mi się krajało, gdym patrzał na jej wysiłki.

Franek był strapiony okrutnie. Okaleczył ją na zawsze! Zresztą był niewinny. Miał je przecie za nieżywe. Skądże mógł wiedzieć, że zmartwychwstaną na wiosnę? Wszelako był strapiony i, chcąc biednej choć trochę ulżyć, wziął ją ostrożnie i zaniósł do stawu. Niechaj tam żyje, wedle możności, szczęśliwie.

Było to, mój chłopcze, już dawno, za dni moich dziecinnych. Po raz pierwszy dowiedziałem się wtedy, że żaby za zbliżaniem się chłodów i głodu zapadają w odrętwienie. W takim stanie nie boją się mrozów, nawet silnych, o ile nie przewyższają dwudziestu pięciu stopni. Zazwyczaj zresztą chronią się zawczasu do głębokich norek pod brzegami stawów, lub zagrzebują się w ił. Tam leżą nieruchome, w odrętwieniu zupełnem, zanim się woda na wiosnę ogrzeje. Wówczas wyłażą zbudzone i zjawiają się w wodzie nagle, jakby na skinienie. Rozumiesz teraz, chłopcze, jak się to dzieje?

— Rozumiem. Ale proszę powiedzieć mi jeszcze, cze-

mu tamta żabka, co to położona była na przypiecku, nie zbudziła się w cieple?

— Bo widzisz, chłopcze, nagłe ogrzanie musi śmierć spowodować. Nie wiedziałem tego wtedy, w dzieciństwie. Uśmierciłem niechcący biedną żabkę maleńką. Zrobiłem gorzej, niż Franek. On swoją okaleczył tylko, ja zaś zabiłem. Ale trudno, nie wiedziałem.

Na wiosnę, widzisz, dzieje się inaczej. Sam wiesz, jak powoli śniegi topnieją, jak powoli z dniem każdym cieplej się staje. Nierad byłeś, że tak wolno to idzie, prawda? A właśnie w tem tkwi siła ożywcza wiosny. Zresztą i jesienią dzieje się tak samo! Nagły mróz przedwczesny, jak tamto nagłe ogrzanie, zgubiłby wszystko, zarówno żaby, jak i młode zasiewy. Tylko powoli, stopniowo przyzwyczaić się mogą stworzenia żywe do silnych mrozów i do silnych upałów.

Roma Minkiewiczówna.

116. Nasze drzewa.

Wokoło nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem.
Leszczyna, jak menada [1]), z zielonemi berły,
Ubranemi, jak w grona, w orzechowe perły;
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce,
Wkoło pary małżonków; stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem:

---

[1]) Taucerka z orszaku Bachusa, bożka wina, u starożytnych Greków, trzymała w ręku laskę, owiniętą bluszczem i winogradem.

Brzoza, biała kochanka, z małżonkiem swym, grabem,
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki,
Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,
Tam matrony topole i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.

Adam Mickiewicz.

117. Robota Sobkowej.

Dzień był piękny, słońce świeciło jasno, a srebrzyste nici babiego lata snuły się w powietrzu. Tecia z Kazią wyszły przede dwór. Ode wsi słychać było miarowe uderzenia.

— Kto to tak stuka? — zapytała Tecia, która pierwszy raz była w jesieni na wsi.

— Nie wiesz? To kobiety len międlą. Jeżeli jeszcze tej pracy nie widziałaś, to chodź na wieś.

Dziewczynki wzięły się za ręce i pobiegły ku czworakom. Przed każdą prawie chatą była wbita w ziemię międlica, a przed nią stała wieśniaczka z garścią lnu w ręce.

— Chodźmy tutaj, do Sobkowej, to moja dawna niania — rzekła Kazia.

Sobkowa ucieszyła się, zobaczywszy dziewczynki, a dowiedziawszy się, że Tecia nie widziała jeszcze, jak się len międli, rzekła:

— Niech panienka patrzy! Na tę deseczkę z rowkiem kładę len, a tą deseczką przybijam, czyli międlę, i paździorki wszystkie z lnu spadają, a w ręce zostaje mi czyste włókno, z którego potem uprzędę na kołowrotku nici, a z nici utkam płótno na koszulę.

Len wyrwany najpierw leżał na rosie lub deszczu, potem go wysuszyłam na ściernisku, a łodygi tak dobrze skruszały, że ledwo dotknę międlicą, już paździorki lecą.

Tecię bardzo zajęła robota Sobkowej; próbowała nawet

sama międlić, lecz nie poszło to tak łatwo, jak jej się zdawało, i o mało nie przytłukła sobie palcy u lewej ręki. W podobny sposób przygotowują i konopie, ale z nici konopnych płótno jest o wiele grubsze.

— To pewnie od paździorków lnianych miesiąc ten nazywa się październikiem? — pytała Tecia.

— A naturalnie — odpowiedziała Kazia — październik od paździerzy, listopad, bo liście z drzew opadają, grudzień od grudy, i tak każdy miesiąc ma stosowną nazwę.

J. Warnkówna.

118. Stary Maciej i króliki.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,
Nucąc piosenkę: „Kiedy ranne wstają zorze",
Rad, że się wypogadza. Mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło, kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała. Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie:
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Słucku [1]) lity pas wyrabia,
Dziewica, siedząc w dole, krośny ujedwabia
I tło ręką wygładza; tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jej nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł, a słońce dzierzgało.
Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia, usiadł przed domem i świsnął;
Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął.
Jako narcyzy, nagle wykwitłe nad trawę,
Bielą się długie słuchy; pod niemi jaskrawe

---

[1]) Słuck — miasto na Litwie, słynne z wyrobu pasów, t. zw. słuckich.

Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny,
Gęsto wszyte w aksamit zielonej darniny.
Już króliki na łapkach stoją, każdy słucha,
Patrzy, nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona;
On sam biały, jak królik, lubi ich gromadzić
Wkoło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić,
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróblów; spada z dachów krzykliwa hołota.

A. Mickiewicz.

119. Modlitwa ptaszków do słońca.

Przelecieliśmy, ptaszkowie,
Morze wielkie i szumiące,
Dajże nam tu wypocznienie,
O ty, jasne, ranne słońce!
    Dajże nam tu wypocznienie
    Na kwitnącym krzewie róży!
    Niech odetchniem, ptaszki liche,
    Po ogromnej tej podróży!
Dajże nam tu gniazdo uwić,
O, ty zorzo cudna, złota!
Od gwałtownych wichrów, burzy,
Od burego strzeż nas kota!
    Strzeż nas także od jastrzębia,
    Co zwysoka na las leci,
    I napełnia gniazda piskiem
    I porywa nasze dzieci!
A nad wszystko ciebie prosim,
Niech nas chroni twa opieka
Od okrutnych, brzydkich chłopców,
Od złośliwych rąk człowieka.
    Kot nas tyle nie wydusi,
    Jastrząb tyle nie wymiecie,

Ile klęski w gniazdach zrobi
Jedno złe i srogie dziecię!
My z ufnością tu lecieli
Do tych cichych pól i gajów;
Bo najmilej w tej krainie
Śpiewać nam ze wszystkich krajów.
Bo tu pola szumią kłosem,
Bo tu łąki pachną wiosną,
Bo tu wiśnie słodkie w sadach
I jagody w lasach rosną.
Dajże ziemi plon obfity,
By starczyło i nam chleba,
A na gniazda i na chaty
Z pogodnego świeć nam nieba!
A my witać ciebie będziem,
Będziem żegnać cię piosenką,
I zanucim, zaświergoczem
Dobrym ludziom przez okienko!

M. Konopnicka.

120. Sobótki.

Po raz pierwszy widziałem sobótkę w Sanockiem, u górali pod Beskidem.

W wigilję św. Jana Chrzciciela, znacznie przed wieczorem, powstał ruch wielki między dziećmi wiejskiemi i pasterkami; zaczęli bowiem, jak się zwykli wyrażać, ściągać sobótkę, t. j. znosić z lasu suche gałęzie jałowcu i łomy [1]) jodeł i świerków; potem układali je na bitym gościńcu, w miejscu rozległem, gdzie się prawie wszystkie wygony bydła z lasów i z pól przed wioskę zbiegały, w pięknej dolinie nad rzeczką Osławą. Przeszło dwie godziny trwała ta robota, a odprawiała się gorliwie, wśród radosnych okrzyków dzieci i ku wielkiej uciesze pasterzy.

---

[1]) T. j. nałamane gałęzie.

Kiedy cała robota była już ukończona, spędzono wszystkie trzody razem i zatrzymano je na stronie. Pomiędzy niemi a wioską wznosił się olbrzymi stos, który całą szerokość drogi zajmował, a środkiem wysoko był wypiętrzony. Kiedy zmierzch padał, zaczęły się zbierać starsze niewiasty i dziewki, a za niemi szli gazdowie [1]), gwarząc i paląc lulki. Wszyscy obstąpili stos dokoła, niewiasty starsze zasiadły brzeg, nad drogą wyniesiony, a młodsze rozpoczęły pieśń.

Ściemniło się wkońcu. Czas był spokojny, a noc ciepła, czerwcowa. Zdala szumiała po kamieniach Osława. Roje świętojańskich muszek latały dokoła.

Zapalono sobótkę. W jednej chwili ogień z trzaskiem objął stos, skacząc i klaszcząc w ręce, cieszyły się dzieci.

Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski...
Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosem
Gęśle [2]) i kobzy [3]), fujarki i dudki,
Wszystko to naraz uderzyło głosem
I grzmotnym krokiem do tańca sobótki!...

Nadjechali Węgrowie z za Beskidu, wioząc bryki, winem ładowne; stanęli na drodze i przystąpili do ognia. Nie mogąc jechać dalej, gwarzyli z góralami o sobótce, a dziwnie odbijały ich ostre, ogniem oświecone twarze przy łagodnych twarzach górali.

Ogień, wznosząc się coraz wyżej, oświecił całą okolicę, a ryk bydła, przerażonego ogniem, odgłos tysiącoletnich pieśni, śmiech niewiast, radość dzieci, ten gwar nakoniec poważnych gazdów, to wszystko razem odbijało cudownie przy tej świeżej zieloności czerwcowej, czerwoną łuną oświeconej, i przy tym spokoju nocnym, w którym się ciemne świerkowe góry wznosiły nad Osławą!...

---

[1]) T. j. gospodarze. [2]) Gęśl, gęśliki — strunowy instrument muzyczny, rodzaj skrzypiec góralskich. [3]) Kobza, koza, dudy, dudki — instrument muzyczny, złożony z piszczałki i mieszka.

Gdy stos nawpół już opadł, zaczęto nagwałt pędzić trzodę w ogień: i z rykiem skakało bydło przez gorejące jeszcze ognisko. Za bydłem i przed niem skakali tam i sam chłopaki po wiele razy, hałas wielki czyniąc. Jest bowiem mniemanie u ludzi, że tym sposobem zachowuje się bydło od zarazy i uroków. To samo przekonanie jest o ludziach, bo pieśń mówi wyraźnie:

Kto na sobótce nie będzie,
Głowa go boleć wciąż będzie.



Gdy stos już przygasł, poczęli się zwolna rozchodzić gazdowie. Niewiasty z pieśnią wracały do wioski. Góralska ligawka i trąba straży nocnej ozwała się od cerkwi i dworu, a z poza ciemnej góry świerkowej podniósł się zwolna miesiąc i patrzył spokojnie w nurty Osławy, oświecając dym sobótki, który się błękitnawym pasem wlókł po dolinie.

Wincenty Pol.

121. Przygotowania do wigilji.

W chałupie uwijano się żwawo, Józka przyśpiewywała cichuśko i strzygła z papierów kolorowych one cudackie strzyżki, które czy na belkę, czy też na ramy obrazów nalepić, to widzą się [1]), kieby [2]) pomalowane w żywe kolory, od których aż gra w oczach.

A Jagna, z zakasanemi po ramiona rękawami, miesiła w dzieży ciasto i przy matczynej pomocy piekła strucle tak długachne [3]), że widziały się [4]), jako te lechy [5]) w sadzie, na których pietruszkę zasiewają, to chleby bielsze nieco z pytlowej mąki, a zwijała się żywo, bo ciasto już kipiało i trza [6]) było wyrabiać bochenki, to zaglądała za józiną robotą, to zaglądała do placka z serem i miodem, któren [7]) wygrzewał się już pod pierzyną i czekał na piec, to latała na drugą stronę do szabaśnika, w którym buzował się tęgi ogień.

Wł. St. Reymont.

122. Wigilja.

Pamiętacie wigilję w miłych braci kole?
Na samo jej wspomnienie skakało pacholę,
Z jakąż niecierpliwością wyglądały dzieci,
Rychło na modrem niebie gwiazdeczka zaświeci!
Ileż to w owe czasy sprawiały uciechy:
Choinka ze świeczkami, z złotemi orzechy,
Pełne rumianych jabłek cynowe półmiski,
Opłatki, z których siostry kleiły kołyski!
Jakeśmy się cieszyli, ujrzawszy przed świecą
Na opłatku Jezusa z Przeczystą Dziewicą!
Pamiętacie to wonne na ziemi posłanie,
Gdzie się dzieci swobodnie tarzały po sianie,

---

[1]) Zdaje się. [2]) Jakby. [3]) Bardzo długie. [4]) Zdawały się. [5]) Zagonki. [6]) Trzeba. [7]) Który.

A rodzice wróżyli z pszenicznego snopka
O przyszłym urodzaju poczciwego chłopka?
A potem ledwie kogut, co z swego poddasza
Donośnem pianiem północ w chałupach ogłasza,
Uderzył się po bokach żółtemi skrzydłami,
Jak niesłychana radość podrzucała nami!
Biegliśmy na pasterkę, gdzie na wiejskim chórze
Śpiewaliśmy kolędy, jak skowronki w górze,
Spoglądając z okienka, rychło anioł Boży
Wiecznej jasności wrota gwiaździste otworzy
I w blasku, co go oko wytrzymać nie zdoła,
Ukaże patryjarchów i aniołów koła.
Pomnicie, jak, wróciwszy z kościoła nad ranem,
Paśliśmy bydło zdjętem z pod obrusa sianem,
Które tej jednej nocy po oborach gwarzy [1])
O losie swych poczciwych starych gospodarzy?
O, jakże nas cieszyła owa z gwiazdką szopka
I wesoła kolęda wiejskiego parobka,
Co, przebrany za tura, wtaczał się przez progi,
Konopną kiwał brodą i nadstawiał rogi,
I póty mruczał, niby od wielkiego głodu,
Póki mu nie wynieśli kołacza i miodu.

T. Lenartowicz.

123. Zapusty.

1. Wiecie co, chłopcy — rzekł raz Antoś — przebierzemy się w niedzielę, każdy za kogo innego. Dopieroż to będzie zabawa!

— A dobrze! — krzyknęli chłopcy. — Przebierzmy się!

— No, to i my także! — zawołały dziewczynki.

— Co myślicie, chłopcy? — rzekł Feliś — mają się dziewczynki przebierać, czy nie?

---

[1]) Jest podanie u ludu, że w noc wigilijną bydło przemawia ludzkim głosem.

— A niech się przebierają! Cóż to one gorsze od nas?— zawołał Karolek. — I owszem, będą tańce.

— Tylko jakby się tu przebrać? — zapytał Staś i zamyślił się bardzo.

— O, wielkie rzeczy? Jest też nad czem myśleć! Ja się przebiorę za górala, bo mam siekierkę, co mi ją ojciec w Zakopanem kupił. Wezmę serdaczek ślicznie wyszywany, na nogi zawiążę kierpcie, takie chodaki, z długiemi rzemieniami; spodenki obcisłe sukienne, pięknie na bokach czerwonym sznurkiem wyszywane, pas szeroki skórzany, ćwieczkami nabijany; gunię na to taką, jak noszą druciarze, torbę skórzaną przez plecy i kapelusz, opasany taśmą, muszelkami naszytą. A co? Nie pięknie to będzie? A teraz jeszcze siekierka!

— No to ja się przebiorę za góralkę! — zawołała Józia. — Wezmę buciki żółte safjanowe, spódniczkę modrą, serdaczek ślicznie wyszyty, do koszuli wstążkę czerwoną, warkocze zaplotę gładziutko i białą chusteczkę zawiążę na głowie.

— To będziesz musiała placki piec owsiane! — żartował z Zosi Michaś. — Bo tam taka bieda, że chleba prawie nie jedzą.

— A nie! Bo mój góral naostrzy kosę i pójdzie w doliny żyto kosić i zarobi dużo pieniędzy i będziemy mieli chleb biały, aha!

— Kiedy tak — zawołał Janek — to ja się przebiorę za Krakowiaka. Wezmę kamizelę zapinaną pięknie na guziki, szarawary w paski niebieskie i białe, wstążkę będę miał u kołnierza czerwoną, na to kerezja granatowa z peleryną, ślicznie złotem, srebrem wyszywaną, pas szeroki skórzany, na nim kółek siedmdziesiąt, te będą brząkały, gdzie się tylko ruszę; u pasa kozik na rzemyku, u butów podkówki, co z nich tylko iskry będą leciały, jak sobie w tańcu przytupnę. Na głowie biała czapeczka z pawiem piórkiem i czarnym barankiem — i co mi kto zrobi?

Tu ujął się Janek pod boki i zaczął śpiewać:

Albo my to jacy tacy, jacy tacy
Chłopcy Krakowiacy! Chłopcy Krakowiacy!

Hanusi zaświeciły oczki.

— Mój Janku! mój złoty! — prosiła brata — to ja będę Krakowianką! Spódniczkę wezmę niebieską, galonem i wstążkami naszytą, gorsecik czerwony, sznureczkiem złotym sznurowany, u rękawów i u szyi wstążki śliczne,



w warkoczach kwiatki, pończoszki białe, trzewiczki z klamerkami, fartuszek także biały.

— No dobrze! — zawołał Janek. — Ale mi się wyucz różnych krakowiaków, żebym za ciebie wstydu nie miał.

— Już ty się nie bój! — odrzekła rezolutnie Hanusia.

2. — Ja tam — powiedział Ignaś — przebiorę się za Podlasiaka. Włożę sukmankę kasztanowatą z wełny takich burych owiec, w domu utkaną, czerwonym sznurkiem po bokach i u kołnierza, i u mankietów wyszytą, wezmę buty z podkówkami, albo skórznie, wiązane rzemieniem na sza-

rawary płócienne, wezmę czapkę z siwym barankiem — i już.

— To tam wcale strój nie osobliwy! — zawołał Piotruś. — Miałeś też co wymyślić!

— A właśnie, że nie — broniła Ignasia Julka. — Właśnie, że ładny strój! Ja sama przebiorę się za Podlasiankę, spódniczkę wezmę płócienną w drobne kwiateczki, fartuch biały, na to kaftan taki biały za kolana, co się nazywa parcianką, głowę okręcę białą zawijką, kwiateczek za nią zatknę czerwony, na nogi chodaki czerwone, albo trzewiczki— i zobaczycie, jak mi w tem będzie ładnie.

— No, zobaczymy! — odrzekł z niedowierzaniem Piotruś. — A ja tymczasem będę sobie Mazur. Sukmanę wezmę granatową z czerwonemi wyłogami, pod nią kamizelę zieloną, opasaną wełnianym czerwonym pasem, kapelusz z wstążką granatową i tak będę śpiewał.

Jestem ja sobie Mazur bogaty,
Świecą się na mnie prześliczne szaty,
Koszuleczka drelichowa,
Właśnie jakby muślinkowa,
Dratwami szyta!

— No, to ja tak samo się ubiorę, jak ty — rzekł Pawełek — i będę Łęczycak.

— A nie! — zaprzeczył Staś — bo Łęczycaki noszą wyższe kapelusze i jaśniejsze kamizele bez rękawów i mają szarawary z wełniaka w paski czerwone albo modre.

— A ja co będę? — zapytała Kazia — Łęczycanka, czy Mazurka?

— Możesz sobie być albo taką, albo taką, jak chcesz.

— No, to ja chcę być Mazurką. Wezmę spódniczkę różową, fartuch w kwiatki, wstążką wiązany, na to kaftan granatowy sukienny, na guziczki zapinany, pięknie z tyłu fałdowany, z kołnierzem wykładanym i wyłogami czerwonemi, taki kaftan, co to się nazywa „przyjaciółka“...

— A to zabawne! — przerwała Mania.

— A na głowie — kończyła Kazia — będę miała chusteczkę związaną, a za nią zatknięty kwiatek.

— A o mnie toście zapomnieli! — zawołał płaczliwie Józio. — Już się dla mnie nic nie zostało. Wszystkoście sobie zabrali! Jacy mądrzy!

— Ale gdzież tam! Ale nie! — bronili się chłopcy.

— Możesz przecie być Kujawiakiem — rzekł Michaś.

— A jakże ja się przebiorę?

— A wstyd! — zawołała Rózia — żeby taki duży chłopiec nie wiedział, jak się Kujawiacy ubierają!

— A wstyd! — zawołały inne dzieci.

Zaczerwienił się Józio, a Janek tak mówił:

— Weźmiesz na siebie długi kaftan sukienny, na trzy rzędy świecących guziczków zapinany, na to pas bawełniany amarantowy; weźmiesz potem sukmanę modrą z wyłogami i podszewką też amarantową. Weźmiesz kapelusz słomiany, z młodego żyta pleciony, opaszesz modrą wstążką i będziesz taki Kujawiak, że aż miło!

— A ja z tobą do pary! — zawołała Rózia. — Spódniczkę wezmę niebieską, suto fałdowaną, u dołu samego czerwoną wstążką obszytą, gorset też niebieski, na hafteczki zapinany, kołnierz od koszuli pięknie wyłożony, a na to długi kaftan sukienny, granatowy. Na głowie zawiążę dużą chustkę, trzewiczki włożę płytkie, w ręku będę trzymała chusteczkę białą i pęczek bożego drzewka, nasturcji i pachnącej mięty.

— Fiu! fiu!... — zagwizdał Ignaś.

— A ja się przebiorę za Hiszpana! — wyrwał się Henryś z kąta.

— A to my się z tobą nie będziemy bawili — zawołał Staś — bo my będziemy wszyscy swojacy, to my tam Hiszpana nie potrzebujemy.

— Tak, tak! — krzyknęły dzieci. — My będziemy wszyscy swojacy!

Henryś zawstydził się mocno.

Marja Konopnicka.

124. Kraszanki.

Pod kominem w samem świetle ognia siedziały zgodnie Jagna z Józką, zajęte pilnie kraszeniem jajek, a każda swoje zosobna chroniła i kryjomo, aby się barzej [1]) wysadzić.

Jagusia najpierw myła swoje w ciepłej wodzie i, wytarte do sucha, dopiero znaczyła [2]) w różności roztopionym woskiem, a potem wpuszczała we wrzątek, bełkocący we trzech garnuszkach, w których je kolejno zanurzała. Żmudna była robota, bo wosk miejscami nie chciał trzymać, albo jajka w rękach się gnietły [3]) lub pękały przy gotowaniu, ale wkońcu naczyniły [4]) ich przeszło pół kopy i nuż dopiero okazywać sobie i przechwalać się piękniej kraszonemi.

Kaj [5]) się ta było Józce mierzyć z Jagusią!

Pokazywała swoje w piórkach żytnich i cebulowych gotowane, żółciuchne, białemi figlasami ukraszone i tak galante [6]), jak mało któraby potrafiła, ale ujrzawszy Jagusine, gębę ozwarła [7]) z podziwu i markotność ją chyciła [8]).

Jakże, to aż mieniło się w oczach, czerwone były, żółte, fiołkowe i, jak lnowe kwiatuszki, niebieskie, a widać było na nich takie rzeczy, że prosto nie do uwierzenia: koguty, piejące na płocie, gąski na drugim syczały na maciory [9]), uwalane w błocie; gdzie znów stado gołębi białych nad polami czerwonemi, a na inszych [10]) wzory takie i cudeńka [11]), kiej na szybach, gdy zamróz je lodem potrzęsie [12]).

Wł. St. Reymont.

---

[1]) Bardziej. [2]) Rysowała. [3]) Gniotły. [4]) Zrobiły. [5]) Gdzież. [6]) Piękne. [7]) Otworzyła. [8]) Schwyciła. [9]) Świnie. [10]) Innych. [11]) Piękności, cuda. [12]) Pokryje.

125. Wesele włościańskie w Zamojszczyźnie.

„Ja jestem chłop ordynacki,
Nie jadam chleba, jeno placki“.

Śpiewają zamożni kmiecie w ordynacji [1]) Zamojskich, a ten swój dostatek pokazują najchętniej przy godach weselnych, które się tam obchodzą z całą wystawą.

Gdy sobie już młodzieniec upodoba jaką dzieweczkę, posyła na zwiady swachę, zwaną tam „rajelupą“. Jeżeli rodzice panny młodej nie są przeciwni temu związkowi, wtedy kawaler, wziąwszy butelkę wódki, udaje się do nich. Gdy mu panna da kielich na znak przyjęcia, zwołują sąsiadów i wyprawiają zrękowiny, w przeciwnym razie młodzieniec musi odejść z kwitkiem, to jest z niczem. Po zrękowinach dają na zapowiedzi. W trzecim tygodniu, w sobotę wieczorem, w wilję ślubu, zbierają się druchny w domu oblubienicy, aby uwić „rózgę weselną“.

Zaczynają śpiewać i gałąź śliwową lub gruszkową przybierają w ziele i wstążki. Rózga ta przeznaczona jest dla gospodarza wesela, zwanego „marszałkiem“.

Oprócz marszałka, wybierają jeszcze „starostę“, oraz „starościny“; każdej z nich jest obowiązkiem: śpiewać wszelkie obrzędowe pieśni i upiec pieróg i korowaj weselny. Jest to olbrzymi pszenny bochen chleba, ozdobiony różnemi figlasami z ciasta i umajony rozmarynem i innem zielem.

W dzień ślubu, gdy się już wszyscy zejdą, państwo młodzi klękają przed rodzicami i proszą ich o błogosławieństwo, a marszałek w imieniu państwa młodych przeprasza rodziców w tych słowach: „Mój panie miły ojcze, moja pani miła matko, odpuśćcie mi grzechy moje, winy moje, nieposłu-

---

[1]) Ordynacja jest to urządzenie sukcesji w ten sposób, że tylko jeden z sukcesorów, zwany ordynatem, odziedzicza całe dobra i dzielić ich nie wolno.

szeństwo moje, bo ja teraz zbieram się do kościoła Bożego, do ślubu wiecznego".

Potem udają się wszyscy do kościoła. Marszałek z rózgą w ręku, otoczony siedmiu drużbami, konno przewodniczy reszcie drużyny, siedzącej na wozach.

Po ślubie nie jadą do domu, tylko do karczmy. Tam starościny częstują cały orszak weselny przygotowanemi przez siebie pierogami, a karczmarz dostarcza napitku.

Po takim poczęstunku starościny pieśnią zachęcają marszałka do tańca:

„Niedbały pan marszałek, niedbały,
Starościny się za stołem pospały;
A dokoła, marszałeńku, dokoła,
Niechże będzie drużyneńka wesoła".

Tym śpiewem zachęcony marszałek zaczyna taniec, zwany „pożonem", który każdy przetańczyć musi. Nabawiwszy się w karczmie, jadą do domu i każdy wraca do siebie, a w poniedziałek udają się znowu do rodziców panny młodej i hulają dzień cały. To samo powtarza się we wtorek i inne dni tygodnia; bawią się wesoło cały tydzień i dopiero w sobotę rozchodzą się na dobre.

Oczepiny panny młodej odbywają się trzeciego dnia po ślubie. Wtedy to, przy odgłosie pieśni, starszy brat ucina jej warkocz, zwany kosą, a kobiety kładą na głowę młodej mężatce ogromny czepiec.

Potem następuje „odbijany". Taniec ten musi panna młoda przetańczyć z każdym gościem i każdy po nim według swej możności musi pannę młodą obdarzyć. Nazywa się to „dać na czepek".

Każdego weselnego dnia wieczorem rozkrawają jeden korowaj, czemu towarzyszy śpiew:

„Do naszego korowaja
Trza było wody z Dunaja,
Równo nam, starosto, krajcie,
Żadnego nie omijajcie".

J. Chrząszczewska i J. Warnkówna.

126. Uroczystość pogańska dożynek.

I znowu święto nielada.

Ludzie już związali na niwie snop zboża ostatni, gruby a ciężki, prawie na pokaz. Ozdobili głowę jego jagodami kaliny, ustroili w kwiaty dziewanny, macierzanki, mięty, ostróżki.

Istna to osoba!

Snop tak wygląda, jak białogłowa leciwa, otyła, z małą wciętością w pasie — baba sążnista a przysadkowata.

Z szacunkiem posadzili tę postać na wozie, obłożyli ją sierpami, kosami, grabiami, oddawali jej pokłony czołobitne.

Woły ruszyły z miejsca, żeńcy donośnie jęli śpiewać chórem:

„Raźno, raźno, boże woły, śpieszcie z babą do stodoły,
Plon wieziemy, plon — w gospodarski dom".

Kto tam szczęśliwie doczeka godów jarowych, będzie jadł kołacze i baby z tego zboża białego...

Na Świątki Zielone nie używają też innej mąki.

Do żniw przyszłych trza przekołatać żywot o starym chlebie, no i podzielić się z nim z bogami. Umajony paprocią, widłakiem, jałowcem, jedliną wóz żałościwie skrzypi w piachach, turkota gderliwie po głazach i pomyka na Bugaj.[1])

„Raźno, raźno, boże woły!"

Wzięli łupież[1]) z ziemi, uchodzą z nią do domu. Woły, ubrane w wieńce zielone na szyjach, na rogach, kroczą z powagą uroczystą, jakgdyby wiedziały, że w dniu dożynków ciągną wóz z wizerunkiem matki ziemi, biorą udział w obrzędzie świętym.

---

[1]) Miejsce święte. [2]) Zdobycz, łup

Młodzieńcy i dziewki pobrali się w pary dziarskie, pląsają żwawo po drodze i zawodzą pieśni, których echa grzmią gromko aż w puszczy Bohboru.

Grajkowie nadążają po obu stronach wozu, bo bez gędźby [1]) niema święta, niema obrzędu.

Ten wali z całej siły w bęben, tamten dmie w trąbę, aż mu oczy nawierzch wyłażą. Inny tkliwie piska na pi-



szczałce przebierawie, a jeszcze inny dobywa głosu z dudy[2]), lub też sadzi się, aby po swojemu wyciągnąć na ligawce [3]).

Stado ptaszków wesołych powraca z żeru, buja ponad ziemią, w pląsie polotu zatacza łuki wdzięczne z góry na dół i z dołu do góry.

Ptacy nasłuchują ochoczo, wtórują gędźbie ludzkiej wrzawą ucieszną świegotu.

Oj, jak tu wesoło!

Skowronek posłyszał pienia radosne, rozgłośne.

---

[1]) Muzyki. [2]) Duda, kobza — instrument muzyczny z piszczałkami i miechem. [3]) Fujarce.

— Czy może piosenka już idzie przez niwy?

Wzleciał ponad rżysko złote, zawisł w górze i śpiewa z całego serca, jak to on umie:

Ti-ri-li-ri-ri-li-li.

Szpaki porwały się na ługach [1]), szparko gonią przez powietrze i w drodze gwarzą wesoło. Pasikonik [2]) podskakuje w ścierniach. Świerszcze namiętnie i na wyścigi cierkają. Zające i przepiórki nasłuchują w miedzach. Skąd się dziś bierze światu takie wesele?

Krąg słońca właśnie się już stacza, zapada na noc w owe kraje, gdzie czarna Przemsza płynie, gdzie Siewierz stoi, gród słynny z iłów [3]) srebrno-dajnych.

Wśród pokrzyków uciechy, potrząsów wyskocznych, przyśpiali [4]) z Babą do swej wieśnicy na Bugaju.

Tutaj obiatnik [5]) u trebiszcza [6]) wraz [7]) rzeże kozła na cześć Przenowi.

Oto obiata [8]) dziękczynna Bogu! — i zawiesił na słupie głowę rogatą zwierzęcia.

Lud to wznosi oczy ku niebu, to kornie przypada ku ziemi i bije czołem.

Okrzyk przewlekły wypadł z ust wszystkich:

— Ooo! Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Modlą się z zapałem, a po skończonej modlitwie będą hulali, ucztowali. Nie dziw, bo latoś mieli żniwo bogate, kosowicę [9]) ogromną.

Adolf Dygasiński.

127. Dawni królowie tej ziemi.

Spójrz na twe dzieje, młode pacholę,
Spójrz na twą przeszłość odwieczną,
A duma błyśnie na twojem czole
Jakąś jasnością słoneczną.

---

[1]) Łąkach. [2]) Konik polny. [3]) Ił—ziemia mulasta, urodzajna. [4]) Przybyli. [5]) Ofiarnik, kapłan. [6]) Ołtarza. [7]) Zaraz. [8]) Ofiara. [9]) Zboże skoszone.

Wzrok się twój dziwnym blaskiem rozświeci,
Myśl spoważnieje od młodu,
Gdy długi szereg zgasłych stuleci
Z chwałą tu ujrzysz narodu!

Jakież to czasy, jacy rycerze
Z wieków wychylą się toni:
Zaszumią skrzydła, zagrzmią puklerze,
I stara szabla zadzwoni.

Ujrzysz tych królów na złotym tronie
Zdobnych we wszystkie zaszczyty,
Nad twoją głową sztandar powionie,
Chwałą Grunwaldu okryty!

A kędy zwrócisz oczęta modre,
Kędy wytężysz źrenice,
To po Dniepr siny, a tam po Odrę
Ujrzysz twych krajów granice.

A gdy ku ziemi nakłonisz ucho,
To cały spłoniesz w zachwycie,
Gdy ona szeptać zacznie ci głucho
O dawnym świetnym swym bycie.

Gdy w twych olśnionych oczach rozwinie
Tych mężów szereg wspaniały,
Co pracowali dla niej jedynie,
Dla jej wielkości i chwały.

Ona nauczy, ona ci powie,
Jak czcić te czasy minione,
W których Piastowi dwaj aniołowie
Z rąk Bożych dali koronę;

W których Lech mężny, król siwobrody,
Przez dzielne wsławił się ramię,
Co trzebił puszcze, budował grody
I orła dał nam na znamię;

I w których postać Wandy królewny,
Jak promień gwiazdy lśni złotej,
Że dotąd jeszcze w legendzie rzewnej
Naród wysławia jej cnoty.

Takie to dzieje, takie przykłady
Są twoją dawną spuścizną:
Te Lechy, Piasty — to twe naddziady,
A kraj ten — jest twą Ojczyzną.

A któreż dziecko nie będzie rade
Ujrzeć swą matkę jedyną?
Więc miłość Polski na pierś ci kładę,
Jak twój talizman [1]), dziecino!

Patrz, miłość owa, co budzi dreszcze
I w młode puka serduszko,
Zrodziła takie męże i wieszcze,
Jak nasz Mickiewicz, Kościuszko.

Ona wydała wielkich hetmanów
I mężów sławnych bezliku:
Takich Czarnieckich, Czackich, Rejtanów,
Śniadeckich przy Koperniku.

Niechże ten promień świętej miłości,
Który przyświecał tak wielu,
I twemu życiu drogę uprości
I niech cię wiedzie do celu!

W. Bełza.

128. Bohaterka.

— Babciu, Jerzyk i Gucio mówili, że tylko mężczyźni bywają bohaterami i że tylko mężczyźni robią postęp, wiesz, babciu, starają się o to, aby było coraz lepiej na świecie.

---

[1]) Przedmiot czarodziejski, dający szczęście.

— A ty co mu odpowiedziałaś, Zosiu?

— Ja i Haneczka pogniewałyśmy się na chłopców, ale odpowiedzieć to, babciu, nie wiemy co. Ja tylko zaręczam, że jakby wilk chciał zjeść mamusię, albo tatusia, broniłabym ich, prawda, babciu? Nie dałabym zjeść; ale to jest okropne i ja nie mogę o tem myśleć.

— Okropne, Zosiu, nieraz jednak broniły kobiety swoich dzieci od wilka, a swojej ziemi od rabusia. Broniły też i swojej wiary. Bardzo dużo młodych dziewcząt, a nawet dzieci wolały umrzeć, niż nie kochać Chrystusa, tego Boga, którego przybito do krzyża za to, że kochał ludzi.

— Ja to wiem, babciu, mamusia opowiadała o świętej Agnieszce, która sama śliczną głowę położyła pod miecz kata, byle nie skłamać i nie mówić brzydkich słów na Chrystusa.

— Widzisz więc, Zosiu, że kobiety, nawet młode dziewczęta bywają bohaterkami, i właśnie dziś chcę ci opowiedzieć o kobiecie wodzu-bohaterce. Słuchaj więc, powiem, jak w Janku wędrowniczku:

„Kto tu przy mnie grzecznie siędzie,
Nosek czysty, uszki w górę,
Ten o wszystkiem wiedzieć będzie,
Pozna całą awanturę!"

— Tak, moja Zosiuniu, nielada to będzie awantura, bo wiesz, jak tylko Lech zbudował miasto Gniezno, zaraz znalazł się drugi zuch, który nad Wisłą, niedaleko gór Karpackich, postawił drugie mocne grodzisko. A że ten zuch nazywał się Krakus, więc i miasto, które zbudował, nazwał Krakowem.

— Wiem, wiem, babciu, byłam przecież w Krakowie, jadąc z mamusią do Rabki i widziałam kopiec, który Polacy usypali Krakusowi. To bardzo piękna pamiątka taki kopiec, bo każdy choćby i dziecko dołoży z wielkiej miłości trochę ziemi dla bohatera, prawda, babciu?

— Prawda, ślicznie powiedziałaś, Zosiuniu. Otóż ten

Krakus nie miał syna, tylko córkę, więc kiedy umarł, nasi dziadkowie, z wielkiej miłości dla swego wodza, nie tylko usypali mu kopiec, ale córkę jego, Wandę, ogłosili wodzem czyli księciem.

— Doprawdy, babciu, kobietę zrobili wodzem? Zaraz powiem o tem Jerzykowi.



— Powiedz, Zosiu, to przedewszystkiem, że wódz Wanda była takim bohaterem, jakiego dotąd Polska nie miała. Słuchaj, bo mam ci wytłumaczyć bardzo ważną rzecz. Pięknie jest być zuchem, bronić siebie i dzieci od wilka i niedźwiedzia, ale Wanda zrobiła piękniej jeszcze, gdyż poświęciła swoje życie nie przez strach, tylko przez miłość dla całego narodu.

Wanda była nie tylko bardzo dobrą, bardzo szlachetną, ale i bardzo piękną. Dowiedział się o tej jej piękności rycerz niemiecki, Rytygier, i przysłał swaty do Krakowa, bo mu podobało się dostać w posagu piękny gród.

— Będzie wesele — mówili niemieccy posłowie, rozkładając dary, przysłane przez bogatego księcia.

— Nie będzie wesela, jako świat światem, księżna nie zaprzeda Krakowa w niemieckie ręce — odpowiadano hardo posłom.

I to była prawda. Wiedzieli krakowianie, że ich Wanda nie zdradzi, że za Niemca nie pójdzie, nie puści do grodu smoka, łakomego na cudzą ziemię.

I nie puściła, czy wiesz, Zosiu, czem się Wanda obroniła od Rytygiera? Czy się domyślasz?

— Nie, mów, babciu, bo to śliczna historja.

— Śliczna, ale smutna. Wanda powiedziała księciu, że żoną jego nie zostanie, a on, jak prawdziwy rabuś, przyprowadził zaraz ogromne wojsko i ustawił je nad Wisłą, a potem mówi tak:

— Albo mnie poślubisz, albo Kraków zgubisz.

I gotował się z rycerzami do wojny.

Więc Wanda patrzy ze swego zamku na górze wawelskiej i widzi, jak Niemcy ostrzą miecze i zęby, niech tylko odpowie Rytygierowi: „Nie będę twoją żoną", zaraz rabusie wpadną do Krakowa mordować i brać jej lud w pęta.

Biedna Wanda, jej nic nie groziło, żaden wilk, ani niedźwiedź; nie ze strachu więc o swoje życie, tylko z miłości dla swego ludu, żeby nim nie rządził Niemiec, sama skazała się na śmierć.

— Jakto, babciu?

— Oto, Zosiuniu, powiedziała sobie tak: „Wolę umrzeć, niż żeby przeze mnie jeszcze lała się krew", i śliczna, młoda, kochana, zbiegła raniutko z zamku wawelskiego do Wisły, skoczyła tam w wodę, gdzie rzeka najgłębsza i utonęła.

Płakał lud w Krakowie za swoją panią, a Rytygier ustąpił zawstydzony. Starzy zaś ojcowie rodu mówili tak:

— Usypmy Wandzie kopiec, jak jej ojcu, Krakusowi, bo to była prawdziwa bohaterka. Ona nauczyła nas kochać naród, nauczyła, że za naród dać trzeba życie w obronie przed rabusiem, jak je dajemy za dzieci, bro-

niąc je od niedźwiedzia. Przez Wandę postąpiła bardzo miłość dla Ojczyzny w Polsce, a to jest najważniejszy postęp, pamiętaj, Zosiu.

Z. Bukowiecka.

129. Pasowanie na rycerza.

1. Po raz może pierwszy w Polsce pasowanie na rycerza tak uroczyście się odbywać miało. Michno, dworzanin królewski, ulubieniec królewicza Bolka, kierował niem w kościele i na zamku, bo obrzęd ten, nawpół religijny, pod okiem i opieką duchowieństwa dopełnić się musiał.

Oznaczonego dnia Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szli naprzód na nabożeństwo, odziani skromnie, jak pokutnicy. Mieli oni suknie z prostego, grubego sukna, bez żadnych ozdób, nakształt sutanny, jaką nosili duchowni.

Przy mszy świętej prawie wszyscy spowiedź odbywali. Nie godziło się dnia tego żadnej zażywać rozrywki, ani wspólnie z innymi biesiadować. Stół mieli osobny, jadło skromne, niewytworne. Dzień cały upłynął im na skupieniu ducha.

Wysłuchawszy nieszporów, wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym na wielkim ołtarzu Sakramentem i przy płonącej lampie noc całą przebyli na rozmyślaniu i modlitwach.

Skoro się rozwidniło, wyszedł biskup Filip ze mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do stołu Pańskiego.

Szli potem do przygotowanej łaźni, w której wyparzywszy się i obmywszy, zmienili odzież, biorąc bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną [1]).

Zwyczaj, którego Michno pilnował, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w niem przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami.

---

[1]) Haftowaną brzegiem.

Bolko chciał się oprzeć temu przymusowemu spoczynkowi, lecz stary choć na chwilę go przymusił, aby się obyczajowi zadość stało. Wpuszczano tedy ciekawych i przynoszących życzenia, na których nie zbywało.

2. Gdy się te odwiedziny skończyły, Michno, Strzegoń i Leliwa Neńko, stary wojak, przystąpili do odziewania królewicza, wedle starego obyczaju.

Pierwszy podał mu gzło [1]), u szyi i pięści złotem wyszywane, białe, jak śnieg, szatę niewinności oznaczające, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę, dzianą [2]) misternie i plecioną. To oznaczało jakby włosienicę rycerską: godło trudu, bólu i wstrzemięźliwości.

Na ono drugie gzło żelazne wdziewano mu kaftan łosiowy, który pierwsze okrywał, tak jak człowiek cnotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich skromnie osłaniać. Na kaftan poczęto opinać zbroję, osłaniać całe ciało mającą do rękojeści i nagolenników.

Na nią Strzegoń narzucił mu płaszcz rycerski na ramiona, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż skwar sierpniowy na potłuczonem świeżo ciele, sińcami po boju okrytem, ledwie ciężar ten cały dawał udźwignąć.

Tak samo przyodziani zostali towarzysze Bolkowi, dla których on gzła, zbroje i miecze jednakie zawczasu przysposobił.

Wszyscy młodzi, pacholęta jeszcze, uroczyście szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie ani w izbie, ani w podwórzu, ale uroczyście w katedrze się odbywało.

Na wielkim ołtarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy arcybiskup pobłogosławił.

Gdy orszak królewiczowski ruszył ze dworca [3]), wały i okna pełne były ciekawego ludu, okrzykującego młodego pana i klaskającego radośnie.

---

[1]) Koszulę. [2]) Tkaną. [3]) Zamku.

W uroczystym pochodzie szli wszyscy do tronu: starszyzna, kumy za nimi.

Król zasiadł pod bałdachimem. Duchowieństwo, licznie zgromadzone, chór, ławy i prezbiterjum zapełniało. Lud tłoczył się do kościoła.



Szedł naprzód królewicz przed ołtarz wielki, a tu odprawiwszy krótką modlitwę, szedł do ojca, przed którym składać miał przysięgę.

Jedna dla wszystkich rycerska przysięga brzmiała: jako krwią, życiem, mieniem, nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętej i kościoła, walczyć z pogany, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie wszelkiemu uciśnieniu.

Po złożeniu przysięgi dopiero przystąpili do królewicza Strzegoń i Michno, aby mu złocone przypiąć ostrogi.

Klerycy, wziąwszy z ołtarza pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym[1]) pasie złocistym, a pochwę miał zasianą w drobne krzyżyki złote, nieśli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a Władysław, trzykroć mieczem uderzywszy go po ramieniu, drżącemi rękami przypasał mu rycerskie znamię.

Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić był powinien cierpliwie ciosy i razy za wiarę i za prawdę. Wstał Bolko, cały radością promieniejący, dziękując ojcu, a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim jego towarzyszom pasy nakładać, wyręczała go starszyzna, dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi, trąby i co było gędźby[2]); uderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszały wszystko. Lud cały, w podwórzach stojący, witał nowych rycerzy.

J. I. Kraszewski.

130. Jasełka na dworze królowej Kingi.

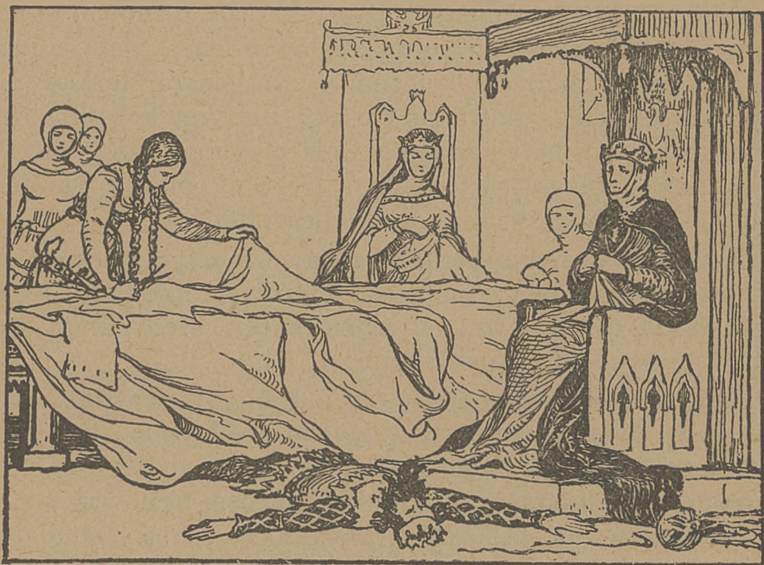
Przy nadchodzących świętach królowa ze swoim dworem ubiera „jasełka“.

Co to za pyszna zabawa! Pełna zabiegów i gorączki, bo wszystkie kościoły krakowskie szykują także widowiska, wszyscy mieszkańcy miasta przesadzają się w ich przystrojeniu, a królowa postanowiła, że „jasełka“ w katedrze wawelskiej muszą być najpiękniejsze, i pewnie słowa jej się sprawdzą, bo nie szczędzi starań, ani kosztu; już od całych miesięcy u biegłych snycerzy[3]) zamówiła posągi drewniane, mające przedstawiać Boskie Dzieciątko i Jego Matkę, świętego Józefa, co stoi pod kominem, pasterzy i trzech króli, Heroda ze Śmiercią i cały chór Aniołów. Wszystkim

---

[1]) Wysadzanym drogiemi kamieniami. [2]) Gędźba — muzyka. [3]) Snycerz — artysta, który rzeźbi w drzewie.

tym osóbkom ślicznie pomalowano twarze i ubrania, wedle których teraz panie przykrawają i szyją drogie prawdziwe ubiory. A nie ladajakie one będą: księżna Kinga na ich sporządzenie oddaje własne zasoby, kazała pootwierać skrzynie, które są istnym skarbem, bo z Węgier przywiozła cesarską wyprawę. Najpiękniejszą swoją suknię purpuro-



wą z perłami włożyła Najświętszej Pannie, dla króli idą święte lamy [1]), aksamity, kosztowne pióra, wszystkie zaś owe gwiazdy i promienie są z prawdziwego złota, słowem, co się robi, to po królewsku.

A przytem jest w tych jasełkach tajemnica, wielka niespodzianka dla mieszkańców Krakowa: oprócz Przenajświętszej Rodziny, której się tknąć nie śmiano, wszystkie inne osóbki ruszają się, jakby żywe. Pasterze chodzą na

---

[1]) Rodzaj materji jedwabnej, przetykanej złotem albo srebrem.

kółkach, królowie klękają na sprężynkach, Śmierć macha kosą, Herod gubi głowę, Aniołkowie trzepocą skrzydełkami, dziwy!

Pod arabskim kobiercem stał duży stół hebanowy, perłową konchą wysadzany, dziwną sztuką mogący się składać i rozkładać. Księżna Kinga przywiozła go z wyprawą, jako pamiątkę po matce swojej, cesarzównie bizantyjskiej [1]). Przy nim stały cztery krzesła tronowe; każdy ze swoim stopniem i swoim baldachimem. Na jednem z tych krzeseł siedziała księżna Grzymisława, matka panującego księcia, wdowa po Leszku Białym; koronna różnemi koronami, bo i sama po śmierci mająca być wliczona w szereg błogosławionych, i szczęsna matka Salomei świętej i chlubna świekra Kingi beatyfikowanej [2]).

Ciężkiemi doświadczeniami opłacić musiała na ziemi te niebieskie zaszczyty; podczas burzliwej młodości syna, postawiona między dwoma opiekunami: Henrykiem Śląskim i Konradem Mazowieckim.

Teraz szczęśliwsze chwile dla niej błysły; widziała syna Bolesława Wstydliwego, panującego swobodnie, ożenionego tak świetnie, jak mało który monarcha w Europie, pełnemi dłońmi zbierała owoce wdzięczności synowskiej; bo też Bolesław tak ją czcił i kochał, że, choć pełnoletni, nic bez jej rady nie przedsięwziął, a na wszelkich aktach i przywilejach kładł imię matki obok swego. Strój wdowi, białe obwicie koło twarzy dodawały Grzymisławie powagi. Teraz szyła czerwony kaftan dla Heroda, którego tułów nikczemnie walał się pod jej tronem z głową, na haczyku wiszącą.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

---

[1]) Greckiej, ze stolicą w Bizancjum, t. j. Konstantynopolu. [2]) T. j. zaliczonej przez Kościół w poczet błogosławionych.

131. Sen Leszka Czarnego.

Kiedy po śmierci Bolesława Wstydliwego na tronie polskim zasiadł Leszek Czarny, najstraszniejszym wrogiem Polski, po Tatarach, byli Jadźwingowie, naród pogański, który mieszkał w okolicach Podlasia.

Raz w ogromnej liczbie napadli oni na ziemię lubelską. Dzicy najeźdźcy palili kościoły, mordowali kapłanów i dzieci, niszczyli i burzyli chaty i pałace, a ludność dorosłą zabierali w niewolę wraz z całym dobytkiem. Po ich przejściu nie pozostawało nic, tylko zgliszcza, bo za ludźmi zabranymi i psy ich dążyły.

Na wieść o tak strasznem nieszczęściu Leszek, który podówczas sprawował sądy w Krakowie, zebrał całe rycerstwo i pośpieszył ku Lublinowi; nie zastał tam jednak nieprzyjaciół, gdyż, obciążeni łupem, pociągnęli dalej. Trzeba ich było ścigać, a tu rycerstwo, znużone, niechętne było dalszej wyprawie. Trwoga napełniła mężne serce Leszka.

W tej trudnej chwili Bóg sam przyszedł mu w pomoc. Gdy książę, znużony trudami podróży, pokrzepiał się snem w cieniu rozłożystego dębu, śniło mu się, jakoby mu się ukazał św. Michał Archanioł i tak do niego przemówił:

— Idź śmiało, uderz na nieprzyjaciół, a zwyciężysz.

Wzruszony tem widzeniem, zbudził się Leszek, a przyzwawszy do siebie duchownych i całą starszyznę wojskową, opowiedział im swój sen cudowny, poczem w te odezwał się słowa:

— Bracia! tu w obecności waszej składam ślub uroczysty, że, jeżeli mi Bóg dopomoże do odniesienia zwycięstwa nad poganami, wystawię kościół na tem miejscu, gdzie mi się św. Michał objawił.

Zapał i pewność, jakie króla ogarnęły, udzieliły się całemu rycerstwu i zagrzały do walki z nieprzyjaciółmi. Rzucił się na nich Leszek ze swem wojskiem, a niespo-

dziane natarcie Polaków odrazu w popłoch wprawiło dzicz całą.

Na pierzchających rzucili się również uwolnieni z więzów jeńcy; co więcej, podanie mówi, że nawet psy owe, które towarzyszyły jeńcom w niewolę, przyczyniły się do zwycięstwa, kąsając wrogów.

Skoro Leszek wrócił ze szczęśliwej pogoni, zbudował w Lublinie kościół, który, pod nazwą św. Michała, a potem Starej Fary, został rozebrany w połowie XIX wieku. Wspaniała ta świątynia w dalekie pokolenia podawała pamięć łask Bożych, zachęcając do ufności w Opatrzność, bezustannie nad nami czuwającą.

A. Szycówna.

132. Dwa miecze.

Po bitwie pod Płowcami, w której Władysław Łokietek zwyciężył krzyżaków, czas jakiś Polska zażywała z ich strony spokoju.

Za panowania Władysława Jagiełły znowu rozpoczęli oni swe najazdy tak na Polskę, jak i na połączoną z nią Litwę. Wyczerpała się wreszcie cierpliwość króla: postanowił położyć koniec zaczepkom niegodziwych sąsiadów. Krzyżacy przygotowali się do wojny również z największą gorliwością i starannością.

W lipcu r. 1410 stanęły oba wojska naprzeciw siebie pod wsią Grunwaldem. Z powodu gorąca wojsko polskie i litewskie rozłożyło się obozem w lesie, mały tylko oddział stał przed lasem. Krzyżacy, okuci w żelazne zbroje, z lekceważeniem patrzyli na Polaków, a szczególnie na Litwinów, odzianych tylko w skóry zwierząt.

Dnia 15 lipca król Władysław modlił się z bratem swym, Witoldem, w kaplicy, gdy mu oznajmiono, że dwaj posłowie krzyżaccy przybyli. Przywołani przed króla posłowie tak przemówili:

— W imieniu wielkiego mistrza i całego zakonu przynosimy tobie, królu, i tobie, książę Witoldzie, te oto dwa miecze, jako zachętę i pomoc do boju. Panowie zakonni pozwalają wam wybrać sobie miejsce do bitwy, w którejkolwiek stronie zechcecie. Nie kryjcie się w lesie i nie chowajcie się małodusznie! Nie strońcie od walki, której uniknąć nie możecie!

Oburzenie zabłysło w oczach króla, gdy usłyszał te harde i obraźliwe słowa. Ale uspokoił się i odpowiedział łagodnie:

— Pomocy nie szukamy u nikogo innego, tylko u Pana Boga. Mieczów mamy dosyć, lecz i te dwa przydadzą się nam do upokorzenia pyszałków. Przyjmujemy je i chcemy się z wami zaraz rozprawić. Plac boju sam Bóg wyznacza; On go wam i nam już obrał.

Bóg nagrodził pokorę i ufność króla. Zaraz po odprawieniu posłów zagrały trąby i rogi pobudkę do bitwy, a całe wojsko polskie zanuciło pieśń „Bogurodzica!“ Niemcy uderzyli z niezmierną gwałtownością; zagrzmiały rozstawione po górach działa.

Z początku zachwiały się szeregi Litwinów, lecz wnet uzyskali Polacy nad wrogiem przewagę i po ciężkim boju odnieśli świetne zwycięstwo, którem Pan Bóg dumę krzyżaków upokorzył.

Poległo czterdzieści tysięcy ich wojska, i sam wielki mistrz zginął wraz z najprzedniejszymi rycerzami; reszta poszła w rozsypkę lub dostała się do niewoli. Polacy zdobyli 50 i jedną chorągiew i cały obóz, a z nim ogromne skarby w złocie i broni. Bitwa pod Grunwaldem złamała zupełnie potęgę krzyżaków.

Podług Karola Szajnochy.

133. . . . .

Gdy królowa Jadwiga dnia 15-go października 1384 roku przybyła na koronację do Krakowa, miała zaledwie lat czternaście. Chociaż więc miała z sobą dużo dworek i pań, które ją otaczały, było jej bardzo smutno, tęskniła bowiem do matki i do tych, z którymi się razem wychowała.

— Jak to było dobrze w domu biegać po ogrodzie, zrywać kwiaty i nie mieć żadnych kłopotów! — myślała sobie, wzdychając.

Wprawdzie i tu nieraz wybiegała ze swojemi dworkami na górę Wawel, na której stał zamek, ale jako królowej, nie wypadało już bawić się z niemi w gonionego, jak to było dawniej.

U stóp góry Wawelu rozciągały się wtedy błonia, piękną zielonością pokryte.

Pewnego dnia Jadwiga spojrzała na nie i rzekła:

— Pójdźmy, tam będzie nam swobodniej, niż tutaj pod zamkiem.

Ochmistrzyni, która na krok młodej królowej nie odstępowała, zezwoliła na tę niezbyt odległą przechadzkę. Przestrzegała jednak:

— Tylko, schodząc z góry, nie można biec, jak zwyczajna panna, trzeba utrzymać powagę!

Jadwiga, pamiętna tej przestrogi, szła powoli, wyprostowana, z głową wzniesioną do góry, tak jak ją ochmistrzyni uczyła.

Ale gdy się znalazła na błoniu, zapomniała i o przestrodze ochmistrzyni, i o powadze królewskiej. Biegała, jak każda dziewczynka w jej wieku, zrywała kwiaty i trawy i uganiała się za rozwlekającą się, jak zwykle w jesieni, pajęczyną.

Wtem spostrzegła małą wynędzniałą dziewczynkę, która, tak samo jak ona, chwytała czepiające się na trawach nitki pajęcze.

Dziewczynka zbierała nitki skrzętnie i chowała w zanadrze. Gdy zaś pajęczyna uczepiła się jej podartej sukienki, z wielką lubością się jej przypatrywała, mówiąc:

— Aha, znów jedna niteczka!

— Co ty robisz, dziecino? — spytała królowa.

— Zbieram nici — odpowiedziała dziewczynka, a zobaczywszy uczepioną długą srebrną nić na ciemnych włosach królowej, rzekła, wyciągając rączkę: — Podaruj mi tę nitkę, panienko.

Jadwiga uśmiechnęła się, a zdejmując ostrożnie nić pajęczą, spytała:

— Cóż ty z niej zrobisz, dziecino?

— Utkam sobie koszulkę, bo mi się już ta w szmatki rozleciała — odrzekło maleństwo, pokazując podartą koszulinę.

— A czemuż ci innej matka nie uszyje? — spytała królowa.

— Moja mama daleko, u Bozi! — rzekło dziecię z westchnieniem.

— U Bozi, daleko — powtórzyła królowa. I wielce się zasmuciła.

Potem wziąwszy dziecię za rękę, rzekła:

— To ja teraz będę twoją mamą. Utkamy z tych nitek koszulkę i sukienkę, będzie ci dobrze i ciepło — dodała.

Litościwa królowa zabrała z sobą do zamku sierotkę, wychowała ją na swoim dworze i miała z niej potem najmilszą dla siebie dworkę.

Z. Morawska.

134. Stańczyk.

Raz wyjechał był z Krakowa cały dwór królewski do Niepołomic, gdzie są wielkie bory i zwierza w nich huk. Tam tedy miano dla zabawy króla Zygmunta i królowej Bony polować na wielkiego niedźwiedzia, przywiezionego

z Litwy. Wypuszczonego z klatki poszczwano psami. Ale niedźwiedź psy poszarpał i rzucił się na chłopów, co byli z oszczepami, potem na panów dworskich, niejednego przewrócił i podrapał, a nawet skoczył tam, gdzie Bona stała. Gdy to królowa spostrzegła, dalejże uciekać, ale koń pod nią padł i królowa ciężko się stłukła. Rozżarte niedźwiedzisko rzuciło się także i na błazna królewskiego, Stańczyka, ale go chłopi uratowali.

Ten tedy Stańczyk po polowaniu, kiedy król śmiał się z niego, że uciekł przed niedźwiedziem, nie jak rycerz, ale jak błazen, odpowiedział:

— Czyż to nie większe błazeństwo, mając niedźwiedzia w klatce, puszczać go na swoją szkodę?

Wiele jest o nim dowcipnych powiastek.

Raz, naprzykład, szedł sobie Stańczyk po Krakowie, ubrany po błazeńsku w różne pstre płatki, co widząc, chłopcy uliczni zaczęli go gonić, aż suknie z niego zdarli. Skarżył się Stańczyk przed królem, a kiedy król począł go żałować, odpowiedział:

— Nie żałuj mnie, królu, ciebie bardziej obdzierają, niż mnie; wszak niedawno Moskal wydarł ci kawał kraju, a przecież nie skarżysz się na to wcale.

Kto inny nie byłby śmiał tak powiedzieć królowi, chociaż to była prawda.

Raz znowu była między panami o tem mowa, jakiego też zawodu najwięcej jest ludzi? Gdy różni różnie utrzymywali, przytomny tej rozmowie Stańczyk rzekł, że doktorów. A gdy temu nikt wierzyć nie chciał, wyszedł Stańczyk nazajutrz na rynek krakowski, podwiązawszy sobie chustką zęby . . . .

. . . .

L. Siemieński.

135. Ilustracja bez tekstu.



136. A za tego króla Jana...

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— Ratuj, królu! Giną Niemce!
Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom — księżyc w nowiu.
Naszym dziatkom — chrzest z ołowiu!
Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary.
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy!

My siłami niemieckiemi
Nie obronim naszej ziemi.
Zginiem — knechty [1]) i rycerze...
Ratuj, królu bohaterze!—
Król się porwał rozgniewany:
— Wara! — krzyknął — bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci.
Miecz mi dajcie!... Hej, trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!
Niech husarja skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w ręku,
Luzak [2]) z koniem, koń w obłęku! [3])
Za trzy doby hufce ruszą;
I nie spocznę, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada! —
Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy:
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!
Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!

. . . .

Za trzy zorze i trzy noce
Polska wiara Turka grzmoce,

---

[1]) Knecht—szeregowiec w wojsku pieszem. [2]) Luzak — sługa, mający pod swym dozorem luźnego, t. j. zapasowego konia. [3]) Drewniana część uprzęży w kształcie łuku nad szyją końską.

Aż się szczerbi kosa śmierci
Na buńczukach z końskiej sierci...
Grzmią harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą, jak to Polska bije.
Biały koń się prze [1]) pod Janem,
Po tem polu, krwią zalanem,



Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta.
Łysa góra [2]) we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki
Nie do świtu, lecz na wieki.
Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie...

[1]) T. j. pędzi w pierwszym szeregu, rwie się. [2]) Kahlenberg — góra pod Wiedniem.

— Hej! na obóz! Naprzód, wiara!
Poszła koniom z nozdrzy para,
Jak wiatr, lecą, jak grom, walą,
Dziw, że świata nie obalą.
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.
. . . .
— Naprzód!...
Wzięli namiot wroga,
Co miecz puścił, bije trwoga...
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

M. Konopnicka.

137. Pod Kamieńcem.

Na Podolu pod Kamieńcem
Stanął Turek gęstym wieńcem,
Chce wytropić bród:
Lecz Kamieniec — złoty wieniec!
Hej, Kamieniec nie słoboda! [1])
A na murach lud!

Poprzed wojskiem jedzie basza [2]),
Błyszczy słońce od pałasza,
A on wzywa lud:
Choć Kamieniec złoty wieniec,
Choć dokoła płynie woda,
Nam Kamieniec, jak słoboda,
Bo w Kamieńcu głód!

Uchodź, baszo, nieboracze!
Bo nad twoją głową kracze
Lichej [3]) wróżby ptak.

[1]) T. j. wieś. [2]) Wielkorządca turecki. [3]) T. j. złej.

Nasz głód mniejsza; lecz straszniejsza
Dla cię, baszo, wschodzi zorza!
Leci kawek rój od morza,
Jako czarny szlak...

Lecą kawki, gwar się wszczyna,
A od strony Husiatyna [1])
Ciągnie polski król.
Króla-pana sroczka z rana
Szczebiotaniem siostry wita,
A w Kamieńcu ludzi pyta
Sęp podolskich pól:

— Jak wy baszę zabijecie,
Gdzie wy grób mu pościelecie?
I kto weźmie rzęd? [2])
Kto zje konie? strawi bronie?
Kto zabierze te namioty,
Kto zabierze buńczuk złoty,
I wszystek ten sprzęt?

— Jak my baszę zabijemy,
To mogiłę mu wzniesiemy,
Hej, nad Zbruczem tam!
W cerkwi damy złote bramy,
Ty z twą bracią pojesz konie,
Rdza pogańskie strawi bronie,
Rzęd weźmie król sam.

W. Pol.

138. Zagłoba i małpy.

Pan Zagłoba udał się aż na koniec sadu w miejsce, gdzie mury tworzyły potężny „anguł“ [3]) i gdzie nie dochodziło słońce, chciał bowiem rycerz odetchnąć nieco i z potu

---

[1]) Miasto nad Zbruczem. [2]) Ubiór koński z siodłem. [3]) Narożnik.

uznojone czoło obetrzeć. Nagle spojrzał i spostrzegł dziwaczne jakieś monstra[1]), które na niego z za kraty żelaznej złowrogo patrzyły.

Klatka była wszczepiona w kąt murów, tak że kule, padające od zewnątrz, nie mogły jej dosięgnąć. Drzwi do niej szeroko były otwarte, lecz owe wychudłe i szkaradne istoty nie myślały z tego korzystać; owszem, przerażone widocznie zgiełkiem, świstem kul i srogą rzezią, na którą przed chwilą patrzyły, zacisnęły się w kąt klatki, poukrywane w słomę, jeno mruczeniem oznajmiały swój przestrach.

— Simiae[2]), czy djabły — rzekł do siebie pan Zagłoba.

Nagle gniew go uchwycił, męstwo wezbrało mu w piersi i, podniósłszy szablę, wpadł do klatki.

Popłoch ogromny odpowiedział pierwszemu ciosowi jego miecza. Małpy, z któremi żołnierze szwedzcy dobrze się obchodzili i które ze swych szczupłych racyj karmili, bo ich bawiły, wpadły w tak okropne przerażenie, że je szał ogarnął poprostu, a ponieważ pan Zagłoba zastąpił im ode drzwi, poczęły w susach nadprzyrodzonych rzucać się po klatce, czepiać się ścian, pułapu, wrzeszczeć, zgrzytać, nakoniec, jedna skoczyła w obłędzie panu Zagłobie na kark i, chwyciwszy go za głowę, przywarła doń z całej siły.

Druga przyczepiła mu się do prawego ramienia, trzecia od przodu chwyciła za szyję, czwarta uwiesiła się u zawiązanych ztyłu wylotów, on zaś, przyduszon, spocony, próżno się miotał, próżno wtył zadawał ślepe razy, samemu wkrótce zabrakło oddechu, oczy mu nawierzch wyszły i rozpaczliwym głosem krzyczeć począł:

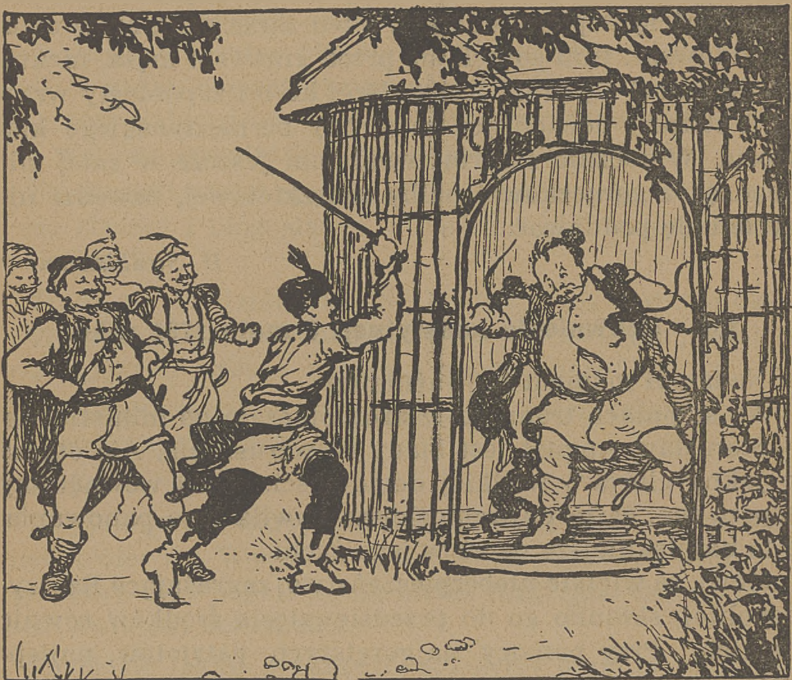
— Mości panowie! ratujcie!

Wrzaski zwabiły kilkunastu towarzyszy, którzy, nie mogąc rozeznać, co się dzieje, biegli w pomoc z dymiącemi od krwi szablami, lecz nagle stanęli zdumieni, spojrzeli po sobie i, jakby pod wpływem czarów, ryknęli jednym ogrom-

---

[1]) Potwory. [2]) Małpy.

nym śmiechem. Nadbiegło więcej żołnierzy, tłum cały, lecz śmiech, jak zaraza, udzielił się wszystkim. Więc taczali się, jak pijani, brali się w boki, zamazane posoką ludzką twarze krzywiły się im spazmatycznie i im bardziej rzucał się pan Zagłoba, tem oni śmieli się więcej.



Dopiero Roch Kowalski nadbiegł z góry i, roztrąciwszy tłumy, uwolnił wuja z małpich uścisków.

— Szelmy! — krzyknął pan Zagłoba—bodaj was zabito! To śmiejecie się, widząc katolika w opresji [1]) od monstrów afrykańskich? Bodaj was zabito! Żeby nie ja, tobyście dotychczas trykali łbami o bramę, boście czego lepszego nie warci! Bodaj was zabito, żeście i onych małp niegodni.

[1]) Opresja — napaść.

— Bodaj ciebie zabito! małpi królu! — zakrzyknął najbliżej stojący towarzysz.

— Simiarum destructor! [1]) — zawołał drugi.

— Victor! [2]) — dodał trzeci.

— Gdzie tam victor, chyba victus! [3]).

Tu Roch przyszedł znowu z pomocą wujowi i najbliższego pięścią w piersi uderzył, a ten zaraz padł, krew ustami oddawszy. Inni cofnęli się przed gniewem męża, niektórzy do szabel się brali, lecz dalszej kłótni zapobiegły wrzaski i strzały, dochodzące ze strony bernardyńskiego klasztoru. Widocznie szturm trwał tam jeszcze w całej sile i, sądząc z gorączkowej palby muszkietowej, Szwedzi nie myśleli się poddawać.

H. Sienkiewicz.

139. Uchwalenie konstytucji 3 maja 1791 roku.

Nadszedł moment najważniejszy.

Na stopniach tronu staje król, otaczają go ministrowie.

Stanisław August jest blady ze wzruszenia. Ale otacza go jakby glorja [4]) wielkiej dostojności. Głos wewnętrzny szepcze mu, że to najwznioślejsza chwila jego panowania, że to najpiękniejszy dzień w jego życiu....

Mówi, że wielkie niebezpieczeństwo, zagrażające Rzeczypospolitej, skłoniło go do przedsięwzięcia środków równie wielkich. Przy pomocy najgorętszych patrjotów, najlepszych synów ojczyzny, opracował projekt, przetwarzający gruntownie cały ustrój państwowy. Wszystkie prawa będą udoskonalone, byt kraju na mocniejszych oprze się podstawach, zostanie nawet zmieniona forma rządu...

Przy końcu przemowy czuć było łzy w jego głosie...

Okrzykami przyjęto słowa królewskie.

— Ustawa!... Ustawa!... Prosimy o ustawę!... — rozlegają się zewsząd wołania.

---

[1]) Pogromca małp. [2]) Zwycięzca. [3]) Zwyciężony. [4]) Obręcz świetlana.

Występuje sekretarz sejmu i z wielkiej pergaminowej karty wolno a dobitnie, paragraf po paragrafie, czyta tę wiekopomną ustawę, która przejść miała do historji pod nazwą: „Konstytucji trzeciego maja".

Z zatrzymanym oddechem słucha jej cała Izba sejmowa [1]). A snopy światła słonecznego wdzierają się przez wysokie okna, otaczając blaskiem srebrną głowę i kameowy profil [2]) króla, rozżarzając gorące barwy kontuszów i fraków, rozpalając miljony świateł tęczowych wśród klejnotów, w które przystroili się magnaci i ich małżonki.

Za oknami widać niepokalany [3]) błękit nieba, które zdaje się cieszyć i błogosławić wielkiemu aktowi pojednania i odrodzenia.

Tłum na dziedzińcu ucichł, łowiąc przez otwarte okna słowa czytającego. Słychać tylko wesoły świegot jaskółek, zwiastujących wiosnę natury i wiosnę narodu...

Gdy skończono czytanie, Izba, jak jeden człowiek, głosem ogromnym krzyknęła:

— Zgoda!!!

Do jednego z otwartych okien podszedł książę Józef, bratanek królewski. Wytworny jak zawsze, pogodny i uśmiechnięty, chce niby popatrzeć na niebo, rozgrzane czoło powietrzem świeżem ochłodzić.

Oparł się lekko o parapet, sokolemi oczyma wpatruje się w tłum.

Tymczasem marszałek [4]) Małachowski, czyniąc się tłumaczem uczuć powszechnych, przemówił do króla, wzywając go, aby nie odłączał się od narodu.

A na to Stanisław August odpowiedział z mocą wielką i powagą:

---

[1]) Zgromadzenie naradzające się nad ważnemi sprawami. [2]) Kontur twarzy, widziany z boku, wyrzeźbiony na drogim kamieniu. [3]) Czysty, niczem nie zbrudzony. [4]) Przewodniczący na sejmie.

— Do końca dni swoich jedno tylko pragnę mieć w sercu i na ustach: Król z narodem! Naród z królem!

W tej chwili stojący przy oknie książę Józef daje znak umówiony i z kilku tysięcy piersi wyrywa się okrzyk potężny:

— Wiwat konstytucja!... Naród z królem! Król z narodem!

Okrzyk powtarza cała Izba. Przedostaje się on następnie od tłumu, zebranego pod zamkiem, do ludu, cisnącego się w ulicach przyległych...

Pięćdziesiąt tysięcy głosów zlewa się w chór, całem miastem wstrząsający:

— Naród z królem! Król z narodem!... Wiwat konstytucja!...

Jednocześnie zaczynają bić w dzwony u św. Jana; sześćdziesiąt armat na tarasach grzmi salwą piorunową; wyciągnięte szeregi piechoty sypią ogniem plutonowym...

Niema już ani jednego człowieka w mieście, któryby nie rozumiał, że to, co dzieje się w zamku, dzieje się gwoli szczęściu i zbawieniu Polski!

W. Gomulicki.

140. Pierścień Kościuszkowski.

Zabłysły po szturmie
Słoneczne promienie,
Kazał bić Kościuszko
Złotnikom pierścienie.

W pierścieniu napisy
Dał złotemi rysy:
Ojczyzna — obrońcy
Za swe wybawienie.

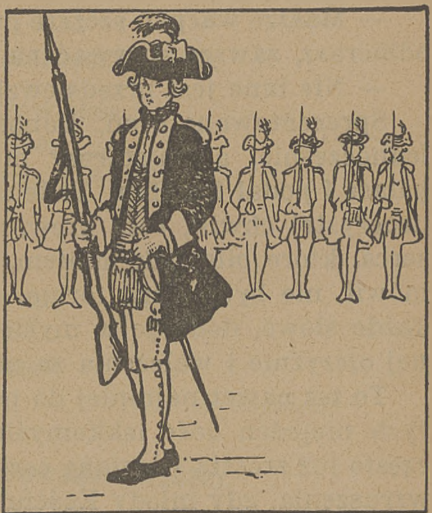
Pierwszy pierścień włożył
Pan Henryk Dąbrowski,
Już go on nie zdejmie,
Tu, ni w ziemi włoskiej!

Błyszczący, jak zorza,
Przez góry, przez morza,
Przyniesie go kiedyś
Z Legjami do Polski!

M. Konopnicka.

141. Kościuszko w szkole kadetów.

Po paru miesiącach odbyła się uroczystość, w której Kościuszko, jako nowoprzyjęty kadet, w obecności całego korpusu miał wypowiedzieć obowiązujące przyrzeczenie. Właśnie przypadała niedziela, wyznaczana zwykle na uroczyste obłóczyny munduru, aby w dzień powszedni nie odrywać kadetów do zajęć. Tadeusz wysłuchał na klęczkach mszy świętej w kaplicy — następnie ksiądz w poważnych a serdecznych słowach wykładał mu świętość obowiązków względem ojczyzny. Kadeci byli wszyscy w paradnych granatowych mundurach, w ręku trzymali kaszkiety ze strusiemi piórami i cyfrą królewską. Rozpoczęła się ceremonja na dziedzińcu przed szkołą.



— Czy wiesz waćpan, jakiego zgromadzenia będziesz miał honor być członkiem? — zapytał go brygadjer.

— Zgromadzenia, utrzymywanego kosztem ojczyzny, żeby do jej usług wychowywać obywateli—odrzekł Tadeusz głosem pewnym i stanowczym, wyuczywszy się przedtem wymaganych odpowiedzi.

— Przez co będziesz się waćpan starał być godnym zaszczytu zostania wychowańcem ojczyzny?

— Przez aplikację [1]) w nabywaniu wszelkich wiadomości, którebym mógł na jej usługi poświęcić.

— Waćpan bierzesz uroczyste obowiązki w przytomności zgromadzonych kolegów: być cnotliwym i odważnym, a gdybyś o tem zapomniał, wstydem się okryjesz i niegodnym będziesz mieścić się w ich liczbie. Czego waćpan żądasz?

— Byłem tak szczęśliwy — recytował z głębokiem wzruszeniem Tadeusz—że osądzono mię godnym noszenia munduru korpusowego, i stawam teraz z prośbą, abym mógł być uzbrojony.

— Maszże waćpan szczere przedsięwzięcie tę broń, którą odbierasz, zawsze zażywać na obronę ojczyzny i honoru?

— Nie inne jest przedsięwzięcie moje.

Sprezentowano broń. Donośny odgłos bębna rozległ się jednocześnie, a najstarszy oficer przypasał Tadeuszowi pałasz i podał karabin. Tadeusz zbladł pod wrażeniem tej uroczystej chwili, cała krew, zdawało się, zbiegła mu do serca, które biło, jak młotem. Dla niego to wszystko, co mówił, nie było czczą formą, on z głębi duszy powtarzał każde słowo, dodając w myśli przysięgę służenia ukochanej ojczyźnie i walczenia za nią na śmierć i życie.

To też nawet najmniej do powagi skłonni kadeci, z których niejeden dość lekkomyślnie zapatrywał się na cały, często już zresztą widziany ceremonjał, uczuli jakiś dreszcz wzruszenia, gdy młody Kościuszko wymawiał dźwięcznym swym głosem te słowa:

— Przyrzekam braciom moim, zbrojnie zgromadzonym, że postępkami mojemi ich nie zawstydzę, ani też nowicjuszom, czekającym na ten zaszczyt, który odbieram, nie dam zgorszenia przez opuszczanie się w nauce lub zaniedbywanie powinności moich.

[1]) Staranność, gorliwość.

Wziął broń na ramię, poczem brygadjer zapytał go:

— Obiecujesz waćpan, że dane tu przyrzeczenia w pamięci będą u niego?

— Przyrzekam na honor! — zawołał Tadeusz, wznosząc głowę ku niebu, a w oczach jego ognistych zapłonęły iskry, takiej głębokiej wiary w moc danego przyrzeczenia, że wszyscy oficerowie spojrzeli na młodzieńca ze szczerem zadowoleniem.

Wieczorem zapowiedziana była „uciecha“ [1]) w korpusie. Na myśl o niej radowali się już kadeci, zawsze do zabawy skorzy i wielce jej spragnieni, gdyż przy ostrym regulaminie każda rozrywka była dla nich nadzwyczaj pożądana.

Jerzy Orwicz.

142. Uniwersał Połaniecki (1794).

Jeszcze echo racławickie
W polu się kołysze,
A w Połańcu [2]) pan Kościuszko
Uniwersał [3]) pisze.

Pisze, podpisuje:
— Za krew i za rany
Ziemię ci daruję,
Ludu mój kochany!

M. Konopnicka.

143. Olszynka Grochowska [4]) (1831).

Generał Chłopicki, zawsze ubrany w swój długi, piaskowego koloru surdut, w kapelusz jasny, wysoki, zawsze bez broni, tylko ze szpicrutą w ręce, jechał już nie na białym, bo go pod nim ubito, ale na rosłym, kasztanowatym koniu, otoczony mnóstwem oficerów, a za nim krokiem

---

[1]) Zabawa. [2]) Miasto niedaleko Sandomierza. [3]) List królewski okólny. [4]) Lasek olszowy pod Warszawą.

gimnastycznym, w ściśniętej, groźnej kolumnie, posuwał się z najeżonemi bagnetami pułk grenadjerów gwardji polskiej. Po bokach bohaterskiej postaci wodza biegło po sześciu doboszów i biło werbel [1]) do ataku. Na wielkich kiwerach [2]) grenadjerów kładło swe złociste blaski słońce, które właśnie w tej chwili przedarło się przez chmury i dym, i swe nikłe, blade promienie zimowe rzucało obojętnie na to pobojowisko, przepojone krwią ludzką, zapalało nagle ognie [3]) na ostrzach bagnetów, na szarfach, szlifach i szablach oficerów sztabowych. Grenadjerzy, lud dobrany, rosły, postacie groźne i marsowe, szli krokiem szturmowym [4]), nie zważając na tysiące wszelkiego rodzaju pocisków, które ich obsypywały, które ryły krwawe brózdy, obalały całe szeregi. Oni na to nie zważali, tylko biegli naprzód, a gdy wkraczali w zawaloną trupami Olszynkę, z tysiąca piersi zagrzmiała stara pieśń o nie ginącej Polsce, zapanowała nad hukiem kilkuset dział, nad grzechotem nieustannego ognia karabinowego, nad jękiem rannych, nad wrzawą bojową:

„Choć Moskale nas zniszczyły
I broń nam zabrały,
Sparty murem [5]) piersi były,
I te nam zostały".

Władek patrzał i patrzał, a pierś dumą mu rosła, wzbierała, ogarnął go zapał na widok tego wodza, tej wspaniałej, heroicznej postaci i tych szeregów, które szły na bój, jak na weselisko, które, jak rzymscy gladjatorowie [6]) na złotym piasku areny [7]), konali nie z okrzykiem, witającym imperatora rzymskiego, ale ze słowami miłości dla świętej, wielkiej ojczyzny polskiej. Wkroczyli do Olszynki, klin

---

[1]) Bęben wojskowy. [2]) Blaszki na czapkach. [3]) Odbijało się. [4]) Szybkim, gwałtownym. [5]) Mężne, wytrzymałe, jak piersi Spartan. [6]) Szermierze, ludzie występujący do walki w cyrku w dawnym Rzymie. [7]) Miejsce w cyrku, gdzie się odbywały walki (zapasy) ludzkie, sztuki konne i t. p.

żelazny, wryli się w rojowisko wrażego żołdactwa, zdeptali wszystko, co napotkali na drodze, krwią i trupami nieprzyjacielskiemi zasłali swą drogę, przekroczyli rów, pędząc przed sobą uciekających. Wkrótce znaleźli się na drugim skraju Olszyny, wprost wzgórzy piaskowych pod lasem wawerskim, gdzie błyszczało pod słońce kilkadziesiąt armat, gdzie pękaty, gruby, o obwisłem cielsku i krótkich nóżkach Dybicz Zabałkański, feldmarszałek rosyjski, napróżno ze szpadą w ręce usiłował zawrócić uciekających przed szeregami grenadjerów żołnierzy swoich.

W tej chwili generał Prądzyński pieszo, z nagim pałaszem w ręce wypadł przed grenadjerów i wołał donośnie, wskazując na armaty nieprzyjacielskie:

— Żołnierze! te działa są wasze!

Władek, który biegł obok grenadjerów, usłyszawszy ten okrzyk, widząc ruch generała, niewiele myśląc, rozgrzany nieopisanym zapałem, spiął konia i, dobywszy swego wielkiego miecza kirasjerskiego, rzucił się naprzód wprost na owe armaty, zionące straszliwym ogniem. Kule świszczały mu koło uszów, wiatr chłodził mu rozpalone czoło, on nic nie czuł, o niczem nie myślał, tylko biegł, wbiwszy obie ostrogi w boki konia, palony jedynie żądzą zdobycia owych armat. Nakoniec dopadł do nich, jednem cięciem powalił na ziemię kanoniera, który się nań wyciorem [1]) zamierzył, drugiego pchnął śmiertelnym sztychem w piersi i na trzeciego już chciał uderzyć, gdy nagle koń pod nim spiął się dęba i runął nawznak, przygniatając sobą jeźdźca. Ale już przy nim byli grenadjerzy, kłując dokoła bagnetami, a inni poczęli go dobywać z pod konia. Znalazł się przy nim i generał Prądzyński i, podniesionego z ziemi, klepał po ramieniu, mówiąc:

— Chłopcze, jesteś bohaterem!

W. Przyborowski.

---

[1]) Szczotka do czyszczenia armaty.

144. Pieśń żołnierza (1832).

Ja w tej izbie spać nie mogę;
Inną izbę daj, sąsiedzie!
Bo stąd okna są na drogę,
Tędy często poczta jedzie.

A gdy w nocy trąbka dzwoni,
Tak mi mocno serce skacze;
Myślę, że trąbią do koni,
I potem aż do dnia płaczę.

Oczy zamknę: to się marzy
Nasze konie, chorągiewki,
Ognie nocne, krzyki straży
I wiarusów naszych śpiewki.

Ocykam się: i w ocknieniu
Słyszę głos mego kaprala;
On mnie klaszcze po ramieniu,
„Wstawaj! jedźwa na Moskala!“

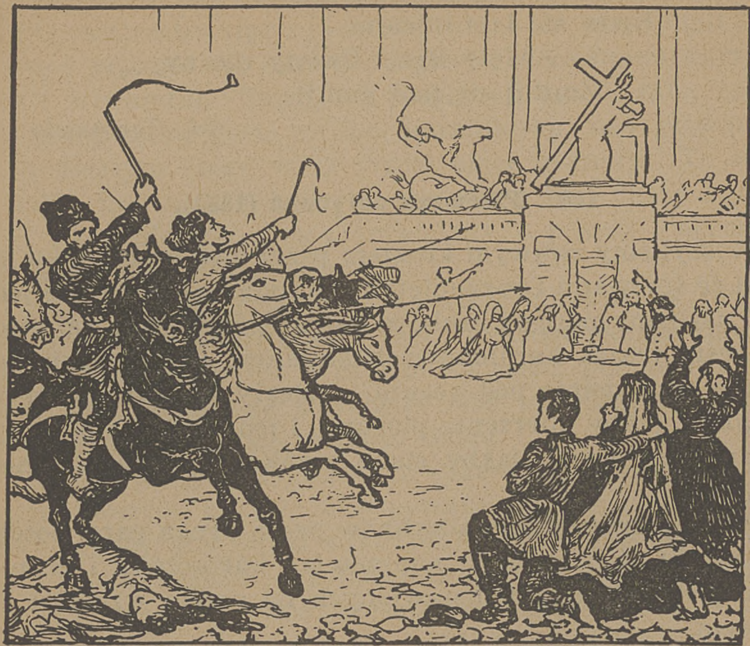
Wstaję: aż ja w pruskiej ziemi!...
Jak tam, lepiej leżeć w błocie,
W chłodzie, głodzie i na słocie,
Ale w Polsce, między swemi.

Jużbym tej nocy nie zasnął,
A czekałbym na kaprala,
Gdyby znowu w ramię klasnął:
„Wstawaj! pójdźwa na Moskala!...“

A. Mickiewicz.

145. Święty Boże! Święty mocny (1861).

A w Warszawie Moskwa hula,
Świszczą knuty z nahajkami...
— Święty Boże! Święty mocny,
Zmiłuj się nad nami!



I odziera z niewiast szaty,
Czarne szaty z welonami...
— Święty Boże! Święty mocny,
Zmiłuj się nad nami!

Po ulicach lud poklęknął,
Tratowany kopytami...
— Święty Boże! Święty mocny,
Zmiłuj się nad nami!

Do kościołów Moskwa wpada,
Krzyże rąbie tam szaszkami!... [1])
— Święty Boże! Święty mocny,
Zmiłuj się nad nami!

---

[1]) Szablami.

Do bezbronnych ognia daje —
Krew się leje ulicami...
— Święty Boże! Święty mocny,
Zmiłuj się nad nami!

M. Konopnicka.

146. Pierwsza potyczka (1863).

Ruszyliśmy żwawym krokiem przez ową groblę [1]) ku lasowi ze śpiewami i rozwiniętym sztandarem; zaledwie jednak uszliśmy paręset kroków, usłyszeliśmy z prawej strony gęsty trzask karabinowych strzałów. Jednocześnie zadrżała nam ziemia pod nogami, rozległy się dwa, jeden po drugiem, jakby uderzenia piorunu, i jednocześnie potężny, rozkazujący świst, jakby stado szpaków, przeleciało nad głowami.

Za tą pierwszą parą piorunów padła druga para, potem trzecia i t. d. Strzelano naprzemian kartaczami i granatami z dwóch armat, ustawionych na owym wzgórku za stawem.

Ale cały ten huragan ognia i żelaza przelatywał nieszkodliwie nad głowami, kilka tylko granatów pękło w błocie, wpobliżu grobli i obryzgało nas fatalnie mokrą ziemią.

Wogóle wytrzymaliśmy ów pierwszy chrzest ogniowy świetnie; coprawda nie było to trudno, gdyż nawet rany nikt nie otrzymał, oprócz kilku ludzi, których kawałki darni i błota, wyrwane przez pękające granaty, powaliły na ziemię. Ale i ci, podtrzymywani pod ręce, szli dalej.

Tak tedy przeszliśmy owa groblę i rozsypaliśmy się w tyraljerkę [2]) na skraju lasu; kosynierów i nas posunięto dalej w głąb lasu.

Niedługo potem nadciągnęła piechota nieprzyjacielska i, rozwinąwszy się długim szeregiem przed miastem, za-

---

[1]) Nasyp z drzewa, kamienia, chróstu w celu poprawienia drogi lub zatrzymania wody. [2]) W szeregi rozsiane.

częła sypać do nas ogniem karabinowym. Wtedy też Galicjanie, odstrzeliwując z pomiędzy krzaków, przysunęli się do nas i złączyli się nareszcie, powitani głośnemi okrzykami i wiwatami. Zaraz też rozpoczęli ogień, zahuczały tedy przed nami gęste strzały karabinowe, nad głowami zaś w dalszym ciągu wyły przelatujące granaty. Te zaś nie tylko nad linją strzelców, ale nawet nad naszą kompanją i kosynierami górą przechodziły, a pękały z ogromnym hukiem daleko poza nami.

Po drodze tylko, rwąc gałęzie i wierzchołki drzew, obsypywały nas deszczem igieł i liści. Czasem padała zabłąkana kula karabinowa z ostrym świstem, podobnym do brzęku osy, jeżeli szła sztychem, albo warczeniem, jeżeli szła bokiem, kręcąc się naokoło siebie.

Staliśmy tedy, raczej leżeli za drzewami, przysłuchując się onej bojowej muzyce, obsypywani ciągle sypiącemi się z góry igłami, gdy wtem wiatr przyniósł do nas wyraźnie odgłos trąbki i bębna, przytem dalekie echo urraaa!... Nieprzyjaciel ruszył do ataku częścią przez groblę, częścią zaś przez owe mokre łąki, poniżej grobli leżące i oddzielające nas od miasta.

Nam kazano opatrzyć broń, podsypać brandki [1]), nałożyć pistony, podciągnąć paski i być w pogotowiu.

Uczyniliśmy to wszystko z radością, doświadczając zupełnie tego samego wrażenia, jakiego się doświadcza na polowaniu, stając na stanowisko w tej chwili, gdy po długiem oczekiwaniu rozlegnie się w kniei ostry odgłos sygnałowej trąbki, a potem: ho-ho-ho, tu-tu-tu, tioch-tioch-tioch naganki, z tą różnicą, że w daleko wyższym stopniu.

Rozległ się tedy suchy trzask odwodzonych kurków, a ja przyznaję się, że przedewszystkiem ucieszyłem się myślą, że będę się mógł w sposób użyteczny pozbyć choć części swoich ładunków, których ciężar coraz bardziej dawał mi się we znaki.

---

[1]) Małe rureczki przy zamku u strzelby.

Następnie kazano nam się znowu położyć za drzewami i czekać dalszych rozkazów. Tymczasem armaty przycichły, a zato wzmógł się grzechot karabinowych strzałów, po chwili zaś z naszej strony zahuczały basem dubeltówki tak gęsto, jak gdy kto kilka mokrych polan osikowych dołoży do dobrze rozpalonego ognia.

Taka jednak gorąca strzelanina trwała niedługo. Nieprzyjaciel bowiem, przypuszczony zbliska i przyjęty gęstym ogniem z kilkuset dubeltówek, jakiego pewnie się nie spodziewał, cofnął się szybko do miasta, krzycząc mocno: urraa! Obsypywany rzadkim ogniem Galicjan, zostawiał po drodze szare plamy, z których jedne leżały bez ruchu, inne ruszały się pomału. Byli to zabici i ranni, dość gęsto posiani po owej łące.

St. Brykczyński.

147. Osobliwy fasunek [1]) 1915.

— Oh, kapitanie. Kapral Szczapa: melduję posłusznie, że znalazłem w kawie tę chustkę!

— Kłamiesz, Szczapa!

— Przecież, obywatelu kapitanie, nie jestem za przeproszeniem sierżantem prowjantowym, żebym mu kłamał.

— Kłamiesz, Szczapa, bo to, co w ręce trzymacie, jest szalik.

— Szalik! Bogu przysięgam, obywatelu kapitanie, że szalik! — zawołał uradowany Szczapa.

— A widzicie!

Kapitan zasalutował, a Szczapa, widząc, że nic z pognębienia kucharzy nie będzie, głosi urzędowo:

— Obywatelu kapitanie, kapral Szczapa ma posłuszną prośbę od całego plutonu.

— Gadajcie, byle prędko.

---

[1]) Fasunek—żywność, ubranie i t. d., które żołnierz otrzymuje od swojej władzy.

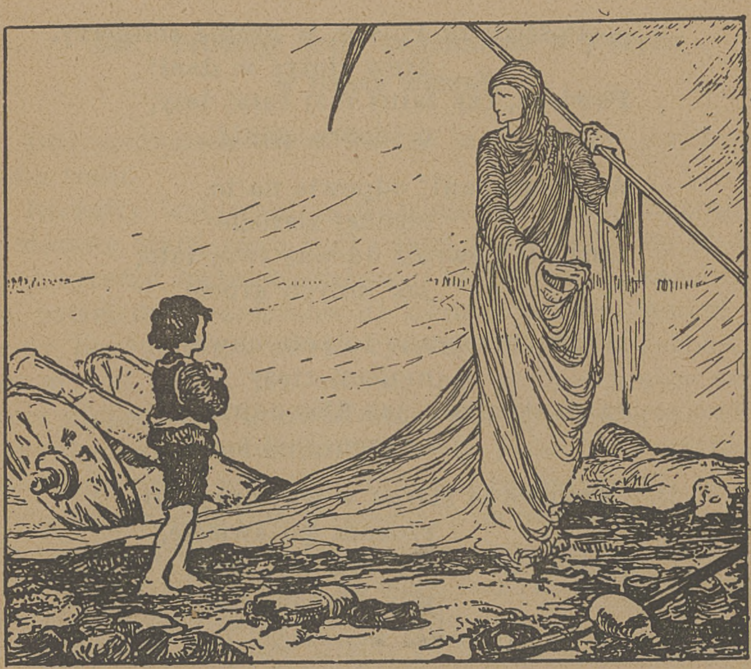
— Obywatelu kapitanie, proszę posłusznie, żebyśmy fasowali [1]) kawę osobno i szalik osobno.

Kapitan w śmiech.

— Niech was, Szczapa, djabli, to się zrobi.

Z „Gawęd kaprala Szczapy I brygady Piłsudskiego“.

148. Pacholę na polu bitwy (1916).



Na łany śmierci, po krwawej bitwie,
wyszło pacholę:
Złożywszy dłonie w cichej modlitwie,
idzie przez pole.

---

1) Fasować — otrzymywać, dostawać z urzędu (o żołnierzach).

Wśród martwej ciszy wyje wichura
nad krwawą rosą —
W płaszcz z mgieł spowita, zimna, ponura,
stoi śmierć z kosą.

Patrzy pacholę i, zdjęte trwogą,
stoi, jak trusia...
Śmierć pyta: „Dokąd idziesz tą drogą?“
— Szukam tatusia.

— Poszedł za Polskę, w gronie żołnierzy,
krew złożyć w dani!
Powiedz, czy tatuś mój tutaj leży,
o, dobra pani?...

A „dobra pani“ odpowie na to
biednej sierocie:
„Już nie powróci do was twój tato,
jak innych krocie...

„Patrz, przeorane to pole chwały
mojemi ciosy.
Ja go skosiłam, jak kłos dojrzały,
ostrzem mej kosy.

„Krwawe ja ziarna w wojennej fali
rzucam po świecie,
Byście szczęśliwi żyli wy, mali,
gdy dorośniecie!“

Ze „Śpiewnika wojennego“ Jana Migi (1916).

149. Dobry Polak.

Na jakich ojczyzna wasza największe pokładała nadzieje i dotąd pokłada?

Nie na ludziach, którzy najpiękniej ubierali się i tańczyli i najlepszą mieli kuchnię; bo największa część tych ludzi nie miała w sobie miłości Ojczyzny.

Ani na ludziach, którzy dawniej wojny robili, i wyuczyli się najlepiej maszerować i rozprawiać o wojnie i książki wojenne pisać, bo większa część tych ludzi nie miała wiary w sprawę ojczystą.

Ale na ludziach, których nazywaliście dobrymi Polakami, pełnych uczucia, tudzież na poczciwych żołnierzach, tudzież na młodzieży.

A. Mickiewicz.

150. Procesja wołu zapustnego w Paryżu w tłusty wtorek.

Dziś spotkałem widok bardzo interesujący, jest to procesja wołu.

Rzeźnicy wybierają najtłuściejszego wołu, ubierają go w złociste szaty, złocą rogi i sami przebierają się za dawnych rycerzy średnich wieków; i tak naprzód konno muzyka, potem tłum rzeźników na koniach w zbroi, potem dwa rzędy bogato przybranych rycerzy, majstrów cechowych, potem wół, który, jak mówią, trzy tysiące funtów waży, rzecz niepodobna do uwierzenia, choć prawdziwie wół ten zdawał mi się olbrzymim; po wole jedzie wóz przybrany, powożony przez woźnicę, ubranego za Saturna [1]); na tym wozie na przodzie trzech rycerzy, a na ostatniej ławce dziecię między dwiema ładnie przybranemi rzeźniczkami. To dziecię dawniej siedziało na wole, lecz raz się jedno dziecię zabiło, i od tego czasu na wozie je sadzają.

Wół oddaje naprzód wizytę królowi, a potem wszystkim ministrom. Wszędzie rzeźnicy dostają podarunki, nazajutrz zaś, to jest w popielec, zabijają tego wołu i wszędzie, gdzie był z wizytą, sztuki z niego rozsyłają.

J. Słowacki.

---

[1]) Rzymski bóg czasu, przedstawiają go jako starca z kosą w ręce.

151. Każdy powinien pracować.

— Każdy powinien pracować — mówił tatuś.

— Każdy?

— Tak, każdy!

— To i ja znaczy?

— I ty.

— A ja przecież chyba nie pracuję?

— Boś jeszcze mały, teraz na ciebie pracują inni.

— A kto?

— A ot, widzisz te woły, co tam orzą, te konie, co bronują, tych chłopów, te baby, co tam chodzą po polu od świtu; oni pracują, abyś miał świeży chleb na śniadanie. Na ubranko, które masz na sobie, pracowało także dużo ludzi. Indus, Murzyn lub Chińczyk zbierali na nie bawełnę.

— Murzyn, taki czarny, i Chińczyk, taki z warkoczem?— powtórzył zdziwiony Ignaś.

— Tak, ten Chińczyk; on właśnie zbierał herbatę, którą pijesz codzień.

— A jeszcze kto?

— Tysiące ludzi, których ani ty, ani ja nie znamy. Nie myśl, że korzystasz tylko z pracy żywych, pracowali dla nas i umarli.

— Wiem — rzekł Ignaś — dziaduś...

— Nietylko. Tabliczkę mnożenia, którą posługujesz się przy rachunkach, ułożył bardzo dawno jeden Grek. Gdyby nie on, musiałbyś się nieraz długo przy obliczaniu namęczyć. Łuk, którym się bawisz, wymyślił jeszcze dawniej dziki człowiek, którego jesteś dłużnikiem.

Ignasiowi Grek niezbyt zaimponował, ale dziki człowiek roztkliwił go, więc rzekł:

— Jabym mu podziękował i oddał, ale cóż zrobię, kiedy jego już niema.

Pókiś mały, pamiętaj tylko o tem i dziękuj innym, a potem oddasz wszystkim.

G. Daniłowski.

152. Nauka religji.

Staś i Nel zabrali się do nawracania Kalego, Mei i Nasibu. Ale poszło to trudniej, niż się spodziewali. Czarna trójka słuchała jak najchętniej nauk, ale pojmowała je na swój właściwy murzynom sposób. Gdy Staś opowiadał im o stworzeniu świata, o raju i o wężu, szło jeszcze nieźle, ale, gdy doszedł do tego, jak Kain zabił Abla, Kali mimowoli pogłaskał się po żołądku i zapytał z całym spokojem:

— A czy go potem zjadł?

Czarny chłopak twierdził wprawdzie zawsze, że Wahima nigdy ludzi nie jedzą, ale widocznie pamięć o tem pozostała jeszcze, jako narodowa tradycja [1]) między nimi.

Nie mógł również zrozumieć, dlaczego Pan Bóg nie zabił złego Mzimu [2]), i wielu podobnych rzeczy.

Pojęcie o złem i dobrem miał aż nadto afrykańskie, wskutek czego między nauczycielem a uczniem zdarzyła się pewnego razu taka rozmowa:

— Powiedz mi — zapytał Staś — co to jest zły uczynek?

— Jeśli ktoś Kalemu zabrać krowy — odpowiedział po krótkim namyśle — to jest zły uczynek.

— Doskonale! — zawołał Staś — a dobry?

Tym razem odpowiedź przyszła bez namysłu:

— Dobry, to jak Kali zabrać komu krowy.

Jednakże powoli rozjaśniło się w czarnych głowach, a to, czego nie mogły pojąć głowy, chwytały gorące serca. Po pewnym czasie można już było przystąpić do chrztu, który odbył się bardzo uroczyście. Rodzice chrzestni ofiarowali każdemu z dzieci po cztery łokcie perkalu i po biczu niebieskich paciorków.

Mea czuła się wszelako nieco zawiedziona, albowiem w naiwności ducha zrozumiała, że po chrzcie wybieleje natychmiast na niej skóra i wielkie było jej zdziwienie, gdy

---

[1]) Wspomnienie, pamiątka. [2]) T. j. złego ducha, szatana.

spostrzegła, że pozostała czarna, jak i przedtem, Nel pocieszała ją jednak zupełnie zapewnieniem, że ma teraz duszę białą. *Henryk Sienkiewicz.*

153. Jałmużna.

Szedł sobie ubogi dziadek przez wieś po prośbie i wstąpił do Błażkowej. Ale Błażkowa tak była skąpa i chciwa, że kawałka suchego chleba nie dała dziądkowi, jeszcze go ofuknęła i z izby wypędziła. Dziadek, nic nie powiedziawszy, szedł sobie dalej od chaty do chaty i, wyszedłszy od Błażkowej, zaszedł najpierw do jej sąsiadki, Janowej. Janowa, gdy jeno ujrzała ubogiego dziadka, zaraz ostatnie dwa kawałki chleba, dopiero co dla dzieci masłem posmarowane, od gęby im oderwała i dziadka niemi obdarzyła, dodając:

— Niech was Pan Bóg czem lepszem opatrzy! ja biedna, nie mam nic więcej w chałupie.

— Bóg zapłać, miłosierna kobieto: oby cię Bóg w dziesięcioro obdarzył, obyś twoje nagie ogarnęła dzieci i sama była szczęśliwą, a gdy co zaczniesz dzisiaj robić, daj ci Bóg, abyś do zachodu słońca ledwie skończyła! — tak mówił, wychodząc, staruszek.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać za błogosławieństwo! — dziękowała za odchodzącym Janowa, ale wszystkiego, co dziadek mówił, dobrze nie uważała, ani nie rozumiała. Nie wiedziała też, że tym dziadkiem był święty Piotr apostoł, którego Pan Bóg zesłał na ziemię, aby zaglądał do chat wieśniaczych i zaniósł błogosławieństwo Pańskie tym, którzy są miłosiernego serca.

Było to już po południu, a dzieci jej nie jadły jeszcze obiadu; wtedy przyszło jej na myśl zanieść na sprzedaż do karczmarza z kilka łokci płótna, które utkała dla dzieci na koszule, i kupić chleba i soli. Wzięła się więc do mierzenia swego płótna. Dzieci się uspokoiły, a ona mierzy i mierzy; co wyciągnie na łokieć, płótno mierzy się bez końca. Mierzy i mierzy, i tak trwało to mierzenie aż do zachodu słońca.

Ze swoich dwudziestu łokci tysiąc łokci namierzyła! Uradowana, podziękowała naprzód Bogu, a sprzedawszy kilka łokci, posiliła dzieci i siebie. Na drugi dzień był jarmark w mieście. Janowa poszła ze swojem płótnem, a że było gęste i gładkie, sprzedała dobrze, nakupiła przeróżnych rzeczy i wróciła jeszcze ze sporym workiem pieniędzy do domu. Niezadługo kupiła sobie dwie krowy, kawałek pola i łączkę, przyjęła czeladkę i chwaliła Boga i pracowała.

To szczęście Janowej kłuło w oczy Błażkową, a choć z sobą teraz często jadły i piły, a nawet się pokumały, Błażkowa nie była Janowej szczerą.

Jednego razu przy kieliszku wódki dopytywała się Błażkowa Janowej, jakim też ona sposobem przyszła do swojej chudoby i czeladki.

Wysłuchawszy tego, Błażkowa rzekła:

— O, moja kochana kumo, żebyście wiedzieli, jaka też to u mnie czasem bieda; bo to i ja mam dzieci, a choć oboje z mężem pracujemy, to wszystko jeno się zje. O, moja kumo, jeśli ten dziadek kiedy do was zajdzie, powiedzcie mu też, niech i do mnie wstąpi.

Janowa, wszystkim życzliwa, obiecała to uczynić; wycałowały się obie, wyściskały i rozeszły.

W niespełna tydzień potem znów ten sam dziadek przez wieś przechodził i do Janowej wstąpił. Ona nie wiedziała, gdzie go posadzić; dziękowała mu, raczyła go i obdarzyła, a gdy wychodził, prosiła go, aby i jej kumy, Błażkowej, nie minął. Dziadek obiecał do niej wstąpić, gdy będzie wracał z drugiego końca wioski.

Gdy go Błażkowa zdaleka przez okno ujrzała, nasmarowała swoim dzieciom po kawałku chleba, a kiedy dziadek we drzwi wstąpił, ona czem prędzej poodrywała im chleb od gęby i dziadkowi go dała.

— Bóg zapłać — rzekł dziadek — abyś, zacząwszy co robić, do zachodu słońca ledwie skończyła.

. . . .

Karol Baliński.

154. Dziad i baba.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje,
Ona kaszląca, słaba,
On — skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Taką starą, jak oni,
Jedno miała okienko
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie, jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

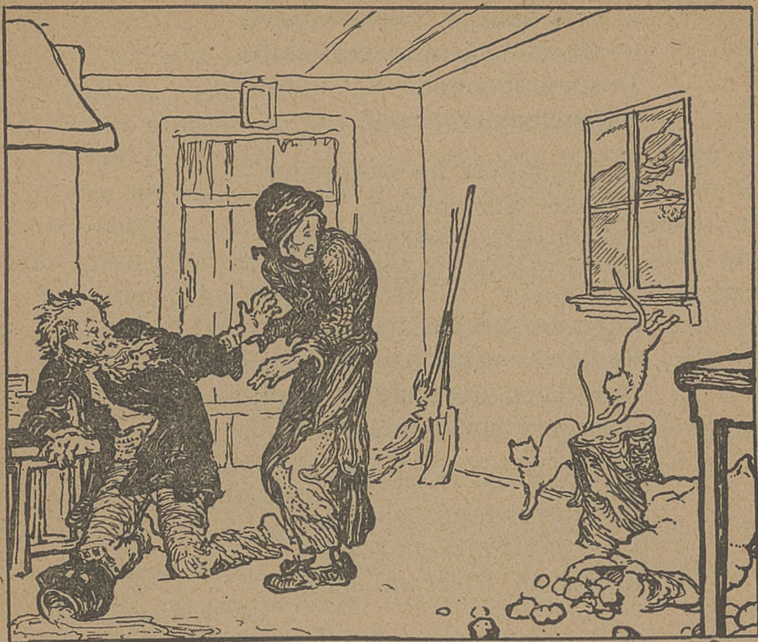
Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że ich kiedyś mogiła
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

Razem? to być nie może,
Ktoś choć chwilę wprzód skona.
— Byle nie ty, nieboże!
— Byle tylko nie ona!

— Wprzód umrę — woła baba —
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba;
Zapłaczesz na pogrzebie.

— Ja wprzódy, moja miła;
Ja kaszlę bezustanku,
I zimna mię mogiła
Przykryje lada ranku.



— Mnie wprzódy! — Mnie, kochanie!
— Mnie, mówię! Dośćże tego,
Dla ciebie płacz zostanie!
A mnie to nic, dlaczego?

I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę chcieli porzucić.

Aż do drzwi: puk! powoli!
— Kto tam?
— Otwórzcie, proszę,
Posłuszna waszej woli,
Śmierć jestem, zgon przynoszę!

— Idź, babo, drzwi otworzyć,
— Ot to! idź sam, jam słaba,
Ja się pójdę położyć...
Odpowiedziała baba.

— Fi! śmierć na słocie stoi
I czeka tam nieboga.
Idź, otwórz z łaski swojej!
— Ty otwórz, moja droga.

Baba za piecem zcicha
Kryjówki sobie szuka.
Dziad pod ławę się wpycha...
A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tak stała,
Lecz znudzona, nareszcie
Kominem wleźć musiała.

J. I. Kraszewski.

155. Księżniczka na grochu.

Pewien królewicz chciał się ożenić z jaką księżniczką, ale żeby to była prawdziwa księżniczka. Podróżował więc po świecie, żeby taką znaleźć, ale zawsze coś mu stanęło na przeszkodzie. Księżniczek nie brakło, lecz królewicz nie mógł zbadać, która jest prawdziwa. Zresztą nie wszystkie mu się podobały: jedne były za stare, inne za brzydkie, dosyć, że coraz natrafił na coś takiego, co mu odbierało chęć do ożenienia się. Nie mógł się na nic zdecydować. Wkońcu smutny powrócił do domu i postanowił czekać. Jednak ciągle pragnął posiąść prawdziwą księżniczkę za żonę.

Raz wieczorem była straszna burza: błyskało się, grzmiało, deszcz lał strumieniami. Wtem ktoś zapukał do bramy i stary król wyszedł, żeby otworzyć.

Przed bramą stała jakaś księżniczka. Jakże ją wymi-

zerowały nawałnice i wichura! Strugi wody ciekły z jej włosów i odzieży, trzewiczki miała tak podarte, że woda wypływała aż cholewkami.

A jednak mówiła, że jest prawdziwą księżniczką.

— Przekonamy się o tem — pomyślała stara królowa i zaprosiła księżniczkę, aby u nich przenocowała. Potem, nic nie mówiąc, poszła do sypialni, aby przygotować dla gościa łóżko. Podniósłszy z niego wszystką pościel, położyła na dnie łóżka ziarnko grochu. Następnie ułożyła na nie dwadzieścia materaców, a na nich rozesłała dwadzieścia piernatów puchowych i atłasowe poduszki. Na tem wszystkiem miała się położyć księżniczka i spać.

Nazajutrz, gdy księżniczka wstała i przyszła na śniadanie, królowa ją zapytała, jak spała w nocy.

Księżniczka odrzekła:

— Bardzo źle, prawie oka nie zmrużyłam. Pan Bóg wie, co tam było w łóżku. Leżałam na czemś tak twardem, że mam siniaki po całem ciele. To okropność!

Królowa przekonała się wtedy, że musiała to być prawdziwa księżniczka, skoro poczuła ziarnko grochu przez dwadzieścia materaców i dwadzieścia piernatów puchowych. Tak delikatna nie mogła być żadna inna, tylko prawdziwa księżniczka.

Królewicz ucieszył się tem i pojął ją za żonę: wiedział nareszcie, że ma prawdziwą księżniczkę. Ziarnko grochu zachowano w muzeum osobliwości i zapewne znajduje się ono tam dotychczas, jeżeli go stamtąd kto nie sprzątnął.

Według Andersena.

156. Chłop i djabeł.

Dziwiąc się djabeł zmyślnej chłopa głowie,
Zaczął i dumać, i marzyć:
— Ot, wiesz co, chamie! — tak do niego powie —
Pójdźmy razem piwo warzyć!

— Pójdźmy — rzekł Szymek i już kocieł grzeje,
Na tęgie piwo się sadzi:
Warzy i warzy, miesza, spuszcza, leje —
I ot, cały war już w kadzi.

— Dzielmy się teraz — djabeł się odzywa.
Szymek działu nie odmawia.
— Dzielmy się — rzecze — i wierzch bierze piwa.
A djabłu drożdże zostawia.

— Źle coś! — czart woła — zmieńmy więc umowę.
Posiejmy ziarno na grzędzie;
Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
A co zwierzchu, mojem będzie.

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście: [1])
Wschodzi, rośnie plon wzbujały. [2])
Przyszło do działów: djabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

— Czarcią — rzekł djabeł — masz, chłopie, naturę,
Widzę, że jesteś mądrzejszy....
Lecz jeszcze jedno: rzucajmy się w górę,
A ujrzym, kto z nas mocniejszy.

I porwał, wstrząsnął i z takim zamachem
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart chwycił u ziemi.

— Tęgiś! — chłop rzeknie zbladły, wystraszony —
Myślałem, że już nie wrócę,
Lecz teraz, kumie, pójdź-no w moje szpony,
Niech i ja ciebie podrzucę.

I w pas go bierze i za róg pochwyca,
I tak oburącz go trzyma;
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżyca
Wrytemi patrzy oczyma.

---

[1]) Korzyści. [2]) Bujny.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi:
Choć djabeł, pojąć nie zdoła....
Aż wreszcie, gdy się znudzi, zniecierpliwi —
— Czego tam ślepiesz? — zawoła.

— Ślepię! — rzekł Szymek — bo wprzód rzeczy ważę,
Nie chcę cię rzucić daremnie:
Czekam, aż tam się mój tatuś pokaże,
Co cię odbierze ode mnie. —

— Co — ryknie djabeł — czyś głupi, szalony? —
Wydarł się z ręki Szymczaka
I, jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło uciął drapaka.

Fr. Morawski.

157. Krasnoludki i cygan.

Idą krasnoludki: Koszałek-Opałek i Podziomek, idą, uciekają, gdy wtem — dudni coś po drodze. Spojrzą, a to ów cygan, co ich na jarmark wodził, po kociełek i drumlę wraca.

Więc zaraz Podziomek kija sękatego z ziemi podniósł, żeby się cyganowi obronić, gdyby tu wrócił przypadkiem.

Zerwie się i Koszałek-Opałek, i już uciekać chce, kiedy go Podziomek za rękaw chwyci i rzecze:

— Nie bój się, uczony mężu! Wodził on nas, powiedziem my jego! Toż w księdze twojej stało, że w nagłej trwodze małe krasnoludki w wielkich krasnoludów zamienić się mogą! Jakże to uczynić?

Ale Koszałek-Opałek tak zębami szczękał, że ze strachu przemówić nie mógł.

— Prędzej, prędzej! — wołał Podziomek.

A już cygan do polanki podbiegał.

— Trze.... trze.... trzeba — bełkotał Koszałek, dygocąc, jak w febrze — trzeba na.... naz.... nazwać rzecz wielką! jak największą!

A wtem cygan ich spostrzegł i zakrzyknął:

— A tuście mi, ptąszki! Czekajcie, odpłacę ja wam teraz!

— Góra! — zawołał Podziomek drżącym trochę głosem. Ale się nawet na pół cala nie podniósł.

— Mą... mą... mądrość — wybełkotał Koszałek-Opałek. Ale i to nic nie pomogło.

— Siła! — zakrzyknął Podziomek w najwyższej trwodze, bo już cygan rękę na nim kładł. Ale jak był, tak pozostał małym.

A wtem rozległ się w powietrzu głos cichy, jakby wiatr między drzewami zagadał:

...Miłosierdzie!

Lecz kiedy się ten głos rozszedł, zbladł cygan i stanął, jak wryty.

Małe krasnoludki zaczęły mu w oczach rość, rość, a cygan cofał się... cofał, szepcząc zbielałemi ze strachu ustami:

— Zgiń, przepadnij, maro!... zgiń, przepadnij...

Tymczasem krasnoludki przerosły go o głowę, przerosły o dwie, o trzy, a zrównawszy się z borowemi sosnami, stały przed nim groźne, potężne, tak że ów cygan wydawał się przy nich, jak karzeł.

Rzucił się tedy przed nimi na ziemię i, złożywszy ręce, wołać zaczął:

— Darujcie, jasne pany! Darujcie, wielmożne pany. Ja myślał, że wy małpy, a wy czarodzieje! Darujcie cyganowi, jasne wielkoludy!

Nasrożył brwi na to w olbrzyma zmieniony Podziomek i grubym głosem rzecze:

— No, może to być, bom dziś łaskaw! Ale nas przez bór i przez rzekę do groty naszej nieś. A niech się który co najmniej utrzęsie, albo o gałąź drapnie, albo buty zamoczy, to cię w szkapę żydowską zamienię! O wikcie też pamiętać masz! Dużo ma być jadła na każdy czas i dobrego! A co tam ci z torby sterczy?

Okazało się, że z torby sterczał placek, ze straganu porwany, pasek słoniny wędzonej i serek.

— Mało! bardzo mało!... Zupełnie mało!... — burczał, dobywając zapasy te, Podziomek.

Ale cygan, z ziemi nie wstając, wołał:

— Niechże już lepiej odrazu zostanę żydowską szkapą, jak mam takich dwóch drabów, jak jasne pany, dźwigać i jeszcze ich dobrem jadłem paść. Czy tak, czy siak, jedna zguba moja!



Tu zaczął jęczeć i szlochać.

Ale echo, odbijając się od drzewa do drzewa w boru, ucichało i rozpływało się zwolna, a jednocześnie oba wielkoludy maleć i zniżać się zaczęły.

Wtedy Podziomek rzekł:

— No, nie bój się, cyganie! Wstań. Widziałeś moc i siłę naszą, to dość! Teraz znów oto zamieniamy się w drobnych krasnoludków, a tak poniesiesz nas łatwo. Tylko jedzenia dawaj dużo! Jak najwięcej! Tyle, co dla dużych!

Podniósł głowę cygan, patrzy, a przed nim karliki małe. Zacznie więc ich całować po rękach, śmiejąc się i płacząc razem, poczem ich sobie na ramieniu posadził, a gdy podjedli i zakurzyli fajki, w drogę z nimi ruszył.

Niósł ich tak do wieczora, niósł przez noc, iż jasna od pełni księżycowej była, a choć mu nogi zemdlały, poskarżyć się nie śmiał, żeby się czarodzieje owe mocne, za jakich krasnoludków miał, znów nie zamieniły w olbrzymów.

Co gorsza, i z owego chleba i sera mało co mu się dostało, bo Podziomek raz wraz do torby sięgał, a jadł tak, że cały napęczniał, jak bania. Ciężył też nieznośnie cyganowi, tak że go ów, raz wraz z ramienia na ramię przesadzając, z Koszałkiem mieniał, żadną miarą nie mogąc owego cierpienia w karku wytrzymać, jakie mu Podziomek sprawiał.

Na drugie południe stanęli wreszcie u wejścia do Kryształowej Groty. *M. Konopnicka.*

158. Matka Boska Siewna.

Dało się Marji Pannie przemknąć przez bór i z rąk zbójeckich ujść cało; wyszła na pole, pokrajane miedzą, pokarbowane w skiby, świeżo zorane, a puste jeszcze i nawet runią nie zieleniejące.

Jak tu się skryć, kędy uciekać przed pogonią?... dokąd kroki swoje skierować, gdy kaci tuż, tuż z mieczami, krwią niemowląt zbroczonemi, pędzą i ścigają Bożą Dziecinę, aby i ona rzezi srogiej nie uszła?...

Po świeżej roli idzie Marja Panna z dzieckiem na ręku, a przy niej Józef; potykają się o brózdy, ale idą, aby dalej, aby śpieszniej!... Tchu im w piersiach braknie, jednak nie ustają, bo groza za nimi: król Herod ściga.

Dopadli do miedzy, a za miedzą chłopek pszenicę sieje.

— Pomagaj Bóg, miły chłopku! — woła Najświętsza Panna.

— Daj, Panie Boże, krasna Pani! — odrzeknie siewacz.

— Dziś pszeniczkę siejesz, jutro ją żąć będziesz — mówi doń znowu, a on:

— Szczęśliwaśby ty, Pani, była, żeby się pszeniczka jutro żąć godziła.

Więc Marja Panna Jezusa Józefowi na ręce składa, sama się płachtą przepasuje i idzie rolą wzdłuż brózd zoranych: drobną rączyną drobne ziarno sieje, a kędy tylko garść zboża rzuci, wytryskują z ziemi strumienie kłosów i falować zaczynają, i pszenica wyrasta, jak las. Zasiała tak całe pole daleko, daleko, aż po sam kraniec gruntu i wróciła.

— Dziś jeszcze będziesz żął! — powiada z uśmiechem, bierze Dzieciątko Swoje na rękę i odchodzi ścieżyną ku siołu, a chłopek to na cudowne zboże spogląda, to na tych troje, którym ziemia posłuszniejsza, niż samemu słońcu, to ku niebu patrzy, czy zeń aniołowie nie zlatują, i zrozumieć nic nie może, tylko się dziwuje: sen to, czy jawa?...

Aż nareszcie, jakby mu się rozwidniło w głowie, kolanami do ziemi przypada, w grzeszne piersi pięścią łomocze, czołem o ziemię uderza i tylko jedno słowo w głębi duszy powtarza:

— Pochwalony!... pochwalony!... pochwalony!...

I żął dnia tego, jak mu Najświętsza obiecała, ale gdy sierpem pszenicę zagarnął, od lasu drogą królewskie zbiry wypadły z hałasem.

— Hej, hola, chłopie! — hukają nań groźnie — czy nie szła tędy niewiasta z dzieckiem na ręce i ze starowiną samotrzeć?...

— Szła — mówi żeniec.

— A kiedy, kiedy? — dopytują.

— A wtedy, kiedym tę pszeniczkę siał.

— Wtedy jeszcze, a teraz już dostałą żniesz?... to i ścigać ich dalej próżny trud!...

Wrócili z niczem, straciwszy nadzieję, by zdołali dopędzić zbiegów, a Rodzina Święta była już daleko, daleko... i Bóg Ją dalej bezpiecznie prowadził. *M. Gawalewicz.*

159. Boże Narodzenie.

Wierzysz, że się Bóg zrodził w betlejemskim żłobie,
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

A. Mickiewicz.

160. Chrystus i dzieci.

Stał w szczerem polu Chrystus Pan;
A przy nim orszak bosy:
Dziateczki, co na zżęty łan
Szły z miasta zbierać kłosy.

Cisną się usta do nóg Mu
Drobniuchnej tej czeladzi,
A Chrystus spuścił jasną dłoń
I główki dziatwy gładzi.

— Rośnijcie — rzecze — ojcom swym
I matkom na pociechę....
I, jako słońce, chaty swej
Wyzłoćcie niską strzechę!

A co pogładzi jasny włos,
To gwiazdy mu dokoła
Sypią się, nakształt złotych ros,
Na pochylone czoła.

Lecz pośród dzieci była tam
Sierotka jedna mała
I, słysząc to, co Chrystus rzekł,
W te słowa się ozwała:

— A ja nie będę, Panie, rość,
Bo na co to i komu?
Ojca ni matki nie mam już,
A także nie mam domu. —



Lecz Chrystus rzekł: — Zaprawdę wam
Powiadam, moje dziatki:
Nie jest sierotą żadne z was,
Choć nie ma ojca, matki.

Bo ojcem mu jest niebios Pan,
A matką ziemia miła,
Co go zbożami swoich pól,
Jak mlekiem wykarmiła.

A domem mu jest cały świat
Bez granic i bez końca,
Gdzie tylko sięgnie jego myśl,
Jak złota strzała słońca.

M. Konopnicka.

PYTANIA I ĆWICZENIA STYLISTYCZNE

1. NOWY ROK SZKOLNY. Wytłumacz wyrażenia: „światło w główce wam nieci", „czas zbiegł tak szybko, jak ptak", „główce świeci", „w rozumie rosły wciąż dzieci", „rok szkolny się otwiera". Do czego zachęca autor dzieci w tym wierszu? Co mówi o przyszłości? Jaka zachodzi różnica między wyrażeniami: „świecić zapałką", „świecić rozumem", „świecić przykładem", „świecić nieobecnością?" Jak można powiedzieć jeszcze zamiast: „chyżo", „pilnie", „starać się", „wspierać"?

2. MIŁOŚĆ BRATERSKA. Zmień tę powiastkę tak, jakby to opowiadał starszy brat, młodszy brat, gwiazdka, spoglądająca z nieba. Objaśnij różnicę między następującemi wyrazami: „brat", „braciszek", „bratek", „brach", „braciaszek". Co oznaczają wyrażenia: „brat w Chrystusie", „brat po mieczu", „brat mleczny", „brat zakonny", „brat szlachcic"?

3. . . . . Nadaj tytuł tej powiastce. Co powiesz o postępowaniu Karolka? Co masz mu do zarzucenia? A co można powiedzieć w jego obronie? A co powiesz o Heli? Jak tu należy rozumieć wyrażenia: „zwycięstwo", „silniejsza jesteś ode mnie", „muszę się uznać za zwyciężonego?" Czego uczy nas ta powiastka?

4. ILUSTRACJA BEZ TEKSTU. Nadaj tytuł tym obrazkom. Opowiedz (ustnie lub piśmiennie), co na nich widzisz.

5. PRZYSŁOWIA. Naucz się niektórych z tych przysłów napamięć. Wytłumacz dobrze, co one oznaczają. Opowiedz jakie zdarzenie, potwierdzające słuszność jednego z tych przysłów.

6. . . . . Nadaj tytuł tej powiastce. Ułóż plan tej powiastki w kształcie pytań. (Co się działo na podwórzu szkolnem? Kto siedział w rogu podwórza? O czem myślał ten chłopiec? i t. d.). Czego nas uczy ta powiastka? Dodaj do niej od siebie zakończenie: jak postąpili uczniowie po przemowie starszego kolegi? Napisz wypracowania p. t. „Na pauzie w szkole".

7. MOJA MATKA. Jak autor opisuje swą matkę? Co można powiedzieć o jej wyglądzie? A o jej charakterze? Co w jej charakterze jest najważniejsze? A co ci się w jej charakterze najbardziej podoba? Porównaj matki w §§ 6 i 7. Opisz w podobny sposób wygląd i charakter kogoś dobrze ci znanego, np. z rodziny, z pomiędzy kolegów, nauczycieli i t. p.

8. KSIĄŻKA Z OBRAZKAMI. Dokończ tej powiastki, opowiedz, co się z tą książką stało i co z tego wynikło. Zmień tę powiastkę w ten sposób, jakby to opowiadała książka. Albo zamiast książki opowiedz o jakiej zabawce.

Dokończ następującego ćwiczenia:

Zamiast:		*Można powiedzieć jednym wyrazem:*
Ojciec i matka	—	rodzice
Bracia i siostry	—	rodzeństwo
Rodzice i rodzeństwo	—	?
Chłopcy i dziewczynki	—	?
Kucharka, lokaj i młodsza	—	?
Oficerowie i szeregowcy	—	?

9. PIĄTKA. Co powiesz o Michasiu? A o jego korepetytorze? A o jego matce? Jak autor przedstawia nam radość Michasia? A dlaczego Michaś nie otrzymał stopnia z języka polskiego? Jakie znaczenia mają wyrazy: „stopień", „cel", „piątka", „pokój", „matka"? Napisz wypracowanie p. t. „Piątka" (z własnego życia).

10. MŁODOŚĆ. Naucz się tego wierszyka napamięć. Wytłumacz wyrażenia: „młodość jest rzeźbiarką", „wykuwa żywot cały", „upływa szparko", „czas jej dłóta wiecznotrwały". Jaka myśl zawiera się w tym wierszu? Jak można jeszcze powiedzieć zamiast: „żywot", „upływać", „szparko", „wiecznotrwały"?

11. WĘGLARZ I PAN. Czego nas uczy ta powiastka? Co powiesz o każdym z dwu chłopców? A o ich ojcach? A o nauczycielu?

Następujące wyrazy ułóż według stopnia ich naganności: „pycha", „zarozumiałość", „duma", „wyniosłość", „próżność", „godność własna", „nadętość", „miłość własna". A może nie wszystkie te właściwości są naganne?

12. LEKCJA ARYTMETYKI. Co powiesz o tym chłopcu? Dlaczego cyfry wydawały mu się podobnemi do przedmiotów? A do jakich przedmiotów podobne są inne cyfry? Narysuj te przedmioty.

Jaka różnica zachodzi między wyrazami: „cztery, jako cyfra", „cztery", „cztery dziewczynki"?

13. LIST SIEROTY DO OPIEKUNA. Co powiesz o tym sierocie? A o panu Karolu? a o jego synach? Jakie uczucia budzą w tobie takie wyrażenia: „taka bieda, że aż strach", „wziął mię z łaski", „nie ma człowiek do kogo gęby otworzyć", „aż mi się płakać chce", „mój kochany panie", „trzeba mi pójść na własny zarobek", „nie śmiem podziękować panu Karolowi", „jakby chorował", „ciągle się za głowę łapie", „całuję ręce i nogi panu i pani".

14. SIEROTA. Który z dwóch sierot w §§ 13 i 14 jest nieszczęśliwszy i dlaczego? Czy dla obu czujesz jednakową życzliwość? A jeżeli nie, to na czem polega różnica? Czy autorowie w jednakowy sposób dążą do obudzenia życzliwości dla swoich bohaterów?

Siekierą się rąbie. A co się robi świdrem, nożem, heblem (czyli strugiem), piłą, młotkiem, dłótem, borem?

15. JABŁUSZKA NA PODDASZU. Ułóż tę powiastkę w kształcie komedyjki: *Scena I* — służąca, idąc do kuchni, upomina Pawełka. *Scena II* — Pawełek sam w pokoju dziecinnym. *Scena III* — Pawełek sam na poddaszu. *Scena IV* — rozmowa Pawełka i matki na poddaszu.

Jak można powiedzieć zamiast: „poddasze", „balik", „krzyczeć", „żarłok", „płacz", „łakomstwo"?

16. TOMEK MYŚLIWY. Dokończ tej powiastki. Ułóż plan tej powiastki (w kształcie szeregu pytań). Jakie znaczenie mają tu wykrzykniki: „aha!", „paf!", „eh!", „ot!", „a!" Jakie wykrzykniki wyrażają ból, radość, podziw, zachwyt, przerażenie, zastanowienie, zniecierpliwienie, niezadowolenie i t. p.

17. ZDANIE. Naucz się tego zdania napamięć, wytłumaczywszy przedtem szczegółowo jego znaczenie.

18. IDĘ NA WOJNĘ. Porównaj niedoszłego myśliwca w § 16 i niedoszłego wojaka w § 18. Z czego są do siebie podobni i czem się różnią? A jaki jest stosunek starszych do obu chłopców? Podkreśl wyrazy, któremi niańka przezywa chłopca, i zauważ ich znaczenie wogóle i w danem miejscu. Dlaczego chłopca przeraziła walka nahajkami?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Wojownik,	używający	*łuku,*	nazywa się	*łucznik.*
"	"	*procy*	" "	?
"	"	*oszczepu*	" "	?
"	"	*karabinu*	" "	?
"	"	*muszkietu*	" "	?
"	"	*halabardy*	" "	?

Znajdź więcej podobnych nazw.

19. WSPOMNIENIE. Podkreśl wiersze i zdania, które się powtarzają. Poco je poeta powtarza? Jaki obraz wspomina kobieta w tym wierszu? Zaznacz wszystkie szczegóły tego obrazu, a jeśli umiesz, narysuj go. Jakie znaczenie mają wyrazy: „maleńka", „mateńka", „ołtarzyk", „studzienka"?

20. WSPOMNIENIA DZIECIĘCE. Jakie obrazy teraźniejszości budzą w poecie wspomnienia lat minionych? Co jest wspólnego między obrazami teraźniejszości i przeszłości? A jakie są między niemi różnice? Jakie uczucia budzą wspomnienia w duszy poety? Porównaj pod tym względem §§ 19 i 20.

Napisz wypracowanie p. t. „Jeden obraz ze wspomnień mojej przeszłości".

21. KŁAMSTWO BEZ GRZECHU. Opowiadanie na cztery głosy: jedno z dzieci mówi za ojca, drugie — za matkę, trzecie — za Marcelka, czwarte — za Walusia. Co oznaczają wyrażenia: „zamilkł, jak trusia", „ujdzie na sucho", „ujdzie płazem", „nie zostawić na kim suchej nitki", „chcieć utopić kogo w łyżce wody", „pisać na wodzie"?

Wymień wszystkie znaczenia wyrazów: „ucho" i „uszko".

22. DOKTÓR BUM-BUM. Opowiedz tę powiastkę według sporządzonego przez siebie planu. Jak można powiedzieć jeszcze zamiast: „klaun"? a zamiast „doktór"?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Franio	był chory, osłabiony i jaki jeszcze?
Ojciec	był jaki?
Doktór	" " ?
Bum-bum	" " ?

23. NASZA HANIA. Co możesz powiedzieć złego o Hani? A co dobrego? A czego jest więcej? A czy poetka sama lubi Hanię? Podkreśl wyrazy, oznaczające szybkie ruchy.

Zastanów się nad znaczeniem wyrazów: „pusty", „pustka", „pustynia", „puszcza", „pustak", „pustota", „pustelnik", „pustelnia" i t. d.

24. KOLEŻANKI. Co powiesz o postępowaniu Anielki? a jej koleżanek? a nauczycielki?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Mężczyzna	*Kobieta*	*Mężczyzna*	*Kobieta*
Kolega	Koleżanka	Lekarz	Lekarka
Nauczyciel	„	Kum	„
Wychowawca	„	Szwagier	„
Mistrz	„	Ogrodnik	„
Wychowaniec	„	Szlachcic	„
Sierota	„	Mieszczanin	„

25. PAWEŁ I GAWEŁ. Jaki charakter ma Paweł, a jaki Gaweł? Jak autor przedstawia charakter obu sąsiadów? Co powiesz o obrazie polowania? a o obrazie połowu ryb? Czy nie mógłby Paweł polować, a Gaweł łowić ryb? Jeżeli nie, to dlaczego? Czy wyrazy: „Wolnoć, Tomku, w swoim domku!" powiedzieli obaj oni jednakowym tonem? Spróbuj powiedzieć to zdanie tonem Pawła i tonem Gawła. A jeszcze innym tonem? Co powiesz o morale tej bajki?

26. WYOBRAŻENIA DZIECIĘCE. Skąd pochodził pierwszy błąd Jasia (o księżycu)? A drugi (o duszy)? Czy matka dobrze odpowiedziała Jasiowi na jego pytania? A czy słusznie martwiła się niemi? Jaka zachodzi różnica między dziećmi pana Anzelma a Jasiem? A dlaczego on gorzej odpowiadał na pytania księdza proboszcza? A kto z dorosłych najlepiej oceniał Jasia: matka, proboszcz, czy pan Anzelm i dlaczego? Wymień wszystkie znaczenia wyrazu: „dusza".

Dokończ następującego wypracowania:

Siwy, jak gołąb i jak co jeszcze?
Świecić, jak węgle „ „ „ ?

27. . . . . : Nadaj tytuł tej powiastce. Sporządź plan tej powiastki według pytań. Jaka jest różnica między wyrazami: *mały* i *malutki*, *grzeczny* i *grzeczniutki*, *wesoły* i *wesolutki*, *okrągły* i *okrąglutki*. Znajdź więcej takich przykładów.

Dokończ następującego ćwiczenia:

Jadzia była 13-letnia, grzeczna, roztropna i jaka jeszcze?
Kazia była jaka?
Irenka „ „ ?

28. LALKI MOICH DZIECI. Jak autorka przedstawia Framużaków? a Szkatulaków? Co głównie zaznacza w charakterze jednych i drugich? Porównaj „księcia Józefa Poniatowskiego" z „księciem Maniem" i z „Bohdarenką". Jakich poetka używa sposobów, by scharakteryzować lalki, które przecież duszy, a więc i charakteru nie mają? Dlaczego dzieci lubią bawić się lalkami?

Napisz wypracowanie p. t. „Moja lalka" (lub: „Lalka mojej siostry").

29. IMIENINY BABUNI. Jak autorka przedstawia tu przyrodę? A zachowanie się dorosłych i dzieci? Jakie są uczucia babuni? Co ją cieszy, a co smuci? A co powiesz o całej tej rodzinie? Dlaczego winniśmy szacunek ludziom starszym? Wymień wszystkie znaczenia wyrazów: „baba", „babka", „babcia".

30. MODLITWA BABUNI. A o co modli się babunia? Dlaczego modli się o rzeczy dawno minione? A dlaczego nie modli się o siebie? Porównaj uczucia obu kobiet w §§ 29 i 30. Czy naprawdę knotek skwierczał słowami modlitwy? A jeżeli nie, to co ma to oznaczać? Czy ptaki naprawdę schrypły lub głos straciły? A jeżeli nie, to jak to należy rozumieć? Czy to samo odnosi się do blasku słońca, barwności kwiatów, chłodu lipcowego? Jak babunia wyobraża sobie życie przyszłe?

Dokończ następującego wypracowania:

Matka Boska, Królowa Nieba i jak jeszcze można powiedzieć?
Pan Jezus, Chrystus „ „ „ „

31. SKRZYDLATY WIĘZIEŃ. Zmień to opowiadanie tak, jakby to opowiadał czyżyk. Jakiego człowieka możnaby porównać do owego czyżyka? Dlaczego wolność uważa się za jeden z największych skarbów człowieka?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Zamiast *orzeł* możemy powiedzieć: „król ptaków".
„ *słowik* „ „ jak?
„ *skowronek* „ „ jak?
„ *bocian* „ „ jak?
„ *wrona* „ „ jak?
„ *sowa* „ „ jak?

32. DLA CHLEBA. O kim mowa w tym wierszu? Jakie uczucie ujawnia się w tym wierszu? A w jaki sposób? Jakie zachodzi podobieństwo myśli głównej w §§ 31 i 32? Które wyrazy najczęściej się tu powtarzają i dlaczego? Podkreśl wyrazy góralskie w tym wierszu.

33. KOZA. Dokończ tej powiastki. Ułóż plan tej powiastki w kształcie pytań. Jakie pożytki mamy z kozy? Jakiego człowieka nazywamy kozą? a kozłem?

Dokończ następującego ćwiczenia:

kozieł	—	koza	lew	—	lwica
niedźwiedź	—	?	tygrys	—	?
zając	—	?	wielbłąd	—	?
łoś	—	?	baran	—	?
wilk	—	?	byk	—	?
koń	—	?	żubr	—	?

A jak się nazywają małe tych zwierząt?

34. KONIK POLNY I MRÓWKA. Jakiego człowieka ma wyobrażać konik polny? a mrówka? Co powiesz o postępowaniu obu owadów? Co możesz powiedzieć o wyrażeniach: „że tylko wiatr nim powiewał", „jakem konik, tak zapłacę", „i procenty i kapitał"?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Pracowity,	jak mrówka
?	jak konik polny
?	jak pszczoła
?	jak osa
?	jak szerszeń
?	jak motyl.

35. MRÓWKA I PSZCZOŁA. Porównaj mrówkę w §§ 35 i 36. Porównaj postępowanie mrówki w § 35 i pszczoły w § 36. Jakich ludzi wyobrażają owady w obu tych bajkach? Czego nas uczą obie te bajki?

Zmień obie te bajki tak, żeby występowały w nich nie owady, lecz ludzie.

36. MAŁY ROZNOSICIEL. Ułóż plan tej powiastki w kształcie pytań. Zmień ją tak, by opowiadała to wszystko Marynia, albo Bronek, albo Nacia, albo roznosiciel.

Dokończ następującego ćwiczenia:

Ten, co *roznosi*, nazywa się *roznosiciel*
„ „ *muruje* „ „ ?
„ „ *mówi* „ „ ?
„ „ *kraje* „ „ ?
„ „ *pali* „ „ ?
„ „ *żnie* „ „ ?
„ „ *zamiata* „ „ ?
„ „ *maluje* „ „ ?

A jak się nazywają kobiety, zajmujące się temi pracami?

37. W DRODZE DO DOMU. Co powiesz o tych chłopcach? Porównaj tych chłopców z „Tomkiem myśliwym" w § 16. Jak jeszcze można powiedzieć zamiast: „las", „ogród", „gościniec", „zbój", „kij"? Jakie znaczenie ma wyraz: „strach"?

38. JAK TO NA MAZOWSZU. Objaśnij wyrażenia: „pochylone chaty drzemią na dolinie", „nad wodą zgarbiony stoi dąb żylasty", „płynie łódź flisacka, jak szara cyranka". Poco w czwartej zwrotce powtarza się tyle razy (ile?) *i?* Poeta nazywa Wisłę „modrą". Jak jeszcze możnaby ją nazwać? Jakie uczucie wyraża tu autor?

39. POŁUDNIE. Jakie szczegóły zamieścił autor w tym opisie? Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy i dźwięki. Którą porę roku opisuje tu autor? Zauważ szyk wyrazów w pierwszych dwóch zdaniach. Dlaczego taki jest, a nie inny? Jakie uczucie budzi w tobie ten opis?

40. KOLASKA. Objaśnij wyrażenia: „o włos dziada nie przejechał", „a on wyleciał, jak z procy", „będzie jemu kiedyś licho". W zdaniu: „Zawadził o kamień przecie", co oznacza wyraz: „przecie"? Jaki był ów panicz: „lekkomyślny", „modny" i jaki jeszcze?

41. NAD MORZEM. Co powiesz o postępowaniu Marusi? A innych dzieci? Porównaj los czyżyka w § 31 i los rybek w § 41. Jak powinniśmy się obchodzić ze zwierzętami na wolności? a ze zwierzętami domowemi?

Ułóż w szereg według wielkości i określ bliżej następujące nazwy wód stojących: „morze", „staw", „ocean", „sadzawka", „jeziorko", „sadzaweczka", „kałuża", „jezioro", „stawek", „mokradło". Następują-

ce nazwy wód bieżących: „rzeka", „rów", „strumień", „rzeczka" „strumyk". „potok", „potoczek", „strumyczek", „kanał", „struga", „strużka".

42. DZIELNY CHŁOPIEC. Jakie zalety posiada ten chłopiec? Zmień ten wierszyk w ten sposób, jakby tego chłopca chwalił ktoś dorosły. Czy słusznie ten chłopiec dziwi się, że go wszyscy lubią?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Jaś jest *wesoły* a Staś — *smutny*.
„ „ *pilny* „ „ — jaki?
„ „ *usłużny* „ „ — „ ?
„ „ *zręczny* „ „ — „ ?
„ „ *poczciwy* „ „ — „ ?
„ „ *miły* „ „ — „ ?

43. ILUSTRACJA BEZ TEKSTU. Opowiedz, co widzisz na tej ilustracji, i nadaj tytuł temu opowiadaniu.

44. ZDANIE. Naucz się tego zdania napamięć, wytłumaczywszy przedtem jego znaczenie. Ułóż jakie zdanie o starości.

45. ŻEBRAK I KAMIEŃ. Jakiego człowieka oznacza żebrak? A co oznacza pies? a kamień? Jaka więc myśl zawiera się w tej bajce?

Wytłumacz wyrażenia: „kamień obrazy", „kto chce psa uderzyć, zawsze kamień znajdzie", „kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem", „na miejscu i kamień mchem obrośnie", „kamienne serce", „kamienne zdrowie", „bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili".

46. PRZYSŁOWIE. Przysłowie to określa długowieczność życia ludzkiego. Jak więc długo trwa płot, jak długo żyje kot, koń, człowiek?

Jaką wspólną nazwą możnaby objąć kota i konia? a kota, konia i człowieka? a kota, konia, człowieka i płot?

47. WOJTUŚ. Wytłumacz wyrażenia: „w oczęta jasne, jak lilije", „znużenie swemi wargi ciepłemi się wpije", „blaski rana, nakształt złotych pszczółek, wypoczną rojem na kwiecistej glebie" i t. d., aż do końca wiersza. Podkreśl rzeczowniki zdrobniałe: „konik", „biczyk", „oczęta" i t. d. i powiedz, w jakim celu użył ich autor?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Oczęta jasne, jak lilje
Oczęta czarne, jak ?
Włoski jasne, jak ?
Włoski ciemne, jak ?
Policzki czerwone, jak ?
Głosik cienki, jak ?

48. CHATA SKROBKA. Co najbardziej poetka uwydatnia w opisie tej chaty? A w opisie najbliższego otoczenia? Czy chata Skrobka, mimo swego ubóstwa, jest piękna? Jeśli tak, to dlaczego? Co ją wypięknia? Zaznacz rzeczy piękne w tym opisie. Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy i dźwięki. Wypisz wyrazy bliskoznaczne względem wyrazu: „chata" i ułóż je w szereg według wielkości przedmiotów, które oznaczają.

49. NA POLU. Wypisz rzeczowniki zdrobniałe i oznacz, poco ich używa poeta. Podkreśl wyrazy powtarzające się. W jakim celu powtarza je poeta? Zastanów się nad szykiem wyrazów w zdaniach: „na tem naszem polu jest wszelakie zboże", „będzie dosyć chleba", „z tej złotej pszeniczki będzie mączka biała", „lubi z niej kluseczki nasza Julcia mała" i t. d. W tem ostatniem zdaniu przestawiaj w różny sposób wyrazy i określ, co się jednocześnie zmienia.

50. DOWCIPNY PODRÓŻNIK. Dokończ tego opowiadania. Wymień 10 pokarmów, jadanych przez ludzi, i 10, jadanych przez konie. A czy są pokarmy, które jadają i ludzie i konie?

Do których z rzeczowników: „koń", „rumak", „szkapa", można zastosować następujące określenia: „dzielny", „nędzny", „chudy", „dziarski", „rączy", „kary", „bułany", „chory", „piękny", „zdechły", „narowisty" i inne jeszcze, które sam wynajdź?

51. SZKATUŁKA ZE ZŁOTEM I WÓR Z KASZĄ. Jakiego człowieka oznacza szkatułka ze złotem? a wór z kaszą? Czego nas uczy ta bajka?

Szkatułka była dumna, zarozumiała i jaka jeszcze?

Wór był skromny, cichy i jaki jeszcze?

52. GWÓŹDŹ. Objaśnij wyrazy: „jarmark", „trzos", „przytroczyć", „stajenny". Zmień zakończenie tej powiastki, poczynając od wyrazów: „I odjechał".

Napisz wypracowanie p. t. „Skutki odkładania pracy" (z własnych przeżyć).

53. NASZA WIOSKA. Objaśnij wyrażenia: „srebrna rzeka", „pan indyk, sztuka dumna i nadęta", „jak na dłoni, wioska leży", „bór sosnowy duma wdali, jak staruszek siwobrody". Podkreśl powtarzające się wyrazy i oznacz, poco się one powtarzają. Jakie tu zawiera się uczucie? W jaki sposób ono się wyraża?

Jaka zachodzi różnica między następującemi wyrazami: „wieś“, „wioska“, „wioseczka“, „wioszczyna“?

54. O ZACHODZIE. Jak autor przedstawił tu drzewa i inne rośliny? O co modlą się dęby? a sosny? a brzozy? a świerki? a osiczyna? a jagoda? A jaka zawiera się myśl wspólna we wszystkich tych modlitwach? A jakie uczucie budzi ten opis?

Wymień 10 nazw drzew dzikich, 10 ogrodowych, 10 krzewów dzikich, 10 ogrodowych, 10 ziół dzikich, 10 ogrodowych?

55. WILK I ŻÓRAW. Jakiego człowieka oznacza wilk, a jakiego żóraw? Co powiesz o przemówieniu żórawia? a o przemówieniu wilka? A co powiesz o wyrażeniu: „Zakręcił kitą i odszedł wyniośle“? A jaka jest myśl moralna tej bajki?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Wilk	wyje	Kot	miauczy
Baran	?	Mysz	?
Koń	?	Lis	?
Lew	?	Jeleń	?
Krowa	?	Zając	?
Pies	?	Niedźwiedź	?

56. KUROPATWY. Objaśnij wyrażenia: „świat uśmiecha się pogodą słoneczną“, „przegrywki świerszczów“, „pasmo szczęścia“, „przyszłość rozkosznie przemawia do wyobraźni ptaszęcia“, „ziemia coraz bardziej łysiała, płowiała“. A co powiesz o wyrażeniach: „opuściły chatę“, „strzecha rodzinna“, „bohater dzielny“, „matusia, bóstwo dobroci“, „ojciec chrobry“, „ruszać w derdy“, „ojciec-wódz“, „syn pierworodny, głowa zdolna, hetmanił gromadzie“? A co powiesz o życiu rodzinnem u kuropatw w tem opowiadaniu? Zmień je tak, by je opowiadał samczyk, samiczka albo jedno z piskląt.

Objaśnij wyrażenia: „pasmo szczęścia“, „promień szczęścia“, „blichtr szczęścia“, „blask szczęścia“, „gwiazda szczęścia“, „łańcuch szczęścia“.

57. TALAR I CZERWONY ZŁOTY. Jakiego człowieka oznacza tu talar? a jakiego czerwony złoty? Jaka jest myśl moralna tej bajki? Porównaj myśl moralną tej bajki z myślą moralną bajki § 51.

58. PRZYSŁOWIA. Naucz się niektórych z tych przysłów napamięć. Które z tych przysłów dadzą się zastosować do bajki § 51, a któ-

re do bajki § 57? Opowiedz jakie zdarzenie na potwierdzenie jednego z tych przysłów.

59. WIEŚ. Porównaj ten wiersz z wierszem § 53 („Nasza wioska"). Co w opisach wsi jest w tych wierszach wspólnego, a czem różnią się one między sobą? A jaka tu zaznacza się myśl główna? A jakie przebija się uczucie? A który z tych dwóch wierszy podoba ci się więcej i dlaczego?

Napisz wypracowanie p. t. „Wieś" (opis).

60. ZACHÓD SŁOŃCA. Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy, oznaczające blaski. Podkreśl wyrażenia, w których słońce przedstawione jest, jak człowiek. Do czego porównane są chmury w tym opisie? Ułóż zdania, w których księżyc, wiatr, brzoza, fiołek, dąb, niebo, wiosna, skała byłyby przedstawione, jak ludzie.

61. PRZED INSTYTUTEM GŁUCHONIEMYCH. Jakie znasz rodzaje kalectwa? Czy wolno wyśmiewać się z kalek? Wymień 10 rzeczy, które można widzieć, 10 — które można słyszeć, 10 — które można rozróżnić smakiem, 10 — węchem, 10 — dotykiem.

Wytłumacz przysłowia: „mówić, jak ślepy o kolorach", „między ślepymi jednooki królem", „zdarzyło się, jak ślepej kurze ziarno".

62. DO LIPY. Naucz się tego wiersza napamięć. Ułóż podobne przemówienie do książki, do pióra, do ławki szkolnej, do szkoły.

63. CO TE DZIECI ROBIĄ. Zmień tę powiastkę tak, jakby to opowiadał Gucio swojemu ojcu, albo jedno z biednych dzieci komuś ze swoich rówieśników. Wymień 6 nazw materjałów opałowych, 6 nazw materjałów, służących do oświetlenia.

Znajdź wyrazy przeciwnego znaczenia względem następujących: „światło", „ciepło", „ruch", „głos", „ciężar", „twardość".

64. RUBELEK TESI. Jak autor przedstawia tu porę roku? A jak przedstawia Tesię? A jaki rys charakteru Tesi głównie zaznacza? I w jaki sposób? A jak poeta zaznacza zmianę usposobienia Tesi po tem, jak porwała pieniądz ojcu? A dlaczego nastąpiła w niej ta zmiana? Co powiesz o postępku Tesi względem ubogiej? Spróbuj wogóle określić, jaka była Tesia. A czego nas uczy ten wiersz?

Objaśnij następujące wyrazy: „wiatr", „wietrzny", „wiatrak", „wiatronogi", „wietrznik", „wietrznica", „wietrzyć", „powietrze" i t. d. Znajdź więcej wyrazów, pochodzących od wyrazu „wiatr".

65. OBŁOKI. Co powiesz o owej „panieneczce"? A o Wojtusiu? Dlaczego więcej go obchodziły obłoki, niż lekcja? Czy dobrze zrobiła panienka, zmuszając go do nauki? Czego trzeba, żeby się zmusić do uwagi podczas lekcji lub innej pracy?

Wytłumacz wyrażenia: „skupiać uwagę", „promienieć radością", „ćwiczyć wolę", „pogrążać się w smutku", „borykać się ze snem", „uganiać się za szczęściem"?

Napisz wypracowanie p. t. „Podczas lekcji" (o uwadze i nieuwadze).

66. JAŁMUŻNA MYŚLI. Wytłumacz znaczenie tytułu: „Jałmużna myśli". Jakiej jałmużny udziela owa panienka Piotrusiowi? Porównaj tę panienkę z Tesią w § 64. Która jałmużna jest lepsza? A na czem ta lepszość polega? Czy w obu wierszach jałmużna wypływa z tych samych pobudek? A czy daje taki sam wynik? O czem ta panienka czyta i opowiada Piotrusiowi? Porównaj lekcję w §§ 65 i 66.

Jaka zachodzi różnica między wyrazami: „dar", „podarunek", „wiązanie", „ofiara", „datek", „jałmużna", „zapomoga"?

Ułóż zdania na każdy z tych wyrazów.

67. ZACZAROWANA KRÓLEWNA. Co powiesz o Jasiu pastuszku? A o owej dziewczynce? Porównaj §§ 65, 66 i 67. Która z tych trzech lekcyj jest najkorzystniejsza dla uczniów? A która jest najprzyjemniejsza dla obu stron, nauczycielki i ucznia? A co można znaleźć do przyganienia w tych trzech lekcjach?

Wymień 10 istot nadprzyrodzonych, występujących w znanych ci baśniach (jak krasnoludek, jędza-baba i t. p.).

68. ILUSTRACJA BEZ TEKSTU. Ułóż powiastkę na podstawie tej ilustracji i nadaj jej tytuł.

69. MĄDRY I GŁUPI. Naucz się tej bajki napamięć. Rozszerz tę bajkę w dłuższą rozmowę między mądrym i głupim. A co powiesz o odpowiedzi „mądrego"? Znajdź wyrazy podobne znaczeniem do wyrazów: „mądry" i „głupi".

70. POWRÓT TATY. Kto przemawia do dzieci na początku tego wiersza? Jakie uczucie wyraża się w tem przemówieniu? Porównaj to przemówienie z obrazem przyjazdu kupca i powitania. A w jaki sposób poeta przedstawia okropność chwili napadu zbójów. A co powiesz o sposobie, w jaki starszy zbójca opowiada swoją historję? Jakie uczucie przemawia w tem opowiadaniu? A jaka jest główna myśl tego wiersza?

Dobierz po 5 określeń do każdego z następujących wyrazów: „matka“, „dzieci“, „kupiec“, „sługi“, „zbójcy“, „starszy zbójca“.

71. MAŁY PASTUSZEK. Porównaj obu pastuszków: §§ 67 i 71. Co jest podobnego w ich życiu? A czem oni się różnią? Który z nich jest ci milszy? A który więcej budzi współczucia? A czyje życie jest cięższe? Jaki rys charakteru posiada Janek w § 67, którego brak Jasiowi w § 71? A jaka strona życia dzieci wiejskich jest głównie zaznaczona w § 71? Wytłumacz różnicę między następującemi wyrazami: czapka—czapczyna, pies—psina, dziecię—dziecina, kot—kocina, paltot—paltocina, książka—książczyna i t. d.

72. CHŁOPEK. Wytłumacz wyrażenia: „ostrzem jego kosy ozłaca się ziemia“, „on na niej wnet kłosy, wnet wawrzyn rozplenia“, „błyszczące grody“, „wszędzie on należy, prócz zysku i winy“, „sam po każdej stracie od nędzy nas chroni“, „ojczyźnie ubliża“. Czy znasz jakie wypadki z historji, kiedy wieśniacy bronili ojczyzny? Jaka jest główna myśl tego wiersza?

Wymień wszystkie wyrazy, których możnaby użyć zamiast wyrazów: „chłop“ i „ziemianin“.

73. CZY CI ON NAJMILSZY. Dlaczego matka obdarowała najmłodszego syna? A czy miała słuszność? Czy najmłodszy syn zasługuje na pochwałę? a na współczucie? a na miłość? A co powiesz o sposobie mówienia wędrowca i matki?

Wytłumacz wyrażenia: „wstęga boru“, „zielone warkocze“. A co jeszcze można przyrównać do wstęgi? a do warkoczy?

74. Z DOBRYCH RAD. Wytłumacz wyrażenia: „z ziarn tych czynów wzejdzie kłos“, „jutro dla nas ciemne“, „mieć duch bez trosk i skaz“. Czego nas uczy ten wiersz?

75. NA PODDASZU. Zmień tę powiastkę tak, jakby to opowiadał Krossi. Co możesz powiedzieć o Krossim? A co o jego matce? A o Henryku i jego matce? Opowiedz osobno o każdej z tych osób.

Dodaj zakończenie do tej powiastki: co było nazajutrz w klasie?

76. PRZYJACIELE. Jak należy rozumieć wyrażenia: „ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie“, „dwój-duch w jednem ciele“, „łącząc swoje czułe mowy do kukań zazul i krakań gawronich“, „niedźwiedź-Litwin miąs nieświeżych nie je“, „przysłowie niedźwiedzie“? W jaki sposób poeta przedstawia zwinność Leszka, kiedy drapał się na drzewo? Co powiesz o obu przyjaciołach? A jaki jest sens mo-

ralny tej bajki? Jakich ludzi można porównać do gawrona, orła, kruka, papugi, pawia, gęsi i innych ptaków?

77. . . . . Nadaj tytuł tej powiastce. Zmień ją tak, jakby ją opowiadał Franuś, albo dozorczyni, albo matka Franusia.

Szpital nazywamy inaczej „domem zdrowia". A jak nazwiemy kościół, szkołę, teatr, sąd?

78. ŻACZEK WARSZAWSKI PRZED KOLĘDNIKAMI. Co powiesz o wyrażeniach: „ciekawski", „ino", „z tęgą miną", „okrutnie", „w oczach łupie", „precz śpiewają", „tyćki", „dyrdać", „dać ucha"? Zastąp te wyrażenia innemi. Dlaczego żaczek takich właśnie wyrażeń używa?

Pogadanka o żakach i dawnych szkołach (z pomocą nauczyciela).

79. CZĘSTOCHOWA. Opowiedz, co wiesz o Jasnej Górze i Częstochowie. Z jakiem uczuciem wędrowcy zbliżają się do Jasnej Góry? Dlaczego z takiem, a nie innem uczuciem? Podkreśl wyrazy, oznaczające blask, oznaczające wielkość i potęgę. Dlaczego takich właśnie wyrazów dobiera autor?

Wymień wszystkie znaczenia wyrazów: „koło", „góra", „dzwonek".

80. NASZE KWIATY. Podkreśl wyrazy zdrobniałe i powiedz, w jakim celu używa ich poetka. Objaśnij wyrażenia: „kaczeńcem się żółtym złoci cała łączka", „w polu się gwieździ biała stokroteczka", „w świeżych swych czareczkach woń przesłodką niosą", „ty Boży zielniku". Podkreśl wyrażenia, w których kwiaty przedstawione są, jak ludzie.

Zauważ szyk wyrazów w zdaniach: „jeszcze śnieżek prószy", „jeszcze chłodny ranek", „a już w cichym lesie...", „kaczeńcem się żółtym...", „i dłużej już dzionka", „i bliżej słoneczka" i t. d. Dlaczego w tych zdaniach szyk wyrazów jest zmieniony?

81. RĄBANIE DRZEW. Co możesz powiedzieć o Rzepie pod względem cielesnym? a pod względem duchowym? A czy można coś wywnioskować o charakterze Dryśli? Co osobliwego można zauważyć w przemówieniu Dryśli? Podkreśl wyrazy ludowe w piosence Rzepy. Dlaczego ludzie przy robocie lubią śpiewać? Co powiesz o wyrażeniach: „jakby szukając gniazd wronich", „sosny zagadały"?

Jaka jest różnica między wyrazami: „Żydzi" i „Żydy", „chłopi" i „chłopy", „chłopaki" i „chłopacy", „uczniacy" i „uczniaki", „panowie" i „pany", „biedacy" i „biedaki"?

82. GOSPOSIA. Na czem polega „robota" tej dziewczynki? Czy jej zajęcie można naprawdę nazwać „robotą"? a „pracą"? a „trudem"? A jak uważasz, czy mogłaby sobie znaleźć lepszą i pożyteczniejszą robotę? Podkreśl powtarzające się wyrazy? Poco się one powtarzają? Co powiesz o wyrażeniach: „zaraz godzić ich swary", „taki naród ten szary", „w te pędy", „jakby najęta", „oczkiem strzela zukosa", „w orędzie", „hołota"? Co powiesz o charakterze tej dziewczynki? Porównaj ją z „Naszą Hanią" (§ 23).

83. DWOREK SZLACHECKI. Wymień wszystkie pokolei szczegóły tego opisu. A który z nich wydaje ci się najważniejszy? Narysuj plan tego dworku i jego otoczenia. Porównaj ten dworek z „chatą Skrobka" (§ 48). Jakie jest przeciwieństwo tych dwu siedzib ludzkich? A czy są z czego do siebie podobne?

Wymień wszystkie znaczenia wyrazu: „dwór". A które z tych znaczeń dadzą się zastosować do wyrazu: „dworek"?

84. DWÓR. Wymień szczegóły dworu, które wymienione są w § 83, a których niema w § 84, i odwrotnie. A czy są jakie szczegóły wspólne? Co możemy wnioskować o życiu i obyczaju szlacheckim na podstawie § 83? a na podstawie § 84? A jakie szczegóły z życia i obyczaju są w obu opisach wspólne? Podkreśl powtarzające się wyrazy.

Rząd może oznaczać to samo, co *szereg*.

Rząd „ „ co jeszcze? i t. d.

85. PRZYSŁOWIA. Naucz się niektórych z tych przysłów napamięć. Rozszerz którekolwiek z nich w dłuższe opowiadanie. Które z nich dadzą się zastosować do § 83? a które do § 84? a które do obu?

86. STOPNIE POZNANIA. Objaśnij wyrażenia: „rozciągniona ręką Boga", „jako srebrem, pas wyszyty", „ich blask ku ziemi leci przez niezmierny ciąg stuleci", „po lazurach wzrok twój lata", „które Boża myśl poczęła", „rozbudź myśl, co jeszcze drzemie". Podkreśl powtarzające się wyrazy. Jaka myśl zawiera się w tym wierszu? A jak poetka tę myśl przeprowadza?

Czy możemy wyobrazić sobie czas, przestrzeń, wieczność, nieskończoność, nicość, świat, duszę, Boga?

Czy wyraz *mleczna* ma takie samo znaczenie w następujących wyrażeniach: „zupa mleczna", „krowa mleczna", „łodyga mleczna", „droga mleczna", „broda mleczna"?

87. OFIARA WOJTUSIA. Ułóż plan tej powiastki według pytań. Co powiesz o Wojtusiu? a o Ceśce? Która chwila w tem opowiadaniu wzrusza cię najbardziej i dlaczego? Wytłumacz wyrażenia: „twarz napiętnowana bólem", „oczy zaszklone łzami". Porównaj myśl główną w §§ 87, 66 i 67.

Dokończ następującego ćwiczenia:

Chłopiec *pędzi*, jak *strzała* i jak co jeszcze?
Niedołęga *wlecze się*, jak co?
Żołnierz *stąpa*, jak co?
Babcia *drepcze*, jak co? i t. d.

88. CZAPLA, RYBY I RAK. Co możesz powiedzieć o tej czapli pod względem cielesnym? A o jej charakterze? Kogo wyobraża czapla? a ryby? a rak? Czy ta bajka jest zabawna? A co w niej jest najzabawniejsze? Jaka jest myśl moralna tej bajki?

Wytłumacz następujące przysłowia i wyrażenia: „milczy, jak ryba", „ryby i dzieci głosu nie mają", „mądra ryba", „ryba i gość trzeciego dnia cuchną", „ja do zgody, jak ryba do wody".

89. ŚMIERĆ KARUSIA. Co powiesz o tym psie, poszukującym swojej panienki? A o Anielce? A o ludziach, którzy gonili Karusia? Która chwila w tem opowiadaniu wzrusza cię najbardziej? A która ci się najwięcej podoba? Czego nas uczy to opowiadanie? W jaki sposób zwierzęta mogą wyrażać swoje uczucie?

Rozróżnij znaczenie następujących wyrazów: „pies", „psina", „psinka", „psisko", „sobaka".

90. WYŻEŁ I BRYTAN. Jakiego człowieka wyobraża wyżeł, a jakiego brytan? Który z nich podobniejszy jest do Karusia? Jakich ludzi można porównać do psa?

Wymień 10 gatunków psa i powiedz, do czego one służą człowiekowi.

91. PRZYSŁOWIA. Naucz się niektórych z tych przysłów napamięć. Wytłumacz znaczenie tych przysłów. Czy pies w nich wszystkich oznacza to samo? Które z nich dadzą się zastosować do Karusia z § 89, które do wyżła, a które do brytana z § 90, a które może do nich wszystkich lub do żadnego z nich?

92. OSIEŁ I CIELĘ. Jakiego człowieka oznacza osieł, a jakiego cielę? Czego nas uczy ta bajka? Poco tu powtarza się wyraz: „idzie"?

Jakiemi wyrazami możnaby zastąpić wyrazy: „łajać“, „przeląc się“, „uciekać“, „rozwodzić się“, „uderzyć się“, „szydzić“?

93. STOKROTKA. Dokończ tej powiastki. Przyjrzyj się dobrze stokrotce (albo innemu kwiatkowi) i opisz go dokładnie. Kogo wyobraża stokrotka? A kogo piwonje i tulipany? Co powiesz o losach ptaszka? Jaka jest myśl główna tej powiastki? Porównaj § 93 z §§ 31 i 32. Znajdź wyrazy przeciwnego znaczenia względem następujących wyrazów: „swoboda“, „życie“, „radość“, „szczęście“, „skromność“, „dobroć“, „pogarda“, „bogactwo“, „piękno“, „praca“.

94. WIOSNA. Co tu poeta opisuje? Jakie wylicza szczegóły z życia przyrody? A jakie przebija tu uczucie poety? Dlaczego uczucie poety jest takie, a nie inne? Wytłumacz wyrażenia: „mruczy zdrój“, „jaskółka dzwoni“, „strumyk śpiewa“, „śpiew ziemi“. Ułóż 5 zdań, w których twór przyrody albo przedmiot nieżyjący przedstawiony byłby, jak człowiek.

95. ZEMSTA NIEDŹWIEDZICY. Zmień tę powiastkę tak, jakby to opowiadała niedźwiedzica. Ułóż plan tej powiastki w kształcie pytań. Czy znasz jakie przykłady miłości rodzicielskiej u zwierząt lub ptaków?

Jaka zachodzi różnica między następującemi wyrazami i wyrażeniami: „kłamać“, „łgać“, „mówić nieprawdę“, „mijać się z prawdą“, „blagować“, „bajać“ i t. d.

96. ILUSTRACJA BEZ TEKSTU. Opowiedz, co widzisz na tej ilustracji i nadaj jej tytuł.

97. BOCIAN I LISZKA. Obejrzyj na obrazku bociana i lisa i spróbuj narysować dwa obrazki: 1) poczęstunek u lisa, 2) poczęstunek u bociana. Pod każdym z tych obrazków podpisz rozmowę obojga zwierząt. Opowiadanie całej bajki przez dwoje dzieci, z których jedno jest bocianem, a drugie lisem.

98. NAD WISŁĄ. Podkreśl powtarzające się wyrazy. Poco się one powtarzają? Porównaj opis przyrody w §§ 94 i 98. Co w tych opisach jest wspólnego, a jakie między niemi zachodzą różnice? Skąd te różnice pochodzą? A czy uczucie jest to samo w obu wierszach? Jeżeli nie, to dlaczego? Czy wykrzyknik „oj!“ wyraża wszędzie to samo uczucie?

Napisz wypracowanie p. t. „Zbliżanie się wiosny“ (z własnych przeżyć).

99. ŚLEPY SZCZUR. Porównaj §§ 95 i 99. Czy słusznie ludzie czynią, tępiąc szczury, myszy i t. p. stworzenia?

Napisz wypracowanie p. t. „Tydzień życia zwierzęcia lub ptaka domowego" (na podstawie własnych spostrzeżeń).

100. ŻÓŁW I ZAJĄC. Kogo wyobraża w tej bajce żółw, a kogo zając? Jak tu autor przedstawia zwinność i zręczność zająca? A jak powolność żółwia? Co powiesz o wyrażeniach „moja ty skorupo", „mój ty wiatronogi", „mój przyjacielu"?

Co tu oznaczają wyrazy: „skoki i słuchy"? Czy możnaby ich użyć, mówiąc o innych zwierzętach?

101. MAŁPA W KĄPIELI. Jakiego człowieka możnaby przyrównać do tej małpy? Czego uczy ta bajka? Przerób ją tak, jakby to mówiła małpa. Podkreśl wykrzykniki i wytłumacz, co one oznaczają. Oznacz wyrazy, oznaczające szybkie ruchy. Czy ta bajka jest zabawna? Która chwila jest najzabawniejsza? Wytłumacz wyrażenia: „w to mi graj", „hejże kozły, nurki, zwroty", „małpa nie cielę", „tuż, tuż w tropy".

Opowiedz (ustnie lub piśmiennie) jakie zdarzenie zabawne (z własnego doświadczenia).

102. PEREŁKI. Ułóż plan tej powiastki w kształcie pytań. Pogadanka o perłach (na podstawie okazu lub rysunku). Czego nas uczy ta powiastka?

Wytłumacz wyrazy: „perłowy" i „perła" w następujących wyrażeniach: „perłowy naszyjnik", „perłowa muszla", „perłowa kasza", „łza, jak perła", „rosa, jak perły", „śpiew, jak perły". Albo wyraz „złoty" w następujących wyrażeniach: „złoty pierścionek", „złote serce", „złote słońce", „złoty interes", „złote słowa", „złota młodzież".

103. . . . . Nadaj tytuł temu wierszowi. Kto mówi na początku tego wiersza? I o czem mówi? A kto rozmawia w zakończeniu? Porównaj ten wiersz z wierszem „Powrót taty" (§ 70). Zmień ten wiersz tak, by to wszystko opowiadał ojciec.

Na jakie niebezpieczeństwo narażony jest rybak? myśliwy? górnik? drwal? robotnik w fabryce żelaznej? w przędzalni? i t. d.

104. LISIA RODZINA. Opowiedz osobno o starym lisie, o lisicy, o lisiątkach. A co powiesz o życiu rodzinnem w rodzinie lisiej? Porównaj pod tym względem §§ 56 i 104. Jakie autor wymienia tu nie-

bezpieczeństwa, na jakie narażone są lisy? Porównaj pod tym względem §§ 56 i 104.

Uzupełnij tę powiastkę dziejami losów małych lisiąt.

105. W POLU. Jakie szczegóły krajobrazu letniego wymienia tu autor? Porównaj pod tym względem §§ 94 i 105, a także § 98. A jakie tu przemawia uczucie? Porównaj pod tym względem te trzy wiersze. Objaśnij wyrażenia: „srebrny obłok", „perłami zlata", „błękitna toń", „czysty lazur", „złoty kwiat", „płocha kaczka", „klucz żórawi".

Wymień znaczenia wyrazów: „klucz" i „zamek".

106. LIST MOTYLKA. O jakiej „kapocie" pisze motylek? A jak ją opisuje? A dlaczego mówi o „krawcu", o „słonym rachunku", o „tualecie" i t. d.? O co motylek prosi dzieci? Czy łapiesz motyle? I poco? Czy dobrze dzieci robią, łapiąc motyle?

Ułóż następujące wyrazy tak, aby oznaczały coraz większą liczbę przedmiotów: „pawik", „owad", „ten pawik", „zwierzę", „stworzenie", „motyl", „motyl dzienny", istota.

107. LAS. Ułóż plan tej powiastki w kształcie pytań. Co mamy z lasu? Wymień rośliny, rosnące w lesie. Objaśnij wyrażenia: „im dalej w las, tem więcej drzew", „być, jak w lesie", „nosić drzewo do lasu", „hukać, jak po lesie", „las włosów na głowie", „nauka nie poszła w las". Napisz wypracowanie p. t. „W lesie" (z własnych wrażeń).

108. OGRÓD WARZYWNY. Jak poeta przedstawia kapustę? a bób? a marchew? a kukuruzę? a harbuz? a buraki? a konopie? a maki? a słoneczniki? a ogórki? Co powiesz wogóle o tym opisie? Narysuj plan tego sadu. Co powiesz o wyrażeniach: „sędziwe łysiny kapusty", „otyły brzuch harbuza", „wtoczył się"?

Dokończ następującego ćwiczenia:

„zielony warkocz marchwi"	oznacza nać marchwi
„tysiąc oczu bobu"	„ co?
„złota kita kukuruzy"	„ co?
„rój motyli na makach"	„ co?
„lico wielkie, gorejące słonecznika"	„ co?

109. DWIE KROPLE DESZCZU. Jakie były losy pierwszej kropli? a drugiej? Wymyśl dzieje trzeciej kropli. Wytłumacz następujące wyrażenia: „kropla litości", „morze uciech", „grad uderzeń", „deszcz kwiatów", „chmura gniewu", „mgła niepewności".

Dokończ następującego ćwiczenia:

Drobną cząstkę	*wody*	nazywamy	*kroplą*
" "	*piasku*	"	jak?
" "	*chleba*	"	jak?
" "	*drzewa*	"	jak?
" "	*siana*	"	jak?
" "	*ognia*	"	jak?

110. KOGUTY. Jakich ludzi oznaczają koguty? a jakiego człowieka oznacza indor? Czego nas uczy ta bajka? Co powiesz o obrazie bitwy koguciej? Dlaczego autor mówi na końcu: „Wiem, nie powiem"? Przerób tę bajkę na powiastkę tak, żeby zamiast dwóch kogutów, występowało dwoje dzieci, np. dwóch kolegów, dwie koleżanki, dwoje rodzeństwa.

111. ILUSTRACJA BEZ TEKSTU. Opowiedz, co widzisz na tej ilustracji i nadaj jej tytuł.

112. KARMIENIE DROBIU. Co poeta mówi o kurach? o kogutkach? o indyku i indyczce? o pawiach? o gołębiach? o Zosi? Jak poeta przedstawia ruchy różnych ptaków? a ich barwy? a ich głosy? Podkreśl porównania i objaśnij je dokładnie. Wytłumacz wyrażenia: „dzioby bursztynowe", „czubki z korali", „koralowe szyszaki".

Dokończ następującego ćwiczenia:

Drób	są to kury, kaczki i co jeszcze?
Ptactwo	" dröb i co jeszcze?
Bydło	" co?
Zwierzęta	" bydło i co jeszcze?
Zboże	" co?
Trawy	" zboże i co jeszcze?
Jagody	" co?
Owoce	" jagody i co jeszcze?

113. ŻUK-PŁYWAK. Obejrzyj żuka-pływaka na obrazku i opisz go dokładnie. Opisz życie żaby i wszystkie jej przemiany, przez nią samą opowiedziane (poprzedzić pogadanką).

Dokończ następującego ćwiczenia:

Zwierzęta wodne	znam jakie?
Ptaki wodne	" " ?
Gady i płazy wodne	" " ?
Ryby	" " ?
Owady wodne	" " ?

Stworzenia wodne znam wszystkie powyższe i jakie jeszcze?

114. ZAJĄC I ŻABA. Jakich ludzi mają wyobrażać zając i żaba? A jaki jest sens moralny tej bajki? Co powiesz o zdaniu: „tchórząc tchórzliwiej od tchórza“? A o pożegnaniu zająca z miedzą, kapustą i rzepką? Jak poeta wyobraża gwałtowny skok żaby? Co oznacza w języku myśliwskim „szarak“, a „kot“? a „kura“? a „farba“? a „skok“? a „kozieł“?

Co oznacza w drugim wierszu wyraz „serce“? A co jeszcze może oznaczać? Ułóż zdania, w których wyraz „serce“ byłby użyty w coraz to innem znaczeniu.

115. ZMARTWYCHWSTAŁY. Ułóż plan tej powiastki według pytań. Porównaj § 115 z §§ 31 i 93. Na czem polega wina dzieci w tych trzech powiastkach? Czyja wina jest najmniejsza? czyja największa? Kiedy stosunek człowieka do istot żywych będzie właściwy? Czy słusznie nazywamy człowieka królem stworzenia?

Jaka zachodzi różnica między wyrazami: „wszystek“ i „wszyściutki“, „cały“ i „calutki“, „słodki“ i „słodziuchny“, „wąski“ i „wąziuteńki“, „bliski“ i „bliziuteńki“, „biały i „bieluchny“. A co oznaczają wyrazy: „słodkawy“, „białawy“ i t. d.? A „przywąski“ i t. d.?

116. NASZE DRZEWA. Dokończ następującego ćwiczenia:

Jarzębinę przedstawia poeta jak *pasterkę*
Leszczynę „ „ jak co?
Ożynę „ „ jak co?
Brzozę „ „ jak co?
Dąb „ „ jak co?

Porównaj sposób przedstawiania drzew w tym wierszu ze sposobem przedstawiania jarzyn i warzyw w § 168. Który z tych opisów podoba ci się więcej i dlaczego? Porównaj opis lasu w §§ 107 i 116.

117. ROBOTA SOBKOWEJ. Z czego i jak robi się płótno? a sukno? a wełna? a bawełna? a perkal? a aksamit? a zgrzebne płótno? Zastanów się nad nazwami wszystkich dwunastu miesięcy i powiedz, od czego one pochodzą.

Napisz wypracowanie p. t. „Historja mojej koszuli“.

118. STARY MACIEJ I KRÓLIKI. Jak poeta przedstawia wschód słońca? Co cię najwięcej zastanawia w tym opisie? Podkreśl w nim wyrazy, oznaczające barwy. W obrazie karmienia królika podkreśl porównania. Porównaj ten obraz z obrazem karmienia drobiu w § 112. Jakie wrażenia wywołują oba te obrazy? A który wywołuje silniejsze wrażenie i dlaczego? Porównaj §§ 112 i 118 z §§ 31, 93 i 115.

W zdaniu „Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze" zmieniaj w różny sposób szyk wyrazów i zaznacz, jak się zmienia jednocześnie znaczenie całego zdania.

119. MODLITWA PTASZKÓW DO SŁOŃCA. O co ptaszki modlą się do słońca? Która z tych próśb jest najgorętsza? a która najszlachetniejsza? Podkreśl powtarzające się wyrazy. Poco one się powtarzają? Porównaj troski ptaszków z troskami kuropatw w § 56 i lisów w § 104. Porównaj modlitwę ptaszków w tym wierszu z modlitwą drzew w § 54.

Co powiesz o szyku wyrazów w zdaniach: „od burego strzeż nas kota", „z pogodnego świeć nam nieba"?

120. SOBÓTKI. Jak tu autor opisuje krajobraz? A obyczaj ludowy sobótki? Kiedy lud nasz święci sobótki? A dlaczego w tej właśnie porze roku? Jakie jeszcze obrządki i przesądy związane są z tym dniem? Czy znasz inne jeszcze obyczaje ludowe?

121. PRZYGOTOWANIA DO WIGILJI. Gdzie się ta rzecz dzieje? Kto zajęty jest przygotowaniami do wieczerzy wigilijnej? Co robi każda z tych kobiet? Wypisz wyrazy ludowe, a obok nich ich znaczenia. Podkreśl wyrazy, oznaczające pośpiech tych przygotowań. Co powiesz o zamożności tej rodziny? A o pracowitości tych kobiet?

Opowiedz (ustnie lub piśmiennie) o przygotowaniach do jakiej uroczystości we własnym domu lub w szkole.

122. WIGILJA. Gdzie się ta rzecz dzieje? Porównaj uroczystości wigilijne w §§ 121 i 122. Jakie mamy szczegóły w wierszu § 122, których brak w § 121? Które szczegóły mogłyby być w obu paragrafach? Które mogą być tylko w § 121? które tylko w § 122? Jakie jest uczucie autora w § 122?

Zauważ szyk wyrazów w zdaniach: „Na samo jej wspomnienie skakało pacholę", „z jakąż niecierpliwością wyglądały dzieci", „rychło na modrem niebie gwiazdeczka zaświeci" i t. d. Dlaczego w tych zdaniach odmieniony jest szyk wyrazów?

123. ZAPUSTY. Jak się ubierają górale i góralki? Krakowiacy i Krakowianki? Podlasiacy i Podlasianki? Mazury i Mazurki? Łęczycaki? Kujawiacy i Kujawianki? Podkreśl wyrazy ludowe w opisach tych ubiorów i w piosenkach. Czy słusznie dzieci śmiały się z Józia? A czy słusznie oświadczyły, że nie będą się bawiły z Henrysiem?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Polak może być Mazur, Podlasiak, Krakowiak i t. d.
Polak „ „ chłop, szlachcic i kto jeszcze?
Polak „ „ katolik i kto jeszcze?
Polak „ „ warszawianin i kto jeszcze?
Polak „ „ rzemieślnik i kto jeszcze?
Polak „ „ starzec i kto jeszcze?

124. KRASZANKI. Wypisz wyrazy ludowe, a obok nich ich znaczenia. Jakie ma znaczenie wyraz „nuż" w zdaniu: „i nuż dopiero okazywać sobie". Jakie znasz obyczaje wielkanocne, prócz kraszenia jajek?

Jakie znasz wyrazy, któremiby można było zastąpić wyraz: „gęba". Czy używamy zwykle tego wyrazu? A wyrazów: „łeb", „kudły", „pysk", „nochal"? Co powiesz o nich? A dlaczego autor użył tu tego właśnie wyrazu?

125. WESELE WŁOŚCIAŃSKIE W ZAMOJSZCZYŹNIE. Wylicz pokolei, jakie obyczaje ludowe przedstawia nam ten opis. Ułóż z tego krótki plan. Zmień ten opis w opowiadanie: jakby to opowiadał pan młody, albo panna młoda, albo ktoś z gości weselnych. W opisie tego wesela odnajdź dowody zamożności chłopów ordynackich.

126. UROCZYSTOŚĆ POGAŃSKA DOŻYNEK. Wymień te szczegóły uroczystości dożynek, które mogły istnieć tylko za czasów pogańskich. Zauważ te, które przechowały się po dziś dzień. A jak autor przedstawia tu przyrodę i jej udział w uroczystości? Porównaj ten opis dożynek z opisem sobótek (§ 120). Wypisz wyrazy, dziś nie używane, wraz z ich znaczeniami. Objaśnij wyrażenia: „białogłowa leciwa", „sążnista a przysadkowata", „pokłony czołobitne", „wóz żałościwie skrzypi", „turkota gderliwie", „tkliwie piska", „pokrzyk uciechy", „potrząs wyskoczny".

Napisz wypracowanie p. t. „Dzisiejsze dożynki" (z własnych wrażeń).

127. DAWNI KRÓLOWIE TEJ ZIEMI. Wymień postacie historyczne i wypadki, wyszczególnione przez poetę. Jakie jeszcze możnaby wymienić? Jakie uczucie budzi się w duszy poety na wspomnienie przeszłości? A jaka jest główna myśl tego wiersza? Jakiemi wyrazami możnaby zastąpić wyrazy: „tej ziemi" (w tytule).

Napisz wypracowanie p. t. „Co jestem winien Polsce"?

128. BOHATERKA. Co to znaczy wyraz „bohater" i „bohaterka"? Czy Wanda była prawdziwą bohaterką? Jeżeli tak, to dlaczego? Czy znasz jeszcze z historji Polski jakiego bohatera? A dlaczego go tak nazywasz?

A czy dziecko w życiu rodzinnem może spełnić jaki czyn bohaterski?

129. PASOWANIE NA RYCERZA. Wymień pokolei szczegóły obrzędu pasowania. Co wiesz o dawnych rycerzach? Jakie znaczenie ma ten obrząd? Co wiesz o królu Bolesławie Krzywoustym? Czy dopełnił on przysięgi, złożonej podczas obrządku pasowania? Wypisz wyrazy, dziś nie używane. Objaśnij wyrazy i wyrażenia: „pas", „pasować", „zapas", „iść w zapasy", „zapaśnik", „chodzić na czyim pasku", „zapaska", „wakacje za pasem", „zapasowy", „rozpasany" i t. p.

130. JASEŁKA NA DWORZE KRÓLOWEJ KINGI. Co to są jasełka? Czy widziałeś kiedy jasełka? Kiedy pokazują jasełka? A na jaką pamiątkę? Co wiesz o królowej Kindze? A o Bolesławie Wstydliwym? A o Leszku Białym? Jak autorka przedstawia Grzymisławę? Co głównie zaznacza w jej charakterze? A co mówi o Bolesławie? A o Kindze? Wytłumacz wyrażenia: „pełnemi dłońmi zbierała owoce wdzięczności synowskiej".

Wytłumacz wyrażenia: „owoce trudów", „kwiat młodzieży", „uśmiech szczęścia", „światło wiedzy", „ogień zapału", „mrok smutku".

131. SEN LESZKA CZARNEGO. Ułóż plan tego opowiadania w kształcie pytań. Rozszerz w dłuższą opowieść obraz snu, opowiedz: 1) jak kładł się Leszek do snu, 2) co myślał o Jadźwingach i o swojem wojsku, 3) jak wyglądał św. Michał, 4) jak z nim Leszek rozmawiał, 5) jak się Leszek przebudził, 6) jak przemawiał do starszyzny wojskowej, 7) co starszyzna mu odpowiedziała.

Jakich wyrazów możnaby użyć zamiast następujących wyrazów: „mordować", „burzyć", „śpieszyć", „nużyć", „przyzywać", „zagrzewać", „zwalniać", „budować", „rzucić"?

132. DWA MIECZE. Co wiesz o Władysławie Łokietku? o Władysławie Jagielle? o krzyżakach? o Litwinach? o bitwie pod Grunwaldem? Co powiesz o krzyżakach na podstawie przemówienia ich posłów? a o Jagielle na podstawie jego odpowiedzi do posłów? Co wiesz o potomkach krzyżaków? Kto widział pomnik grunwaldzki w Krakowie, niech go opisze. A co teraz dzieje się na ziemiach, które niegdyś należały do krzyżaków?

133. . . . . Nadaj tytuł temu opowiadaniu. Co wiesz o królowej Jadwidze? Jak tu autorka przedstawia Jadwigę? Co w niej tu jest z usposobienia dziecinnego? A co świadczy o dojrzałości umysłu i serca? Porównaj królowę Jadwigę i królowę Kingę? (§ 130). Co zrobiła dla Polski Kinga, a co Jadwiga? Która z nich przyczyniła się więcej do szczęścia i potęgi kraju? Porównaj Jadwigę z Wandą (§ 128). Czy i Jadwigę możnaby też nazwać bohaterką?

134. STAŃCZYK. Dokończ tego opowiadania: w jaki sposób Stańczyk dowiódł, że najwięcej jest doktorów? Co powiesz o stosunku króla i Stańczyka? W jakiem znaczeniu używamy najczęściej wyrazu: „błazen"? Czy w takiem znaczeniu możnaby ten wyraz zastosować do Stańczyka? Porównaj błazna Stańczyka z pajacem Bum-bum (§ 22).

135. ILUSTRACJA BEZ TEKSTU. Opowiedz, co widzisz na tym obrazku, i nadaj mu tytuł. Porównaj ten obrazek z § 134.

136. A ZA TEGO KRÓLA JANA... Co wiesz o królu Janie? Obejrzyj i opisz jego pomnik w Warszawie (lub w innem mieście). Co powiesz o królu Janie na podstawie tego wiersza? Wytłumacz wyrażenia: „szyjom naszym miecz gotuje, naszym wieżom — księżyc w nowiu, naszym dziatkom — chrzest z ołowiu'", „trząść z buńczuków naszych śmieci", „niech otrąbion kraj obaczę", „za trzy zorze i trzy noce", „strzał turecki błyski chwyta na wzniesione w skrach kopyta", „aż się szczerbi kosa śmierci", „noc z niej schodzi w czarnej zbroi, kładzie rękę na powieki nie do świtu, lecz na wieki". Jak poetka przedstawia szybki atak husarji polskiej na obóz turecki? Podkreśl powtarzające się wyrazy i zdania. Poco się one powtarzają?

Co powiesz o wyrazach: „pogan", „szablica", „luzak", „obłęk", „harmata", „przeć się", „skra"? Jakich zamiast nich dziś używamy wyrazów?

137. POD KAMIEŃCEM. Objaśnij wyrażenia: „stanął Turek gęstym wieńcem", „lecz Kamieniec — złoty wieniec", „błyszczy słońce od pałasza", „lichej wróżby ptak", „jako czarny szlak"? Co tu się mówi o królu Janie? Porównaj to, co się mówi o królu Janie w wierszach §§ 136 i 137. A co się mówi o Turkach w obu tych wierszach? Dokończ od siebie tego wiersza: co się stało z baszą tureckim i jego wojskiem? Czy można się tego domyślić? Jeżeli można, to w jaki sposób? Poco tu poeta wprowadza kawki, sroczki, „sępa podolskich pól"?

138. ZAGŁOBA I MAŁPY. Co powiesz o panu Zagłobie? A o Rochu Kowalskim? A o żołnierzach? Jakie wrażenie sprawia na tobie to opowiadanie? Co w niem jest zabawnego? A co okropnego? Kiedy i gdzie rzecz się dzieje?

Wypisz osobno wyrazy łacińskie, a osobno wyrazy polskie, dziś nie używane.

139. UCHWALENIE KONSTYTUCJI 3 MAJA 1791 R. Co wiesz o konstytucji 3 maja? Co tu autor mówi o tej konstytucji? A jak przedstawia uczucia króla? ks. Józefa? posłów? ludu? A co mówi o przyrodzie? Wytłumacz wyrażenia: „glorja wielkiej dostojności", „snopy światła słonecznego", „otaczając blaskiem srebrną głowę i kameowy profil króla", „rozżarzając gorące barwy kontuszów i fraków", „rozpalając miljony świateł tęczowych wśród klejnotów", „sokole oczy", „grzmi salwą piorunową", sypią ogniem plutonowym".

W zdaniu: „okrzyk powtarza cała Izba" zmieniaj w różny sposób szyk wyrazów i zauważ, jak jednocześnie zmienia się jego znaczenie.

140. PIERŚCIEŃ KOŚCIUSZKOWSKI. Co wiesz o Kościuszce? a o Dąbrowskim? a o legjonach jego? Zauważ szyk we wszystkich zdaniach i objaśnij, dlaczego jest taki, a nie inny?

Przyjrzyj się dobrze portretowi Kościuszki i opisz go.

141. KOŚCIUSZKO W SZKOLE KADETÓW. Co wiesz o szkole kadetów? Co powiesz o przyrzeczeniach, złożonych przez Kościuszkę podczas obłóczyn munduru? Czy Kościuszko dotrzymał tych przyrzeczeń? Jakie były uczucia Kościuszki podczas obłóczyn? Które z przyrzeczeń, złożonych przez Kościuszkę, odnoszą się do szkoły wogóle? A które do szkoły wojskowej w szczególności?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Szkoła może być *szkołą powszechną, gimnazjum, seminarjum, uniwersytetem* i czem jeszcze?

Uczeń może być czem?

Nauczyciel może być czem?

Broń może być czem?

142. UNIWERSAŁ POŁANIECKI. Pogadanka o Uniwersale Połanieckim. W czem Kościuszko złożył dowód, że naprawdę kochał lud? Co znaczy: „Jeszcze echo racławickie w polu się kołysze"? Co to znaczy: „Za krew i za rany ziemię ci daruję"? Czy i obecnie lud broni ojczyzny?

143. OLSZYNKA GROCHOWSKA. Pogadanka o powstaniu listopadowem i bitwie grochowskiej. Gdzie leży Grochów? Którą chwilę bitwy grochowskiej przedstawia tu autor? Jak autor przedstawia Chłopickiego? a Prądzyńskiego? a Dybicza Zabałkańskiego? a żołnierzy polskich? A co można powiedzieć o uczuciach Władka? Jak Władek zachowuje się podczas ataku? Podkreśl wyrazy wojskowe.

144. PIEŚŃ ŻOŁNIERZA. Kiedy tu rzecz się dzieje? Gdzie przebywa ów żołnierz? Jakie są jego uczucia? A dlaczego takie, a nie inne? Które z tych uczuć jest najsilniejsze? Co z tego powodu możesz powiedzieć o tym żołnierzu? Co powiesz o wyrazach: „jedźwa", „pójdźwa"?

Porównaj uczucia żołnierzy polskich w §§ 143 i 144 i wykaż podobieństwa i różnice.

145. ŚWIĘTY BOŻE! ŚWIĘTY MOCNY! Pogadanka o manifestacjach narodowych w 1861 roku. Skąd wzięte są wyrazy: „Święty Boże, święty mocny, zmiłuj się nad nami!"? Poco te wyrazy powtarzają się po każdej zwrotce? Poco poetka używa rosyjskiego wyrazu „szaszka", zamiast „szabla"? Jakie uczucie przemawia w tym wierszu? Porównaj pod tym względem §§ 144 i 145.

Znajdź wyrazy bliskoznaczne względem wyrazów: „knut" i „szabla".

146. PIERWSZA POTYCZKA. Pogadanka o powstaniu styczniowem. Porównaj uczucia powstańców w § 146 i żołnierzy z § 143, autora z § 146 i Władka z § 143. Podkreśl i objaśnij porównania. Objaśnij wyrażenia: „potężny, rozkazujący świst", „huragan ognia i żelaza", „chrzest ogniowy", „sypać ogniem karabinowym", „deszcz igieł i liści". Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki i głosy.

147. OSOBLIWY FASUNEK. Kiedy to się dzieje? Pogadanka o legjonach 1914 — 1918 roku. Podkreśl wyrazy i wyrażenia żołnierskie. Co powiesz o Szczapie? A o kapitanie? A o stosunku wzajemnym żołnierzy i oficerów? Czy Szczapa podobny jest do żołnierzy w §§ 143, 144, 146? Jakie wrażenie wywołuje to opowiadanie. Porównaj pod tym względem §§ 138 i 147.

148. PACHOLĘ NA POLU BITWY. O czem opowiada autor w tym wierszu? Jakie uczucie tu panuje? Dlaczego śmierć najczęściej przedstawiamy z kosą? A jakby ją inaczej można było przedstawić? W jakiem znaczeniu nazywa się ją tutaj „dobrą panią"? Objaśnij wyrażenia: „łany śmierci", „martwa cisza", „krwawa rosa", „płaszcz

z mgieł", „przeorane to pole chwały mojemi ciosy", „ja go skosiłam, jak kłos dojrzały", „krwawe ja ziarna z wojennej fali rzucam po świecie". Opowiedz (ustnie lub piśmiennie) jakie wydarzenie z czasów wojny.

149. DOBRY POLAK. Co tu potępia Mickiewicz? A czego uczy? Kogo nazywa dobrym Polakiem? Kiedy młodzież może zasłużyć na tę nazwę? co znaczy „pokładać na kim nadzieję"? Naucz się tego urywka (lub jego części) napamięć.

Dokończ następującego ćwiczenia:

Dobry Polak oznacza to samo, co *szlachetny* Polak.
Dobra potrawa „ „ „ „ jaka potrawa?
Dobre serce „ „ „ „ jakie serce?
Dobra posada „ „ „ „ jaka posada?
Dobra droga „ „ „ „ jaka droga?
Dobry humor „ „ „ „ jaki humor?
Dobre przyjęcie „ „ „ „ jakie przyjęcie?
Dobre lekarstwo „ „ „ „ jakie lekarstwo?
Dobry uczeń „ „ „ „ jaki uczeń?

150. PROCESJA WOŁU ZAPUSTNEGO W PARYŻU W TŁUSTY WTOREK. Zmień to opowiadanie tak, jakby kto patrzył z okna i opowiadał komuś, siedzącemu w głębi pokoju. Które szczegóły opowiadania należałoby wtedy opuścić? Czy trzebaby było wtedy zmienić porządek opowiadania?

Czy widziałeś kiedy jaki pochód uliczny? Jeżeli tak, to opisz go.

151. KAŻDY POWINIEN PRACOWAĆ. O czem ojciec rozmawia z dzieckiem? Kto pracuje, abyśmy mieli chleb? pieczeń? koszulę? ubranie sukienne? cukier? świecę? kajet? Jaka jest główna myśl tego opowiadania? Porównaj główną myśl tego paragrafu z główną myślą „Perełek" (§ 102). Czy dzieci nie potrzebują pracować? Jeżeli potrzebują, to jak? Co znaczą ostatnie wyrazy: „potem oddasz"?

152. NAUKA RELIGJI. Kto i kogo uczy religji? Co powiesz o wyobrażeniach Kalego? A o wyobrażeniach Mei? Czy jest podobieństwo między wyobrażeniami dzikich w tem opowiadaniu a wyobrażeniami dziecka w § 26? Co powiesz o poglądzie Kalego na sprawę złego i dobrego? A co według ciebie jest dobre? Znajdź kilka przykładów dobrych uczynków w tych „Wypisach". Czy spełniłeś kiedy jaki dobry uczynek?

W wyrażeniu „dobry uczynek" jakiego wyrazu można użyć zamiast wyrazu: „dobry"?

153. JAŁMUŻNA. Dokończ tej baśni. Co powiesz o Janowej? a o Błażkowej? Czy Janowej należała się nagroda i dlaczego? A co należało się Błażkowej? Jaka jest główna myśl tej baśni?

Napisz wypracowanie: „Zasłużona nagroda" (lub: „Zasłużona kara"), z życia szkolnego.

154. DZIAD I BABA. Co powiesz o dziadzie? a o babie? Czy pochwalasz ich postępowanie? A co ci się w ich postępowaniu najmniej podoba? Czy ten wiersz jest smutny, czy wesoły? A co w nim jest najzabawniejsze?

Wypisz wszystkie znaczenia wyrazów: „dziad" i „baba".

155. KSIĘŻNICZKA NA GROCHU. Co powiesz o tej księżniczce? Dlaczego autor nazywa ją „prawdziwą"? Jak autor zapatruje się na tę prawdziwą księżniczkę, czy ją pochwala, czy ją lubi, i dlaczego? A tobie podoba się ona czy też nie, i dlaczego? Jak takie prawdziwe księżniczki nazywamy w życiu codziennem? Czy ta baśń napisana jest poważnie, czy żartobliwie?

Dokończ następującego ćwiczenia:

Ojciec	*Matka*	*Syn*	*Córka*
Król	Królowa	Królewicz	Królewna
Książę	?	?	?
Hrabia	?	?	?
Wojewoda	?	?	?
Starosta	?	?	?
Wojski	?	?	?

156. CHŁOP I DJABEŁ. Jak tu poeta przedstawia chłopa? A djabła? Wymyśl jeszcze kilka przykładów podziału, przy którym chłop oszukałby djabła. Opowiadanie na dwa głosy: „chłopa" i „djabła".

Co powiesz o wyrazach: „chamie", „łapy", „szpony", „ślepie", „uciął drapaka"?

157. KRASNOLUDKI I CYGAN. Co powiesz o uczuciach krasnoludków, kiedy były małe? A kiedy zmieniły się w olbrzymów? Dlaczego miłosierdzie nazwane jest tu rzeczą największą? A może znasz inną rzecz, jeszcze większą? Czy oba krasnoludki mają jednakowy „charakter"? Jeżeli nie, to w czem widzisz różnicę? A co powiesz

o cyganie? Czy krasnoludki naprawdę istnieją na świecie? Jeżeli nie, to poco się o nich pisze?

158. MATKA BOSKA SIEWNA. Co tu jest cudownego w tej legendzie? Znajdź rzeczy cudowne w baśniach, zamieszczonych w tych „Wypisach" (§§ 153, 154, 156, 157). Czy cudowność w tej legendzie jest taka sama, jak i w tamtych baśniach? Jeśli nie, to czem się różni?

159. BOŻE NARODZENIE. Wytłumacz znaczenie tego wiersza. Naucz się go napamięć. Kiedy Pan Jezus rodzi się w tobie?

160. CHRYSTUS I DZIECI. Wytłumacz wyrażenia: „orszak bosy", „drobniuchna czeladź". Jak można inaczej powiedzieć zamiast tego? Podkreśl porównania i wytłumacz je. Co jest główną myślą tego wiersza? Co tu poetka mówi o sierocie? Porównaj tę sierotę z sierotami w §§ 13 i 14. Czy jest jaka myśl wspólna w §§ 13, 14 i 160?

Sierotą nazywamy mężczyznę i kobietę. A płaksą? a niedołęgą? a gadułą? a guzdrałą? a niecnotą? Ułóż zdania na te wyrazy w zastosowaniu do obu rodzajów.

TREŚĆ

Cyfry z gwiazdką * oznaczają poezje.